



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

2(12) 2010

Rok IV

ISSN 1898-1801



Foto. Tadeusz Kiciński



Zabytek
z okładki

Pałac późnoklasycystyczny w Tarnogórze

został wybudowany w latach 1830-1840 przez właściciela Tarnogóry generała Józefa Czyżewskiego. Usytuowany na stoku lekkiego wzgórza, od frontu ma jedną kondygnację, od tyłu - dwie. Przy południowo-zachodnim narożniku znajduje się charakterystyczna wieża, nakryta wysokim stożkowym dachem. Za pałacem jest park pochodzący z I połowy XIX wieku. Cały zespół pałacowo-parkowy położony jest w pobliżu rzeki Wieprz.



Spis treści	
Słowo redaktora A. D. Misiura	2
Przybysz z grodu Wiktora Zina	2
Krasnostawska wyprawa Jana Sobieskiego na czambuły tatarskie Zbigniew Atras	3
Tatarskie najazdy - obrazy zapisane w starych księgach Kazimierz Stolecki	9
Krasnystaw stolicą diecezji chełmskiej	15
Arcyksiążę Maksymilian Habsburg w krasnostawskim zamku Kazimierz Stolecki	22
Jan Wowczak (1884-1935 - pierwszy dyrektor krasnostawskiego gimnazjum Artur Borzęcki	28
Jeden z wyklętych... Stanisław Kuchciewicz „Iskra”, „Wiktor” Artur Piekarz	31
Akcja AB w Krasnymstawie - zapomniana rocznica Leszek Janeczek	38
Żywot wieczny Ryszard Liskowacki	44
Plk mgr Adolf Bednarski... .. Józef Dąbski	50
Losy Lipków w Krasnymstawie Agnieszka Szykuła-Zygawska	52
Miejsce z opowieścią: Boruń Lidia Jurkiewicz	54
Poezja Jan Henryk Cichosz	56
Pasając krowy i patrząc w zęby Pegaza Mariusz Kargul	57
Poezja Jan Henryk Cichosz	57
Z dziejów igrzysk olimpijskich Lucjan Cimek	58
Poezja Jan Henryk Cichosz	58
Katyń 2010 - zapis chwili Leszek Janeczek	59
Poezja Henryk Radej, Edward Krzysztof Rogalski	63
Warszawa w dniach przemiany Elżbieta Szadura-Urbańska	64
Sołżenicyn magnum opus Arkadiusz Sann	66
Poezja Irena Iwańczyk	67
Tarnogórskie wspomnienia Krzysztof Nizioł	68
Donergaloda Kazimierz Bolesław Malinowski	69

Spis treści	
Idąc w głąb słowa Zbigniew Strzałkowski	70
Poezja Piotr Kupczak	70
Podróże z grozą w bagażniku i dreszczem... .. Mariusz Kargul	71
Poezja Katarzyna Iwańczyk-Flower	72
Drag nach Osten Kazimierz Bolesław Malinowski	73
Dom bez Boga Marek Szymaniak	81
Polański nadal kręci Henryk Radej	82
Druga rzeczywistość Marek Szymaniak	83
Antypatia do Hypatii Henryk Radej	84
Poezje Ewa Magdziarz	85
Rozmowy w MDKF „Iluzjon” Ewa Magdziarz	86
Dzień Działacza i Pracownika Kultury Wiktor Tomczyk	87
Poezja Wiktor Tomczyk	90
Krasnostawskie zadziwienia Andrzej David Misiura	91
Poezja Małgorzata Stefaniak	94
Pink is intelektualnie wypalony Kazimierz Bolesław Malinowski	95
Ideał sięgnął korzeni, czyli Noce Chopinowskie na zamku w Krupem Zbigniew Atras	95
Poezja Tadeusz Rawa	97
Chopin w kosmosie Wiesław Krajewski	98
Czerwone Gitary - niezatapialni Elżbieta Szadura-Urbańska	99
Poezja Andrzej Samborski	101
Niebieskie oczy Kopernika Wiesław Krajewski	102
Krasnostawskie szóstki Nestorowe promocje	103



NR 2(12) 2010 NESTOR Czasopismo Artystyczne

Wydawca:

Oficina Wydawnicza „ELIPSA”
ul. Piłsudskiego 2, 22-300 Krasnystaw, tel. 82-576 6009,
Konfederacja NESTOR e-mail: david57am@op.pl

Montaż elektroniczny:

„TangaGraf”, ul. Szymonowicza 29, Krasnystaw
Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, Krasnystaw

Nakład sponsorowany przez:

Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie, Urząd Gminy w Izbicy,
PGE Dystrybucja Zamość, Rejonowy Zakład Energetyczny Krasnystaw



Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny),
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Henryk Wróbel (skład i łamanie)
Stale współpracują:
Alicja Wiech
Mariusz Kargul
Dariusz Włodarczyk
Henryk Radej

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów
za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.



Tej wiosny staliśmy się świadkami wstrząsających wydarzeń, które na zawsze pozostaną w pamięci narodu. Powiedzenie: „historia lubi się powtarzać” brzmi jak gorzka ironia i upokarza niczym drugi policzek. Katyń pochłonął kolejne ofiary. Tym razem swoją listę wydłużył o 96 nazwisk, a wśród nich dwóch prezydentów, wielkich patriotów Lecha Kaczyńskiego i Ryszarda Kaczorowskiego. Przerazająca symbolika tragedii przerosła dosłownie wszystko. Zamknęła usta. Można było odnieść wrażenie, że osierocony został cały naród. Życie pisze niewiarygodne scenariusze. Czy przyczyna katastrofy lotniczej w Smoleńsku może okazać się także najmniej spodziewana? Łamy bieżącego numeru *Nestora* nie pozostały obojętne wobec ojczyznej tragedii i ukazują zapisy, cenne w swojej autentyczności m.in. autorstwa Elżbiety Szadury-Urbańskiej i Leszka Janeczka.

Dzisiejsze wydanie obfituje w znamienite fakty z historii naszego miasta, które wywarły znaczący wpływ na dzieje Polski. O krasnostawskiej, najskuteczniejszej wyprawie Jana III Sobieskiego na czambuły tatarskie, o trzech krasnostawskich biskupach, późniejszych prymasach Polski i o arcyksięciu Maksymilianie, pretendencie do korony polskiej, więzionym na zamku krasnostawskim opowiadają Zbigniew Atlas i Kazimierz Stolecki. Artur Borzęcki przybliży postać pierwszego dyrektora gimnazjum Jana Wowczaka, a debiutujący w *Nestorze* Artur Piekarczyk historię Stanisława Kuchciewicza - żołnierza wykłętego. Czas II wojny światowej to także hitlerowska akcja AB przeciw inteligencji, o czym przypomina Leszek Janeczek. Znamiona tego wydarzenia znajdują swoje odbicie w powieści

Żyć wiecznie Ryszarda Liskowackiego (wychowanego w Krasnymstawie), jej fragment zamieszczamy w sąsiedztwie. Tuż za nim wspomnienie autorstwa Józefa Dąbskiego - szkolnego kolegi R. Liskowackiego. Lidia Jurkiewicz kontynuuje siennickie opowieści, tym razem gości w Boruniu. W wachlarz tematów historycznych wkomponowują się ciekawostki igrzysk olimpijskich w Sztokholmie - prowadzi nim Lucjan Cimek.

Liczną grupę stałych recenzentów wzbogacili: Zbigniew Strzałkowski i Kazimierz Bolesław Malinowski, znany m.in. z publikacji w miesięczniku kulturalnym *Lampa*, oraz Marek Szymaniak (debiutujący przed dwoma laty w *Nestorze*) obecnie redaktor naczelny lubelskiego pisma studenckiego *Wyspa*. Wśród autorów nie zabrakło Mariusza Kargula, który ostatnio chrząknął pióro w czasopiśmie muzycznym *Machina*. Nie brakuje naszej młodzieżowej debiutantki sprzed pół roku Magdy Krupy, którą możemy poznać na fotografii, gdy odbiera powiatową nagrodę w kategorii Talent Artystyczny 2009, wkrótce po otrzymaniu głównej nagrody chełmskiej Fundacji Młode Talenty, której finałem był tygodniowy rejs żaglowcem Pogoria.

Czy popularność Czerwonych Gitar trwa nadal? Na to pytanie próbuje znaleźć odpowiedź Elżbieta Szadura-Urbańska, przypominając o 45-leciu najpopularniejszego polskiego zespołu. Tymczasem trwa Rok Chopinowski. Dzieła narodowego arcy mistrza dają się słyszeć w najbardziej zdumiewających miejscach wszechświata, o czym donoszą Zbigniew Atlas i Wiesław Krajewski. Podążając w dalszym ciągu z duchem polskiego geniuszu, odkrywamy nową twarz Mikołaja Kopernika. Światowej sławy astronoma przedstawia prezes Oddziału Lubelskiego Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii.

Nie zdołam wymienić pozostałych autorów licznych i niezwykle ciekawych artykułów oraz wierszy, ale mam nadzieję, że ich odkrywanie będzie interesującym zajęciem.

Andrzej David Misiura

PS Jak zawsze dziękujemy za nadesłane wydawnictwa książkowe i czasopisma w tym *Zamojski Kwartalnik Kulturalny* w nowej interesującej szacie graficznej oraz *Lublin. Kultura i Społeczeństwo* poświęcony w całości Józefowi Łobodowskiemu, zapomnianemu wybitnemu poecie.



Przybysz z grodu Wiktora Zina

Prace graficzne, jakie ozdabiają strony niniejszego *Nestora*, są autorstwa Alfreda Przybysza z Hrubieszowa. Absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zamościu oraz Wydziału Pedagogiki i Psychologii UMCS w Lublinie, przez 36 lat etatowo związany z Hrubieszowskim Domem Kultury, stał się rozpoznawalnym twórcą i animatorem kultury plastycznej naszego województwa, a nawet kraju.

Organizator i uczestnik wielu plenerów i wystaw, 27 kwietnia 2010 roku trafił do Krasnegostawu. W Muzeum Regionalnym odbył się wernisaż jego starannie wykonanych przy użyciu lipowego patyka grafik. Ulubionym ich motywem jest ginąca architektura i piękno przyrody. Ostatnio zaczął ilustrować tomiki poetów hrubieszowskich i zamojskich. Pewnego rodzaju uhonorowaniem działalności artysty było wydanie w 2000 roku albumu z okazji 600-lecia Hrubieszowa pt. *Stary Hrubieszów w rysunku i grafice Alfreda Przybysza*.

Zbigniew Atras

Krasnostawska wyprawa Jana Sobieskiego na czambuły tatarskie

Była jedną z najbardziej imponujących operacji wojskowych w historii oręża polskiego. Pomysł jej przeprowadzenia powstał w czasie pobytu hetmana Jana Sobieskiego w Krasnymstawie, po dokładnym rozpoznaniu działań przeciwnika. Z Krasnegostawu też wyruszyły nieliczne siły polskie przeciw czambułom tatarskim, staczając niemal każdego dnia większe lub mniejsze bitwy i potyczki. Prowadzone działania stanowiły całość, której nie można dzielić na poszczególne bitwy jako osobne elementy, gdyż wynikały one jedne z drugich i stanowiły ciąg następujących po sobie i zależnych od siebie zdarzeń. Do Krasnegostawu powróciły też polskie chorągwie z hetmanem Sobieskim na czele.



Hetman Jan III Sobieski

Zwycięstwo to dało Janowi Sobieskiemu sławę i dowództwo, a dwa lata później - koronę polską. Zaczniemy jednak tę opowieść od krótkiego wprowadzenia. Kawalerię, a zwłaszcza jej lekkie formacje cechowała głównie ruchliwość, czyli zdolność wykonywania szybkich i długich przemarszów, przy zachowaniu pełnych zdolności bojowych. Właśnie ruchliwość i szybkość charakteryzowały zagon, czyli daleki i błyskawiczny rajd samodzielnej grupy kawalerii. Celem zagonu było niszczenie rozproszonych sił wroga lub rozbijanie koncentrujących się obcych wojsk przez wykorzystanie całkowitego zaskoczenia prze-

ciwnika, niespodziewającego się ataku w danym miejscu. Taka forma walki podnosiła morale własnej społeczności na terenach zajętych przez wroga lub terroryzowała ludność cywilną, gdy działania prowadzone były na terytorium obcym. Szybkość działania i odległość marszów miała tu znaczenie



Polaki husarz

decydujące. Zagony prowadzono komunikiem, czyli przemieszczano się tylko na koniach, bez wozów i taborów spowalniających marsz. Przemarsze komunikiem odbywały się przy wykorzystaniu dwu, a nawet większej ilości koni, tzn. że każdy jeździec prowadził dodatkowego konia, na którego okresowo się przesiadał. Pozwalało to oszczędzać siły koni, oraz umożliwiało zabranie dodatkowego ekwipunku. Przemieszczająca się w ten sposób kawaleria mogła pokonywać nawet do 100 kilometrów dziennie i utrzymać takie tempo marszu przez kilka dni. Opisana forma walki stosowana była od wieków przez stepowe ludy azjatyckie, a do Polski przynieśli ją Mongołowie i Tatarzy. Jak mówi przysłowie: uczeń przerósł mistrza. Polska kawaleria nie tylko szybko przyswoiła sobie tę formę walki, ale znacznie ją rozwinęła i udoskonaliła, co umożliwiło osiągnięcie przez nią wielu spektakularnych zwycięstw i powstanie opinii o jej niezwyciężoności. Najbardziej znanymi polskimi zagończykami byli lisowczycy walczący w czasie wojen z Moskwą. Przemierzali oni wówczas całą Rosję od łódów północy po granice z Persją na południu i rozległe obszary za Uralem na wschodzie. W 1580 roku prowadzeni przez Krzysztofa Radziwiła w 2 500 ludzi pobili 10 000 wojska kozackie w bitwie pod Toporem. Lisowczycy walczyli także w Europie Zachodniej w czasie wojny 30-letniej, będąc na służbie cesarza, a na samą pogłoskę o możliwości ich przemarszu „...bito na gwałt w dzwony, zamykano bramy, a wojska udzielnych i sprzymierzonych nawet z cesarzem książąt towarzyszyły im w pochodzie, by

bronieć poddanych od tych żądnych łupu sprzymierzeńców”. Byli jak szarańcza, jak plaga. Pozostawiali po sobie ruiny, zgliszcza, spaloną ziemię i trupy, by nikt nigdy nikomu nie udzielił o nich żadnej informacji. Mieli wielu wybitnych wodzów, jednak na szczycie tej formy walki stanął Jan Sobieski, którego wyprawa na czambuły tatarskie była prawdziwym i niepowtarzalnym majstersztykiem.



Polski dragon

A wszystko zaczęło się w drugiej połowie września 1672 roku w Krasnymstawie, gdzie na przedmieściach miasta rozbiły obóz polskie wojska w sile kilku tysięcy żołnierzy, stanowiące ubezpieczenie osoby królewskiej i rejonu koncentracji pospolitego ruszenia. W okolicy Krasnegostawu zmierzały zdziesiątkowane polskie chorągwie po przegranych bojach na wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Na czele tych sił stanął Jan Sobieski, hetman wielki koronny, który 29 września przybył do Krasnegostawu z obozu koło Hrubieszowa. Był to czas, kiedy Rzeczpospolita znalazła się na skraju przepaści. Kilka miesięcy wcześniej na nieprzygotowany do wojny i wyniszczony kraj runęło potężne uderzenie. Osiemdziesięcioletnia armia turecka wspomagana przez Tatarów i Kozaków wkroczyła w granice państwa polskiego. W krótkim czasie jej łupem padł Kamieniec Podolski, uważany dotąd za twierdzę nie do zdobycia, na którego murach zginął Jerzy Wołodyjowski - dowódca obrony. Król Michał Korybut Wiśniowiecki nie odziedziczył dowódczych zdolności swego słynnego ojca Jeremiego Wiśniowieckiego, wojewody ruskiego, będącego postrachem wszystkich Kozaków i całej Ukrainy, i nie był monarchą zdolnym do podjęcia

skutecznych działań, a siły pospolitego ruszenia nie mogły w żaden sposób zmienić zaistniałej sytuacji. 20 września 1672 roku turecko-tatarskie wojska w sile około 50 000 ludzi przystąpiły do oblężenia Lwowa, którego broniła 500-osobowa załoga wojskowa pod dowództwem Eliasza Łęckiego. Turcy rozpoczęli artyleryjski ostrzał miasta i działania minerskie, nie rezygnując przy tym z prowadzenia bezpośrednich szturmów. Zdobycie Lwowa było kwestią czasu. Polacy przystąpili do rokowań, starając się w ten sposób pozyskać czas na przygotowanie sił do dalszej walki. W tej sytuacji wolne od zadań wojennych czambuły tatarskie ruszyły w głąb Polski w celu zdobycia łupów - „boć przecie ubodzy do dom powracać nie możemy”. Jeden z czambułów, dowodzony przez Dziambet Gireja Sułtana, przekroczył linię Wieprza, grabiąc i niszcząc tereny między Krasnobrodem, a Janowem, docierając aż w okolice Turobina. Stacjonujące w Krasnymstawie wojska polskie w liczbie kilku tysięcy jazdy, pod dowództwem Jana Sobieskiego, stały się jedynymi siłami w miarę zdolnymi do obrony ludności i dalszych terenów kraju przed grabieżcami. Z tej liczby 10 najwartościowszych chorągwi husarskich (w tym doborową chorągiew husarską starosty krasnostawskiego Feliksa Potockiego) musiał Sobieski odesłać w kierunku Warszawy dla ochrony wybierającego się na wojnę króla. Pozostałe w Krasnymstawie wojska polskie nie przekraczały 3 000 ludzi. Naprzeciw nich podążały dziesiątki tysięcy Tatarów żądnych łupów. Hetman Sobieski rozsyłał szeroko podjazdy w celu zdobycia języka i poznania zamiarów wroga. Wszystko wskazywało na to, że jedynym celem działań sił tatarskich była grabież. Na tej podstawie Jan Sobieski podjął szaloną jak się wówczas mogło wydawać decyzję. Dzień wcześniej wycofał obozowe tabory w okolice zamku w Krupem, a 5 października 1672 roku po mszy świętej w krasnostawskim kościele katedralnym celebrowanej przez biskupa chełmskiego Krzysztofa Żegockiego, na czele około 3 000 jazdy ruszył komunikiem w stronę Zamościa. Była jesień, pogoda deszczowa, dni krótkie i mgliste, drogi błotniste, przeprawy poniszczzone, a noce z przymrozkami. Około wieczora, po przebyciu 30 kilometrów wojska polskie dotarły do Sitańca, skąd Sobieski wysłał gońca do twierdzy zamojskiej, w której stacjonował oddział polskich kozaków w sile 2 000 ludzi pod wodzą Haneńki. Jednak zamojski oddział wyruszył tego dnia na wyprawę w kierunku Belza. Tymczasem podjazd pod dowództwem Zawiszy (zaporoskiego kozaka) wysłany na rozpoznanie terenu, dostarczył infor-

mację o czambule tatarskim grasującym w okolicach Krasnobrodu. O północy, w silnym deszczu główne siły ruszyły komunikiem naprzeciw Tatarom. Drugi oddział w składzie jednej chorągwi husarskiej pod dowództwem porucznika Pruszkowskiego ruszył przez Turobin i Zwierzyniec w kierunku Krasnobrodu, bijąc po drodze kilka napotkanych watah tatarskich. Po przebyciu 32 kilometrów, komunik dotarł w okolice Suchowoli, gdzie hetman Sobieski wstrzymał dalsze działania do rana, nie chcąc walczyć wśród ciemnej nocy i bez chwili wytchnienia po ciężkim marszu. Przygotowując plany porannego ataku, rozesłał jednak podjazdy prowadzone przez najlepszych dowódców, nie bacząc na zmęczenie żołnierza. Jednak tej nocy odpoczynek nie był dany nikomu. Jak się okazało, zamojski oddział Haneńki nie poszedł w kierunku Bełza, lecz na Krasnobród i właśnie w tej chwili uderzył na Tatarów. Nie zadając im jednak poważniejszych strat, wycofał się szybko w kierunku Zamościa. Na odgłos walki wojska Sobieskiego ruszyły w ich kierunku. Jednak rola komunik ograniczyła się już tylko do likwidacji rozproszonych grup tatarskich i zbierania porzuconego jasyru, który następnie odesłano do Zamościa. Po odpoczynku, wszystkie oddziały Sobieskiego ruszyły komunikiem w stronę Szarowoli, gdzie według informacji przekazanych przez zwiadowcze podjazdy miał przebywać z jasyrem liczny oddział tatarski. Kolejny podjazd dowodzony przez Zawiszę ruszył w stronę Narola.



Trasa wyprawy Sobieskiego

Jednak grasujący w okolicach Szarowoli oddział tatarski pod dowództwem Abbas Murzy otrzymał już informacje o ataku Haneńki, od niedobitków spod Krasnobrodu i porzucając jasyr, wycofał się szybko w kierunku Cieszanowa. W Szarowoli hetman Sobieski otrzymał dokładne informacje od rozesłanych podjazdów o aktualnej sytuacji. Na ich podstawie skierował swe siły w kierunku Narola. Był 6 października 1672 roku. Na czele komunik, jako jego straż przednia, podążał pułk ordynacji książąt Ostrogskich dowodzony przez porucznika Łasko. Dzień chylił się ku zachodowi, gdy oczom żołnierzy ukazały się łuny płonącego Narola. W ich blasku ujrzeli też dwa uwijające się zagony Tatarów pod miastem. Porucznik Łasko natychmiast uderzył siłami swego pułku i rozbił je całkowicie. Drogę ucieczki zamykały Tatarom szeroko rozlane wody Tanwi. Większość żołnierzy wroga zginęła z rąk dragonów Łaski, a pozostałych pochłonięły nurty Tanwi. Pomimo zmęczenia walką i przebytnymi, kolejnymi w tym dniu 34 kilometrami rozmiękłych dróg, wojsko zbierało porzucony jasyr (około 2 000 osób), w którym jak zwykle była duża liczba kobiet i dzieci. Było to pierwsze poważne starcie z wrogiem i pierwsze zwycięstwo wzmacniające ducha żołnierza. Obok znacznej liczby ludności uwolnionej z niewoli, zdobyto także dużo sztuk koni i bydła. Odpoczynek trwał do północy, czyli około 4-5 godzin, po czym wysłano kolejne podjazdy, a siły główne ruszyły komunikiem w stronę Cieszanowa i Lubaczowa - „na łuny płonących miejscowości”. Straż przednią stanowiła chorągiew kozacka oboźnego koronnego (60 koni) pod dowództwem porucznika Linkowicza. To właśnie ona w okolicach płonącego Cieszanowa natknęła się na tatarski torhak (mały oddział), likwidując go całkowicie i biorąc jeńców. Od nich właśnie pozyskano cenne informacje, że na miejsce głównego kosza (koncentracji jasyru) wyznaczono Niemirów, a to pozwalało przeprowadzić skuteczny atak i stwarzało szansę jednoczesnej likwidacji większości zagonów tatarskich działających w tej okolicy. Hetman Sobieski podjął szybką decyzję i rozkazał natychmiastowy marsz na Niemirów. W stronę płonącego Lubaczowa wysłano silny podjazd pod dowództwem rotmistrza Łazińskiego (50 koni), a następnie drugi, który stanowiła chorągiew strażnika wojskowego Zbrożka, w sile 60 koni. Zadaniem tych podjazdów było oczyszczenie terenu z luźnych grup tatarskich, a przede wszystkim utworzenie drugiego skrzydła ataku, zamykającego przeciwnikowi możliwość ucieczki z pola planowanej bitwy pod Niemirówem. W okolicach Lubaczowa oba podjazdy natrafiły na powracające z jasyrem silne zagony tatarskie, które

po ciężkiej walce całkowicie rozbiły. W Bruśni, idące komunikiem główne siły polskie natknęły się na opuszczone obozowisko tatarskie z dużą ilością porzuconego w popłochu jasyru. Znaczyło to, że Tatarzy już wiedzieli o zbliżających się wojskach polskich Jana Sobieskiego. Należało więc tę informację jak najszybciej wyprzedzić. Komunik przyspieszył i w okolicach Horyńca wyminął odwody tatarskie stanowiące ich tylną straż, a na wysokości Radruża był już z boku głównej kolumny tatarskiej, prowadzącej cały zdobyty jasyr czambułu Dziambet Gireja Sołtana. Hetman Sobieski wysłał oddział w sile około 300 ludzi, dowodzony przez pułkownika Linkowicza, z zadaniem wyprzedzenia wojsk tatarskich i wykonania ataku czołowego od strony Niemirowa. Sam na czele sił głównych uderzył na nieprzyjaciela z boku. Rozbite oddziały tatarskie podjęły próbę ucieczki w stronę Lubaczowa, lecz tu natrafiły na wysłane wcześniej podjazdy dowodzone przez Łazińskiego i Zbrożka. Bitwa kilka razy odnawiała się w miarę przybywania nowych czambułów zdążających z jasyrem w stronę kosza, a zakończyła w okolicach Lubaczowa, w którym to kierunku uciekała największa liczba Tatarów.

Odniesione zwycięstwo miało znaczne rozmiary. Samego jasyru odbito kilkanaście tysięcy ludzi. Wzięto kilkudziesięciu jeńców, w tym jednego ze znacznych murzów. Sam Dziambet Girej Sołtan zdołał umknąć. Pomimo zmęczenia, wojsko pobierało jeszcze odbity jasyr, zwłaszcza dzieci, który odesłano w bezpieczne miejsce. Męczący marsz i stoczona walka wymusiły odpoczynek. Chorągwie pozostały na noc na bitewnym poboju. Tu ścigały zapędzone w pogoni za nieprzyjacielem polskie oddziały. Następnego dnia hetman Sobieski przeprowadził swoje wojska do pobliskiej Kochanówki. Wysłane podjazdy nie informowały o nieprzyjacielskich działaniach, dlatego Sobieski zarządził całodzienny odpoczynek. W poprzednich dniach (5-7 X) chorągwie przebyły ponad 150 kilometrów błotnistych, jesiennych traktów, w tym około 84 kilometry bezdroży i stoczyły 5 większych i kilka mniejszych bojów i potyczek. Ludziom brakowało sił, a konie zaczynały ustawać. Należało też poczekać na maruderów, którzy nie mogli dogonić swych oddziałów. Po dobrej odpoczynku, zregenerowaniu sił i uzupełnieniu składu bojowego chorągwi o przybyłych ochotników Jan Sobieski zarządził wymarsz w kierunku Gródka, traktem na Jaworów. W okolicach Bruchmala Sobieski otrzymał informacje od wysłanych podjazdów, że główne siły tatarskie znajdują się między Przemyślem a Samborem. Porzucił więc trakt na

Gródek, wysyłając tam tylko silny podjazd w liczbie 20 ludzi pod dowództwem Pukoszewskiego z zadaniem dopędzenia i rozbicia działającego tu czambułu Omar Alego, podążającego z jasyrem w kierunku Lwowa. Sam natomiast na czele wszystkich chorągwi podążył w kierunku południowo-zachodnim. W rejonie Hoszan straż przednie wojsk hetmańskich napotkały oddziały tatarskie. Rozbiły go i pojmały jeńców, którzy dostarczyli cennych informacji, że główny kosz tatarski Nuradyn Sołtana (hetmana tatarskiego) znajduje się pod Komarnem. Tam też skierował swe siły hetman Jan Sobieski. Tatarski kosz rozłożony pod Komarnem zajmował dość duży teren położony wzdłuż brzegów Stawu Kłiteckiego, na którego trudno dostępnych wyspach schroniła się miejscowa ludność. Siły tatarskie w liczbie około 10 000 ludzi, uzupełnione o oddziały Lipków, Kozaków, a nawet jakąś zdradziecką, najemną chorągiew polską, rozstawione były dość chaotycznie ze względu na przepełnienie kosza licznym jasyrem. Przypominały raczej wielkie targowisko niż obóz wojskowy i wymagały dość dużej ilości czasu, by sformować szyki obronne. Tatarzy, pewni że w tych okolicach nic im nie grozi, nie wystawili żadnych ubezpieczeń. Na wieść o zbliżających się Polakach, Nuradyn rozpoczął formowanie obrony i gromadzenie jeńców w jednym miejscu. Starszych i osłabionych zabijano dla zyskania na czasie. Jednak cennego czasu na przegrupowanie Tatarom zabrakło, a wojska polskie w sile około 2 500 ludzi szybko nadchodziły. Pomimo zmęczenia marszem jaki tego dnia odbyli (57 kilometrów) w deszczu i po drogach, że - jak pisał Sobieski: „gorszych y większych nie masz w całym świecie”, pomimo ustających koni, hetman z marszu wydał rozkaz ataku. Postanowił wroga nie tylko pobić, ale zniszczyć całkowicie. „W oczy” Tatarom rzucił słabszy oddział w liczbie około 1 000 ludzi pod dowództwem strażnika koronnego Bidzińskiego, który miał atakować od lewego skrzydła z kierunku wsi Buczały. W jego skład wchodziła własna chorągiew kozacka strażnika koronnego, chorągiew kozacka podczaszego Mielnickiego-Kobyłeckiego, chorągiew kozacka Łazińskiego, chorągiew kozacka oboźnego koronnego pod dowództwem Linkowicza, pułk księcia Ostrońskiego pod dowództwem Łaski i prawdopodobnie pułk chorążego koronnego, a także pewna liczba towarzystwa, czyli ochotniczej szlachty.

Było już późno, bo około godziny 20, gdy rozpoczęła się walka. Lekka jazda Bidzińskiego przeprawiła się przez rzeczkę Smotrycz na oczach całego kosza Tatarów, po czym uszykowane w marszu chorągwie, nie tracąc ducha na widok przeważających wojsk nieprzyjaciela, ruszyły do natarcia. Tatarzy podjęli walkę ze słabszymi siłami

polskimi, kierując się w ich stronę, czyli na lewe skrzydło, odsłaniając tym samym tyły i prawe skrzydło. Tymczasem hetman Sobieski przeprowił się przez rzekę, przeszedł obok wsi Chłopy, i na czele głównych chorągwi polskich, zaatakował Tatarów z boku i od tyłu. Zaskoczenie było całkowite, ponieważ Tatarzy spostrzegli wojska Sobieskiego wychodzące zza wzgórza, dopiero w chwili gdy te ruszały już do natarcia. Nieprzyjaciel zaskoczony dwuskrzydłowym natarciem nie wytrzymał nawet pierwszego uderzenia i szukał ratunku w ucieczce. Jednak drogi na Lwów i ku Dniestrowi miał odcięte. Część Tatarów znajdującą się nad brzegiem Stawu Kliteckiego tam szukała ratunku, trafiając w ręce rządnych zemsty mieszkańców Komarna i okolicznych chłopów, chroniących się dotychczas na trudno dostępnych wypach. Ogarnięta popłochem spora grupa Tatarów porzuciła konie, broń, a nawet ubrania i salwowała się ucieczką w kierunku Bieńkowej Wiszni i Rudek, gdzie została dopadnięta przez oddziały pościgowe. Tatarzy, szukający schronienia w lasach i szuwarach nadrzecznych, trafili w ręce chłopów. Bitwa zakończyła się późną nocą. Z pogromu uszło zaledwie kilkuset Tatarów pod wodzą Nuradyna. Pole bitwy i cała droga odwrotu zasłana była tatarskimi trupami. Zdobyto dwie chorągwie, tatarską i kozacką. Do niewoli wzięto tylko kilkudziesięciu jeńców, a z tatarskiego jasyru uwolniono około 20 000 ludzi. Przemęczone oddziały polskie odpoczywały przez całą pozostałą część nocy w rejonie Rudek. Z zeznań pojmanych jeńców i widoku dymów, wynikało że na Zadniestrze działała horda najmłodszego z Sołtanów, Adżi Gireja. Hetman Sobieski postanowił więc przeprowić się przez Staw Klitecki i Wereszczycę z zamiarem dopadnięcia całej hordy ze wszystkimi zagonami i jasyrem. Pod Komarnem rozłożono obóz, czekając na naprawę grobli i mostów. Rankiem 10 października rozpoczęła się przeprawa. Gdy już kilkanaście chorągwi znajdowało się na drugim brzegu, hetman Sobieski otrzymał informację, że w okolicach Hruszowej przebywa duży oddział tatarski szykujący się do przeprawy przez Dniestr w miejscowości Mosty. Wiadomość ta obaliła cały misterny plan hetmana. Wykonywana pod Komarnem przeprawa polskich wojsk była zbędna. Nieprzyjaciel znajdował się na południu. Decyzja Jana Sobieskiego była natychmiastowa. Przeprawa została przerwana, a hetman, nie czekając na powrót przeprowionych już chorągwi, ruszył w kierunku Mostów. Około południa podążyło za nim kilkanaście chorągwi,

które musiały dokonać przeprawy powrotnej. Po dotarciu nad brzeg Dniestru okazało się, że uzyskane informacje były mylące. Rzeka wylała i przeprawa z jasyrem nie była w tym miejscu możliwa. Cała dolina zalana była wodą, pod którą znajdowała się też droga do mostu na Dniestrze. Tylko miejscowy i dobrze obeznany ze szlakiem przewodnik mógł przeprowadzić wojsko do mostu, a później na drugi, suchy brzeg rzeki. Było to do przebycia kilka kilometrów wód o nieznanej głębokości i szybkim nurcie. Takiego przewodnika znaleziono, a był nim miejscowy chłop z Wołszczy. Słońce już zachodziło, gdy na brzeg Dniestru przybyły ostatnie chorągwie polskiej jazdy. Na przeprawę całego wojska było już za późno, dlatego Sobieski pozostawił je na nocleg. Sam ze swoją chorągwią pancerną, dragonią i rajtarią poprzez wody dotarł do miejscowości Mosty, gdzie żołnierze, pomimo zmęczenia, przystąpili do całonocnej naprawy mostu na Dniestrze. 11 października z brzaskiem dnia rozpoczęła się przeprawa wszystkich chorągwi polskich przez Dniestr i jego zalaną dolinę. Po chwili odpoczynku chorągwie ruszyły dalej by przeprowić się przez kolejną rzekę Bystrycę z jej zalaną, bagnistą doliną i dotrzeć do wsi Hruszowej. Tatarów już tu nie było. Zmierzali z jasyrem w stronę Drohobycza i Stryja, a ich szlak znaczyły widoczne łuny i dymy pożarów. Przeprawa polskich chorągwi przez Dniestr i Bystrycę trwała do południa, czyli około 5 godzin. Pomimo wielkiego zmęczenia, wojsko ruszyło dalej w pościg za nieprzyjacielem i dopiero późnym popołudniem, po minięciu Drohobycza i dotarciu do wsi Gaje, hetman Jan Sobieski zarządził postój i odpoczynek. Nie był on jednak dany wszystkim, bo w kierunku Stryja wysłano na całą noc rozpoznawcze podjazdy. Z napływających meldunków wynikało, że Tatarzy wyprzedzili polskie chorągwie o całe dwa dni marszu, podążając w kierunku znanych im przepraw w okolicach Halicza. Czas zaczął pracować na korzyść tatarskich czambułów. Wyczerpany polski żołnierz wykonywał hetmańskie rozkazy ostatkiem sił. Konie padały ze zmęczenia każdego dnia i to w dużej liczbie. Do kolejnej przeprawy i marszu komunikiem polskie chorągwie się nie nadawały. Jednak hetman Jan Sobieski miał wielki posłuch u żołnierza, który doskonale rozumiał, że po przeprawie tatarskich czambułów przez Dniestr, dalsza pogoń za nieprzyjacielem nie będzie miała już żadnego sensu i skazana jest na niepowodzenie. Nie czekając więc dnia, polskie chorągwie ruszyły w pogoń. Wydawało się, że był to już naj-

wyższy szczyt żołnierskiego wysiłku. Przed świtem komunik minął Stryj, a koło południa przeszedł koło Bolechowa. Tu opuścił trakt i na przełaj przez wzgórze i lasy, pokonując tego dnia ponad 85 kilometrów, dotarł i zatrzymał się w rejonie wsi Hołynia. Tutaj napływały meldunki od penetrujących okolice podjazdów. Cała horda tatarska Adzi Gireja podążała wolno w kierunku przepraw w okolicach Halicza. Dołączył już do niej Nuradyn Sołtan, któremu cudem udało się uratować życie i zbiec w czasie bitwy pod Komarnem. Jako starszy rangą, przejął dowodzenie nad hordą. Po minięciu Rożniatowa, Tatarzy zatrzymali się na biwak w dolinie rzeki Bereznicy. Dla hetmana Sobieskiego wszystko stało się jasne. Nieprzyjaciel został dopędzony i to w najdogodniejszym miejscu. Kolejny dzień musiał być dniem rozstrzygającej bitwy, by wykorzystać całkowicie pełne zaskoczenie i korzystne warunki terenowe. Nocą, Sobieski posłał rozkazy do okolicznych miast: Kałusza, Nowicy i Rożniatowa, by uzbrojeni chłopcy spieszyli do lasów i na przejścia prowadzące w kierunku Halicza i Stanisławowa, gdzie mieli czekać z obławą na niedobitków tatarskich. Po krótkim odpoczynku, polskie chorągwie ruszyły komunikiem w stronę Nowicy i w świetle księżyca przeprowały się przez Czuczew, Gnilec i Łomnicę. Łuny tatarskich ognisk wyznaczały im kierunek marszu. Wszystkie dotychczasowe marsze, przeprawy, boje i pogonie były niczym w porównaniu z trudami tego, ostatniego już etapu. Wysiłek i głód poprzednich dni, wyczerpanie koni, zimno i wilgoć dziesiątkowały chorągwie, a komunik topniał w oczach, spadając do liczby około półtora tysiąca ludzi. Jednak ten wynędzniały do ostateczności żołnierz podążał zgodnie z rozkazem na spotkanie nieprzyjaciela liczącego od 8 do 10 tysięcy ludzi, by stoczyć z nim ostateczny bój. W okolicach Nowicy Jan Sobieski wysłał pułk wojewody ruskiego w kierunku wsi Petranka z zadaniem natarcia na tyły wroga i zamknięcia kierunku jego ewentualnej ucieczki. Chorągwie Baruchowskiego i Kozubskiego znajdujące się na podjazdach otrzymały rozkaz pilnowania boków kolumny nieprzyjaciela, tak by Tatarzy nie mieli możliwości ucieczki w tym kierunku i uniknięcia uderzenia głównych sił polskich. Około godziny po wschodzie słońca wyszedł komunik na Tatarów, zachodząc ich z boku. Czambuł tatarski był już w marszu, i zbliżając się do niebezpiecznych lasów bednarowskich, posuwał się bardzo ostrożnie. Chorągwie polskie, osłonięte przez pobliskie wzgórze wyszły na nich w pełnym szyku bojowym. Na przedzie zajmowali miejsce harcownicy, co zmyliło początkowo Tatarów, którym



Rejon działania czambułów tatarskich

wydawało się, że nadchodzące siły to oddziały złożone z załóg pobliskich zamków. Dlatego odważnie przyjęli walkę i stawili silny opór. Gdy jednak po chwili ujrzeli polską husarię idącą w szyku bojowym, w panice rzucili się do ucieczki drogą na Uhrynów, gdyż tylko ten kierunek był wolny. Innych atakowały już pozostałe polskie chorągwie. Z możliwości ucieczki tą drogą zdołało skorzystać niewielu Tatarów. Inni próbowali schronić się w lasach, porzucając konie i jasyr. Tu jednak czekali na nich chłopcy, którym hetman Sobieski wysłał na pomoc jednostki dragonii. Bitwa była bardzo krótka i szybko przekształciła się w trwającą aż dwa dni obławę na Tatarzyna. Wszystkie drogi i lasy pokryły tysiące trupów. W tej walce pardonu nie było. Wzięto zaledwie kilkuset jeńców, w tym cały dwór obu sołtanów. Zdobyto 5 chorągwi sułtańskich, 2 semeńskie, 1 syzińską, 1 nohajską i buńczuk, a także duże ilości koni i bydła. Z jasyru uwolniono około 10 000 ludzi, w tym bardzo wiele kobiet i dzieci. Była to ludność polska z ziemi sanockiej. Tak zakończyła się ostatnia bitwa w czasie krasnostawskiej wyprawy Jana Sobieskiego na czambuły tatarskie, i był to szczyt wysiłku żołnierzy, a przede wszystkim koni. Do dalszej akcji nikt już nie był zdolny. 15 października pod Uhrynówem odprawiono uroczyste nabożeństwo dziękczynne, po którym do króla ruszył cześćnik poznański Złotnicki z listem hetmańskim zawiadamiającym o zwycięstwie i prośbą o zimowe chleby i leże dla wojska. W dniach od 5 do 14 października chorąg-

gwie pod wodzą Jana Sobieskiego przebyły ponad 450 kilometrów, czyli około 50 dziennie, po fatalnych i błotnistych drogach oraz bezdrożach, przekraczając wielokrotnie rzeki, w ogniu stałych walk, w terenie, gdzie o „bochenek chleba trudniej było, niż o tysiąc Tatarów”. W bitwach stoczonych w czasie wyprawy, polskie chorągwie walczyły łącznie z 20-25 tysiącami Tatarów, Janczarów i Kozaków, z czego zaledwie 2-3 tysiące uszło z życiem. Z jasyru uwolniono 44 tysiące ludzi. Nie zmieniło to wyniku wojny 1672 roku. Rzeczpospolita przegrała i podpisała haniebane układy w Buczaczu, stając się wasalem Turcji. Jednak na polskiej scenie pojawił się człowiek zdolny do poprowadzenia armii i zwycięstwa nad każdym przeciwnikiem. Sejm odrzucił haniebane układy buczackie i uchwalił wysokie podatki.

Pozwoliły one wystawić godną armię, która w roku następnym, poprowadzona przez jedyną, zdolną do tego osobę - Jana Sobieskiego, na polach Chocimia pokonała Turków, zadając im największą do tego czasu klęskę lądową w ich historii. Stało się to dopiero w 1673 roku, a tymczasem w dniu 16 października 1672 roku chorągwie polskie prowadzone przez hetmana Jana Sobieskiego wymaszerowały spod Uhrynowa, i obierając kierunek krasnostawski, udały się w drogę powrotną, a pod koniec miesiąca przybyły witane biciem wszystkich dzwonów kościelnych do Krasnegostawu, miasta, w którym to wszystko się zaczęło.

Zbigniew Atras

Hugo Zieliński, *Wyprawa Sobieskiego na czambuły tatarskie*, Przegląd historyczno-wojskowy. Z pracy tej pochodzi większość powyższego opisu.

Kazimierz Stołecki

Tatarskie najazdy - obrazy zapisane w starych księgach

Wśród wydarzeń historycznych, które miały szczególnie duży wpływ na losy naszych antenatów, były: warunki klimatyczne, morowe zarazy oraz wojny. Dla szeroko zakreślonych okolic Krasnegostawu, który leżał na ziemiach ruskich, początkowo były to pograniczne walki polsko-ruskie i litewskie. Największą jednak wagę miały tatarskie najazdy, którymi przez niemal pięć stuleci (XIII-XVII), gnębione były wschodnie ziemie polskie. Oto obraz tatarskich najazdów, jaki został zapisany w starych księgach.

Działania tatarskie w XIII wieku na Węgrzech miały największy zasięg i najstraszniejsze skutki. W latach 1241-1242 zginęła połowa ludności kraju (około 2 mln ludzi). Ta przerażająca skala zniszczeń wynikała z taktyki działań tatarskich. Pustoszyli oni tereny, które znalazły się w ich zasięgu lub wykonywali szybkie przemarsze utartymi szlakami. Podczas pochodów pozostawiali za sobą pas zgłiszcz szerokości 30 km. Obie formy działań były stosowane w czasie najazdów na Polskę [1].

Szczekarzew (dawny Krasnystaw) leżał na szlaku trzech wielkich najazdów tatarskich na ziemie polskie w XIII wieku w latach: 1240/1241, 1259 i 1287 [1]. W listopadzie 1240 r. Mongołowie wystali do Polski oddziały dalekiego rozpoznania. Jeden z nich posuwał się szlakiem wołyńskim na Chełm. *Miasto Chełm r. 1240 jedyne w całej okolicy*

ocalało od Tatarów, czyli Mogołów, i zaludnione w części Niemcami w części Polakami, różnemi rzemieślnikami, ocalało wśród gruzów i rozwalin tych okolic [2]. Nie mogąc zdobyć Chełma, Tatarzy spalili przedmieście i cerkiew św. Trójcy, podzielili się na dwie części, a jedna z nich szturmem zdobyła Lublin. Bezsukutecznie próbowali zdobyć Kraśnik, w którym rycerstwo i ludność okoliczna schroniła się w zamku. Zdobyli Zawichost. Druga część, skierowała się na Brześć. Mieszkańcy zostali wycięci w pień, a miasto spalone. Główną wyprawę przeprowadzili w lutym tą samą drogą. 13 II zdobyli Sandomierz i ruszyli w stronę Krakowa. Główne uderzenie nastąpiło w marcu 1241 r. siłami jednego tumena (około 10 tysięcy). Tatarzy przez Lublin i Zawichost dotarli do Sandomierza. Pod Sandomierzem rozdzielili się na dwa oddziały. Większy ruszył w stronę Krakowa [3]. Do generalnej rozprawy doszło 9 IV 1241 roku pod Legnicą, ze znanym skutkiem. Długosz napisał: *z wielką szybkością wpadli do Polski i dwa miasta podówczas dość ludne: Lublin i Zawichost i przyległe im powiaty i okolice złupili i spustoszyli. Widząc się obciążonymi niezmierną liczbą polskich i ruskich obojej płci jeńców, tą samą drogą, którą przyszl, cofnął się na Ruś. A uprowadziwszy brańców w bezpieczne miejsce, wrócili znowu pospiesznie do Polski, dokąd rzeki Bug i Wisła wtedy zamarzły nie broniły po lodzie wstępu. Zbliżyli się pod Sandomierz, a zdobywszy go, wszystkich mnichów Cysterskiego zakonu, tudzież wielką liczbę mężów duchownych i świeckich, niewiast, szlachty i gminu obojej płci, którzy byli w tym miejscu dla obrony lub ocalenia życia,*

pomordowali, sprawiwszy rzeź straszną, nie oszczędzono ani starców, ani dzieci, a niewielu tylko przepuszczono, którzy jako niewolniki poszli w łyka i jassy [4].

Najazd w roku 1259, rozpoczął się w drugiej połowie listopada. Oddziały tatarskie z posiłkami litewskimi i ruskimi, przeszły przez Lublin i Zawichost, przekroczyły Wisłę i w styczniu roku 1260 zdobyły Sandomierz. Napisał o tym Długosz: *starostę Sandomierskiego Piotra z Krempy, i wszystkich rycerzy Polskich, którzy z nim przybyli, pojmali w łyka, i ze wszystkiego obdarli, a zbiwszy ich wielościami, w końcu potracili. Potem rzuciła się horda na zamek, w którym sam tylko pozostał gmin wieśniaków, dzieci i niewiast do broni niezdolnych, z łatwością, przeto Tatarzy wdali się do zamku, i w nim wszystkich wymordowali: potem zrabowawszy zamek i podpaliwszy, wiele ludzi, których jeszcze oszczędziło żelazo, nagnali kupą, do Wisły, i jakby już ręce mieli od rzezi osłabłe, w wodzie potopili [4].* Po spaleniu miasta, część armii ruszyła w kierunku północno-zachodnim. Dotarła do Sulejowa, po czym skierowała się na Kraków. Klasztor w Zawichoście i na Łysej Górze spustoszyli, a łupiestwa i mordy aż do Krakowa i Bytomia rozszerzyli, przyczem wiele ludu poszło w niewolę. A pogościwszy w Polsce przez całe dwa miesiące, zniszczywszy wiele miejsc pożarami, z mnogim gminem jeńców i znaczną zdobyczą przez Ruś, której książęta dostarczyli im posiłków, powrócili do swoich siedlisk, gdy nikt hordom tak licznych nie śmiał stawić oporu [4].

W 1265 r. Lew i Mściław Daniłowicz poszli z Tatarami w Łacką ziemię i spustoszyli koło Lublina. Zimą roku 1280, oddziały tatarskie, sojusznicy wojsk ruskich, dotarły do Sandomierza. Przeszły Wisłę po lodzie i ruszyły na Kraków. 23 II poniosły klęskę w starciu z Polakami i zawróciły na Ruś. Tego okresu dotyczy zapis w Latopisie Ruskim [5]: *Roku 1282 (historycy uważają, że mogło to być wiosną roku 1285) Telebuga, chan tatarski [z armią] poszedł przez Karpaty, drogą, którą można było przejść w trzy dni. A chodził on dni trzydzieści, błędząc po górach, bo prowadził go gniew boży. Nastął u nich wielki głód, tak że ludzie zaczęli jeść konie, potem sami zaczęli umierać, i umarło ich niezliczone mnóstwo. Telebuga wrócił piechotą ze swoją żoną i jedną kłaczą.*

W grudniu roku 1287, Tatarzy znów zaatakowali Małopolskę dwoma oddziałami. Starym szlakiem przeszli obok Lublina, którego nie zdobywano, do Zawichostu. W roku 1287 Tatarzy nawiedziliwszy po drodze ziemię Ruską, które już wtedy haracz opłacały, wpadli do ziemi Lubelskiej i Mazowieckiej, a potem w okolice Sandomierza, Sieradza i Krakowa, i chmarami licznymi jak szarańcza dnia jedenastego Grudnia, wśród najcięższych mrozów, kiedy dokoła grube leżały

śniegi, rozsypali się po kraju. Wnet klasztory, kościoły i warownie, do których lud się schronił, pobrawszy przemocą i popaliwszy, zabawili się przez kilka dni zdobywaniem zamku i miasta Sandomierza, ale gdy załoga tameczna dzielnie obojga broniła, przymuszeni byli szkodą znaczną i sromotą odstąpić. W przeddzień Narodzenia Chrystusa przybyli pod Kraków i poczęli go dobywać, ale straciwszy kilku znakomych wojowników, z wielką żałobą i jękiem od niego odstąpili, i roznieśli za to spustoszenia na przedmieściach i wioskach. Tatarzy zaś, dowiedziawszy się od jeńców o ucieczce księcia Leszka Czarnego do Węgier, całą ziemię Krakowską i Sandomierską pod sam Sącz bezkarnie splądrowali [4].

Echa wielkich zniszczeń tatarskich w wieku XIV, znajdujemy w następującym zapisie: *Bodzanta, biskup krakowski, w ordynacji dziesięcin dla diecezji krakowskiej poświadczwszy o zniszczeniu przez Tatarów wspólnie z Litwinami ziem: lubelskiej, sieciechowskiej, łukowskiej w jego diecezji położonych, dla większego rzeczonych ziem zaludnienia, na prośbę króla polskiego i za zgodą kapituły, nadaje wszystkim tam osiadającym i już osiadłym wolność od dziesięcin na lat trzydzieście od obecnej daty. Dan w Krakowie d. XIV Junii 1359 [6].* W późniejszych wiekach zagrożenie najazdami nie ustawało.

W roku 1449, w Krasnymstawie zniszczony został przez Tatarów kościół augustiański (zapewne także i zamek), odbudowane około roku 1458 przez Kazimierza Jagiellończyka. W końcu XV wieku wzrosła aktywność tatarska na wschodzie Polski. Pierwszego wielkiego najazdu Tatarzy dokonali w roku 1474, pustosząc Podole i Ruś Czerwoną. Długosz tak opisał jego skutki: *Wszystek kraj podolski, prawie w każdym zakątku, od człeka aż do bydłęcia zakrwawiony i sponiewierany, a z nim znaczna część Rusi, wydały jęk bolesny a wiele tysięcy ludzi płci obojga w wieczną niewolę zostały uprowadzone i sprzedane [4].* W roku 1485 Tatarzy ponownie najechali Podole. W 1490 r. wdali się na Wołyń i Chełmszczyznę. Nawiedzali polskie ziemie, docierając niekiedy aż po Kraków. W następnych latach najazdy tatarskie stały się codziennością.

Roku 1489 Król Kazimierz usłyszawszy, iż Tatarzy w wielkim woysku Ruskie y Podolskie ziemie srogo wołowali, wyprawił przeciw nim Jana Albrychta, Syna swojego a było z nim konnego ludu piętnaście tysięcy, z wielką śmiałością uderzyli nas, y na głowę Poganów porazili, y łupy y więźniów odbili [7]. W 1489 roku, gdy Tatarzy zwyczajem swoim Ruś i Podole napadli, zgromił powracających królewic Jan Olbracht, jeden oddział pod Kopestrzynem, drugi nad Szawraną rzeką, tak że

żaden prawie nie uszedł. Gdy zaś w zimie napad swój powtórzyli, kopiących się do dom przez śniegi, napadła ich szlachta i do dziewięciu tysięcy wybiła [8].

Wiek XV zakończył się wielkim najazdem tatarskim na ziemie wschodnie. Pozostały po nim liczne opisy. Oto kilka z nich. W roku 1500 Mengli-Girej, chan krymski, rozpoczął wojnę z Aleksandrem, jako sprzymierzeniec Iwana III, W. Księcia Moskiewskiego, a potem na własną rękę. Żądał od Aleksandra corocznej daniny z 13-tu naddnieprzańskich miast litewskich, ziemie zaś polskie najechał, nie wystawiając żadnych pretensyj. Achmed-Girej, syn jego, rozpuszczał zagony pod Bractawiem, Chmielnikiem, Wiśniowcem, Włodzimierzem Wołyńskim, Bełzem, Hrubieszowem, **Krasnym Stawem**, Lublinem - w lipcu; potem powtórnie, we wrześniu, spustoszył okolice Brześcia Litewskiego i Zawichostu nad Wisłą. Jasyru zabrano z 50 000 głów. Jan Olbracht nie zdążył dogonić lotnych rabusiów, chociaż wyjeżdżał z Krakowa na Ruś [9]. Wnet Tatarzy z mocą wielką przyszli do Ruskich krain (drugie półrocze roku 1500). Wielkie szkody czynili i popalili, ziemię wszędzie zwoiowali i wielkie korzyści wywiedli [10]. Ruś, Litwę, Ziemię Sandomierską, Mazowiecką i Lubelską, Urzędów, Łańcut, Leżajsk, **Krasnystaw**, Zawichost, okolice Opatowa, okolice Lublina po Brześć Litewski, a także z nimi sąsiadujące, straszliwie spustoszyli [11]. Około 08 VI 1500 Tatarzy wtargnęli do Królestwa Polskiego i pustoszyli około Lublina, Turobina, Bełza, **Krasnegostawu** i innych miejsc. Wkrótce potem, 22 VII 1500, Tatarzy niespodziewanie powtórnie i jeszcze straszniej pustoszyli ziemię: ruską, litewską, sandomierską i lubelską: Urzędów, Łańcut, **Krasnystaw**, Zawichost, wokoło Opatowa, Lublina i Brześcia Litewskiego [12]. Tatarzy w końcu Lipca koło Bełza, Turobina, Kraśnika, Lublina i **Krasnostawu** aż pod Wisłę swoim obyczajem kraj napadli, bezkarnie pustoszyli i wyludniali, a nieprzystając na tem, znowu w miesiącu Wrześniu - po województwie ruskim około Łańcuta, Leżajska, po sandomirskim około Zawichostu, Opatowa, a zarazem i na Litwie południowej aż pod Brześć Litewski w srogi sposób dokazywali. Teyże jesieni (roku 1500), z naprawy Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, Mindykirej Car Prekopski posłał syna swego Achinatkireja z mnóstwem Tatar w Polskie i Litewskie Państwa, którzy zawoyowali ziemię Wołyńską, Podlaską y Polską y spalili miasto Włodzimierz, Brześć spustoszyli w Polszcze też około Bełza, Kraśnika, Turobina, **Krasnegostawu**, Lublina, Urzędowa (spalili Chełm, Lublin i **Krasnystaw**), aż do Rzeki Wisły burzyli. Przeciw którym zebrał się Albryecht Król, ale gdy nie mógł Pogan dogonić, wrócił się do Krakowa. Ci Tatarowie

rychło po tym złożywszy łupy w Prekopie, Miesiąca Września wrócili w też Kraie, gdzie Ruskie strony na południe leżące, y część Litwy z naprawy Moskiewskiego zwoiowali, w Polszcze też koło Łańcuta, Leżajska, Zawichosta przebywszy Wisłę od Opatowa aż do Brześcia Litewskiego nazad ciągnąc wszystkie wołości splundrowali [7, 13]. Starców i dzieci w pień wyrzynając, lud roboczy uwlekając w niewolę, pałac niemiłosiernie domostwa [14]. Król Albert (Jan Olbracht), w piątek, jedenastego czerwca przed dwudziestą pierwszą godziną z wojskiem wyruszył, nic godnego wspomnienia nie uczyniwszy. Zatem, 22 lipca, do Krakowa powrócił. A wnet Tatarzy po raz wtóry wpadli i Ruś, Litwę, Ziemię Sandomierską, Mazowiecką i Lubelską, Urzędów, Łańcut, Leżajsk, **Krasnystaw**, Zawichost, okolice Opatowa, okolice Lublina po Brześć Litewski, a także z nimi sąsiadujące straszliwie spustoszyli. i złupiwszy, wszystkich możliwych, nieszczęśliwych, śpiących, żadnej obrony nie przeciwstawiających, wolno odstąpili. Którzy to panowie Piotr Myszkowski, wojewoda sieradzki i starosta lwowski, Mikołaj Kamieniecki, wojewoda sandomierski i starosta krakowski, przejściu Tatarów stawili opór i drogę zastawili, a inni możni, bojaźliwi na Tatarów nie wyskoczyli [11]. Tatarowie z mocą wielką przyszli do Ruskich krain. Wielkie szkody czynili, wybrali i popalili ziemię Sandomierską i Lubelską, około też Urzędowa, Leżajska, Łańcuta, Jarosławia, **Krasnegostawu** aż do Brześcia Litewskiego wszędzie zwoiowali i wielkie korzyści wywiedli [10]. Zaprawdę, Tatarzy w porze żniw plonów zimowych, z ogromną gwałtownością przez Wołyń, Ruś i Polskę, okolice Bełza, **Krasnegostawu**, Turobina, Kraśnika i Lublina, aż do Wisły, nieludzko wszystko spustoszyli, czym król był wstrząśnięty [13]. Wydarzenia te opisano w latopisie ruskim: w Lechickiej ziemi Tatarzy wzięli miasto Rubieszów, i spalili, miasto Bełz, i Lwów, Chełm i Lublin i **Krasny Staw**, a od mieszkańców okup wzięli [15] i latopisie moldawskim: za Olbrachta, króla polskiego, w roku 1500, Tatarzy najechali Wołyń w Ziemi Ruskiej: Bełz, **Krasnystaw**, Turobin, też Lublin i Kraśnik, do Wisły [16].

W wieku XVI, wschodnia Polska gnębiona była kolejnymi najazdami Tatarów: Najazd Tatarów krymskich w r. 1502 na ziemię Chełmską, w którym Sawin spalony, a większa część jego mieszkańców w jassy poszła. Roku 1503 Tatarzy Prekopskiego, Podole, Ruskie y Sędmirskie kraie zwoiowawszy, splundrowali też Rzeszów, Jarosław, Radzimin y Bełz, a przepawiwszy się przez Wisłę, Opatów, Łagów y Kumowo Miasta Zburzyli y spalili [7]. Roku 1512 zagony tatarskie, które w ten czas z Wołynia i z Podola do ziemi Lwowskiej, Bełskiej, Buskiej, Lubelskiej i aż pod **Krasny Staw** zachodziły, przez

dwanaście utarcznych bitew od Polaków były porażone, a tak Tatarowie, za pomocą Bożą, znacznie od naszych skarani byli [7]. W roku 1512 szereg znakomych zwycięstw ma miejsce. W tym czasie, kiedy barbarzyńcy Ruś i Wołyń napadli i ziemie bełską, lwowską i buską wyludnili i aż w **Krasnymstawie**, w ziemi lubelskiej rabunek uczynili. Następnie barbarzyńcy owi, przez polskie wojsko w dwakroć po sześć oddzielnych bitew rozciągnięci byli i pokonani. O zwycięstwie tym, dzięki Bogu Najwyższemu i ojczyźnie świętej, i pojmanych barbarzyńcach, Królowi doniesiono, a jejcy zakuci w kajdany Krakowianom wznoszącym łuki triumfalne przyprowadzeni, na wieczną niewolę przeznaczeni zostali [17].

Latem Roku 1519 Miesiąca Sierpnia Thatarowie w poczcie wielkim wtargnęli do Bełskiej ziemi, wiele szkód poczynili w ludziech, dobytku y w innych rzeczach biorąc, pałac, mordując w Lubelskiej, Chełmskiej y Bełskiej ziemi [10]. Roku 1524 Turcy y Tatarowie Lwowską, Sanocką, Bełską, y Podolską Ziemie okrutnie raz po raz zwoiowali. W r. 1526 Tatarzy Sedetgiereja za rozkazaniem tureckim napadli Ruś, odparci rzucili się z początkiem r. 1527 na Litwę. Roku 1527 Tatarowie wielkie szkody częstymi wtarczkami w Rusi, Polsce y w Litwie przyległej czynili [7]. Roku 1527 Tatarów dwadzieścia i sześć tysięcy za rozkazaniem tureckim, przez wody, rzeki i jeziora zamarzłe, do Litwy wtargnęli, a poczyniwszy niemało szkód około Pińska, do bełskiej potem i lubelskiej ziemi przyszli, biorąc, pałac; owa im do łącznego wszędzie przejścia twarda ziemia przez wody pomagała. Jeden zagon przyszedł pod Skokówkę zamek Szczęsnego Zamojskiego, podkomorzego chełmskiego, na które ludzie z zamku wyciekli; tym się, pohańcy ustępując udali w gaj, który tam na tymże jest ostrowie, a za nim rzeka oparzysta Wieprzec, i błoto, gdzie przyparci musieli srogości swej krwią przypłacić, a drudzy uchodzili z płonem coprędzej. Konstanty Ostrogski, który się natenczas z Wołynicy swymi przytrafił, dniem i nocą za nimi goniąc, pod Kaniowem, gdzie się byli Tatarowie rozgościli, na świtanie na nie uderzył, i tak na nie ugodził, że im i do koni przyjsć nie dopuścił. Tak, że oni aczkolwiek długo się pieszo z łuków bronili, wszakże naostatek porażeni i zbici byli, że ich ledwie, co uszło, i płon wszystkich nazad wrócon. Powetował tam Konstantyn sokalskiej bitwy przegranej; siedm set Tatar poimanych, a więźniów chrześcian czterdzieści tysięcy wybawionych było. Potem ksiązę Konstantyn, gdy do Krakowa z więźniami i proporcji tatarakami wjechał, wielką uczciwość i podziękowanie od króla odniósł [18]. Tatarowie Roku 1575 Miesiąca Września y Października wielkie szkody w ziemiach Ruskich, Wołyńskich i Podlaskich uczynili. Bo **krom**

pobitych starych ludzi y małych dzieci, ludzi Chrześcijańskich pięćdziesiąt y pięć tysięcy wywiedli w niewolę, a koni i kłacz półtoraćsto tysięcy, bydła rogatego pięććroćsto tysięcy, owiec dwieście tysięcy, okrom inszych łupów, szat, złota, srebra, skarbów, i rozmaitych statków domowych [7].

Krasnostawscy mieszczenie, z powodu zniszczenia miasta, otrzymali szereg królewskich ulg podatkowych. Oto ich przykłady. 10 XI 1503 Aleksander Jagiellończyk mieszczan krasnostawskich, przez wzgląd na spustoszenie miasta przez Tatarów i na prace przy obwarowaniu miasta, uwalnia od podatków na lat 6 i od czopowego na 2 lata. 14 II 1504 Aleksander Jagiellończyk, Maciejowi ze Starej Łomży, biskupowi chełmskiemu, którego diecezja przez Tatarów zniszczona została, przyznaje 200 marek pensji z żup przemyskich i drohobyckich. 06 XI 1504 Aleksander Jagiellończyk z powodu zniszczeń przez Tartarów, Mieszkańcom Krasnostawu połowę kontrybucji na koronację Matki Królewskiej darowuje na odbudowę i obwarowanie miasta. Przez wzgląd na szkody przez Tatarów poczynione, uwalnia mieszczan i mieszkańców krasnostawskich, kupców, z płacenia ceł, na sejmie walnym w Piotrkowie na nowo uchwalonych. 27 VI 1545 Mieszczan krasnostawskich z powodu spustoszenia miasta przez Tatarów uwalnia się od czopowego na jeden rok.

Na początku wieku XVII, Krasnostaw zagrożony był kolejną inwazją Tatarów. W roku 1621, w okresie wojny chocimskiej, ogromne były straty Rzeczypospolitej w ludności cywilnej i w całej gospodarce na kresach. Tatarzy przystąpili do grabieży 2 września, część ordy ruszyła w głąb Podola, Wołynia i Rusi Czerwonej. Zagony tatarskie dotarły wówczas do Złoczowa, Zborowa i Brodów. 28 września, na grabież ruszyła reszta ordy z chanem Dżanibekiem Gerejem. Tatarzy dotarli do Przemyśla, spustoszyli po drodze Podole, ziemię halicką, lwowską, przemyską, część województwa bełskiego i wołyńskiego. Pożoga i grabież trwały aż do połowy października. Sobieski pisał: *najmłodszy brat chana, chcąc szczęścia pierwszego spróbować, i żadnego wstrętu (oporu) w Polsce nie czując, bezpiecznie ogniem i mieczem psował florentissimas (kwitnące) Rzeczypospolitej regiones (regiony), i czego rok temu nieprzyjacielska ręka nie zabrała i nie zepsowała, on dokończył. Zagony rozpuścił. Jedne się wróciły aż 5 mil od Zamościa, drugie od Stryja i od Łucka, i od Sokala, trzecie od Sambora i Przemyśla. Siła ludzi nasiekli, szlachcianek i szlachty siła w niewolę nabrali, po błotach i lasach, jako przedtem po polach szukali, pasieki nawet palili i psowali, a*

miody sobie wypijali, a tak hojnie krew chrześcijańską rozlawszy, dymy i popieliska, pustki, ubóstwo, głód, płacz i skwierk przenikający niebios a po sobie zostawwszy, a konie swe chrześcijańskimi duszami najuczywszy, całe się ze wszystkim plonem i łupami do chana wrócili. Tatarzy, wtargnąwszy Roku przeszłego (1624) na Ruś Czerwoną a kray on aż po Lwów spustoszywszy, roku teraźniejszego (1625) z zdobyczą powracali do siebie, lecz od Koniecpolskiego Hetmana Polnego przeięci, przegrawszy z nim utarczkę, y to, co wzięli z Polski, zostawwszy; z niczym do kraiu swego uciekać musieli [10]. W czasie buntów kozackich i wojen tatarskich z r. 1648 i następnych, zarówno akta ziemskie, jak i grodzkie krasnostawskie zupełnemu uległy zniszczeniu i spaleni.

Jesienią roku 1672 w okolicy Lwowa wtargnęły tatarskie zagony Nuraddyna. Hetman Jan Sobieski, z obozu pod Krasnymstawem, podjął godną podziwu wyprawę na czambuły tatarskie, mając do dyspozycji zaledwie trzy i pół tysiąca jazdy. Czambuły tatarskie liczone na kilkadziesiąt tysięcy, a realnie w starciu z Sobieskim, mogło uczestniczyć do dwudziestu kilku tysięcy. Dysproporcje złagodziło uczestnictwo miejscowej ludności w pogoni za rozbitym przeciwnikiem, a także to, że siły tatarskie były rozproszone za jasyrem. 29 Septembris, Jan Sobieski pod **Krasnostawem** obozem stanął; tam językowie z podjazdów przywodzeni twierdzili, że kilkadziesiąt tysięcy Ordy miało wkrótce podpaść pod obóz, szukając Woyska, gdzie się obraca. 4 Octobris, napadła Orda na Chorągiew stojącą w Krynicy pod Zamościem, i goniąc ją aż pod obóz, trwogę uczyniła; dlatego zaraz jegomość pan marszałek zpod **Krasnostawu** obóz na bezpieczniejsze miejsce pod Krupę ruszył. Sam jednak tej nocy pod **Krasnostawem** został [19]. Tatarzy, rozpoczęli niszczenie wsi i chwytnie jasyru od razu we wszystkich kierunkach. Już 4 X zagony ukazały się w Województwie Lubelskiem, wpadłszy niespodzianie do Szczepieszyna, Tatarzy naścinali i nabrali dużo ludzi, potem rozbiegli się po wsiach ku Turobinu. Inny znów zagon natknął się na polską chorągiew, stojącą w Krynicy pod Zamościem, i zapędził ją aż w obóz pod **Krasnostawem**. Dla zabezpieczenia osoby królewskiej, na skutek wystanego rozkazanias, Sobieski spod Hrubieszowa przeniósł swój obóz pod **Krasnystaw**. W liście z obozu pod Uchaniem, pisał: 28 7bris 1672. Ruszyłem się z pod Rubieszowa, według woli J.K.Mci, pod **Krasnystaw** i stanę tam dnia 29 IX, czekając na dalsze rozkazanie. Tu, 4 X doszła go wiadomość, że nieprzyjacieli idzie prosto na osobę JKMci. Ostrzegłszy króla raportem, przeniósł obóz na bezpieczniejsze miejsce, ku północy, pod Krupę i z asekuracją, poszedł komunikiem, przejmował zagony między Zamościem i Szczepieszynem [20, 21].

Bom osadziwszy Lwów poszedł pod Rubieszów, a potem pod **Krasnystaw**, za ordynansem Króla JMci, stamtąd za Nieprzyjacielem, tak iako mi moja kazała poczcziwość y powinność [22]. D. 5 octobris rano, małą garstką ludzi, bo nas nad półtrzecia tysiąca nie było, ruszył się szlaki nieprzyjacielskie przecinać. Uszedłszy tego dnia 5 mil od **Krasnegostawu** ku Zamościowi, zatrzymał się Sobieski o zachodzie słońca w Sitańcu. Tu przeprowadził mu kozak Zawisza, kilku języków, od których wyrozumiano, że tatarzy zapadli koszem koło Krasnobrodu. Nie tracąc czasu, o północy ruszono w pogoń, w deszcz ulewny, i o pierwszym brzasku dziennym ujrano pod kapliczką Krasnobrodzką gorejące ognie tatarskiego koczowiska. Sobieski czekał, aż się rozwidni, ale Haneńko, który nadszedł od Zamościa, uderzył przed czasem, więcej spłoszył niż zgromił, bo korzystając z mroku puciekali tatarzy w lasy. Jassyr uwolniono jednak wszystkich i po lasach, gdy już oświłło, wielu uciekających nabiło [23]. Wyruszywszy z **Krasnegostawu**, spłoszył ordę Nuraddyna od Krasnobrodu na Tomaszów, aż pod Narol i Cieszanów, a dognawszy ją (6 października) przeszło 2 000 zabranych w jasyr jeńców uwolnił. Nazajutrz rozbito kosz (obóz) pod Niemirowem. Pogrom ten uwolnił 20 000 jeńców z niewoli tatarskiej. Niezmordowany Sobieski pognął na Kochanówkę i Gródek ku Komarnu, gdzie się schronił uciekający Nuraddyn. Tam (9 października) Sobieski mając tylko 2 500 konnicy uderzył na 20 000 obciążonych łupem Tatarów. Nuraddyn wyprawił jasyr naprzód, sam zaś z wybranymi tylko ludźmi stawiał czoło garście Sobieskiego. Ale Sobieski z Bidzińskim, strażnikiem koronnym, uderzyli z taką siłą, że nieprzyjaciel pierwszego nie wytrzymałszy impetu, na wszystkie strony pierzchać począł. Odbito 20 000 jeńców, których Orda około Sanoka, Krosna, Biecza i Liska pobrała. Wielu Tatarów potonęło w stawie pod Komarnem. Naszych ledwo półtrzecia tysiąca, ale okropna zagłada i jęczenie zmusiły mnie do boju, pisze Sobieski do króla. Nuraddyn kazał ścinać jeńców, którym wiek lub słabość przeszkadzała dotrzymać kroku. Sobieski ruszył w pola między Krechowicami i Kałuszem. Obstawiając okolicę chłopami, którzy porobili zasieki, i uderzył dnia 14 października na obu sułtanów dziesięciotysięcznym obciążonych jasyrem, liczba Tatarów wynosiła około 10 000, naszych, podług listu Sobieskiego, półtora tysiąca. Pomimo tego Tatarzy doznali klęski, a rozpierchnięci ginęli od chłopów w lasach. Na tym skończyła się wyprawa Sobieskiego. Zdaje się dzisiaj rzeczą bajeczną, jak półtrzecia tysiąca koni mogło w dniach jedenastu zmierzyć drogę od Krasnegostawu do Kałusza, zwieść cztery bitwy zwycięskie i pogromić tylu Tatarów. Tomaczyć sobie

to należy częścią osobistą dzielnością Sobieskiego i jego wojska, częścią znużeniem i obciążeniem Tatarów, którzy ogromny z sobą jasyr wlekli, częścią współdziałaniem ludu wiejskiego, który dopomagał swemu zbawcy [8.]. W okresie 5-14 X 1672 roku, wojska Sobieskiego w pogoni za Tatarami, przebyły trasę Krasnystaw - Petranka (**rysunek**) [24], przeszło 450 km (średnio 50 km dzienne), po fatalnych drogach i bezdrożach, przekraczając rzeki po zniszczonych przeprawach, z przymrozkami, w ogniu stałych walk, w terenie, gdzie *o bochenek chleba trudniej było, niż o tysiąc Tatarów*. Daje to pojęcie o wielkiej skali trudności przedsięwzięcia. W wyniku heroicznej i zwycięskiej wyprawy, Sobieski ze swoim wojskiem odbił 44 tysiące jeńców z tatarskiego jasyru.

Epilog. Po raz ostatni Tatarzy zagrozili polskim ziemiom wschodnim w końcu XVII wieku. W 1695 r. dotarli pod miejskie mury Lwowa, gdzie pokonały ich wojska hetmana Stanisława Jabłonowskiego. Ostatni wielki najazd Tatarów na Polskę został powstrzymany w bitwie pod Podhajcami (1698) przez Feliksa Potockiego. Było to ostatnie starcie epoki wojen polsko-tureckich, zakończonej pokojem w Karłowicach (1699) [25].

Bilans. Na osadnictwo w rozległej okolicy Krasnegostawu, wielki wpływ miały najazdy tatarskie, przez pięć wieków gnębiące polskie ziemie wschodnie. Najazdy te zwolniły, częściowo niszczyły, ale osadnictwa nie zatrzymały. W latach 1240-1241, 1259 i 1287, Szczekarzew leżał na szlaku trzech wielkich najazdów tatarskich na ziemie polskie. W wiekach XV-XVII, najazdy tatarskie na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej wyrządziły ogromne, wprost niewyobrażalne

szkody. Na przełomie wieków XV-XVI nieustanne najazdy, nie tylko zahamowały rozwój osadnictwa, lecz dokonały w nim znacznego uszczerbku. Krasnystaw i okolice zostały złupione, a zamek legł w ruinie. Na 84 okoliczne wsie -18 spalono, zaś 13 opustoszało (razem 37%). Jak się oblicza, do 1586 r. Tatarzy dokonali 150 do 300 masowych najazdów na ziemie Rzeczypospolitej. W sumie do powstania Chmielnickiego (1648) Rzeczpospolita na skutek napadów tatarskich utraciła około 300 tysięcy mieszkańców [26]. Prócz tego wielkie ilości innych dóbr: *koni i kłaczy, bydła rogatego, owiec* (idących w setki tysięcy) *oraz innych łupów - szat, złota, srebra, skarbów, i rozmaitych statków domowych* [7]. W latach 1618-1620 (według lustracji dóbr królewskich z roku 1621), na Rusi Czerwonej, Tatarzy zniszczyli 77% miast i 82% wsi. W latach 1648-1657 w Diecezji Chełmskiej, Kozacy Chmielnickiego i Tatarzy obrabowali 54 kościoły, a zniszczyli 10 (w tym katedrę), zginęło 36 księży, a 40 zmarło na zarazę. Szacuje się, że w I połowie XVII wieku w wyniku najazdów tatarskich, Rzeczpospolita utraciła około 250 tysięcy ludności. Pasmem nieszczęść były również lata 1652-1667, kiedy w konsekwencji zarazy i najazdów: szwedzkich, kozackich, moskiewskich i siedmiogrodzkich, a w końcu tatarskich, w powiecie krasnostawskim zniszczeniu uległo 80-95% wsi królewskich i 65-70% wsi prywatnych [27]. Spowodowało to ruinę zabudowy, zniszczenie upraw i wyludnienie - brak rąk do pracy. *Zaraza morowa i napady tatarskie, zabierając ludność i niszcząc pracę, nie pozwalały Polsce wzrósć w siłę i dobytek, zagospodarować się, ustalić węzły społeczne* [28].

Takie to były czasy.

Kazimierz Stolecki

Literatura:

1. W. Świątosławski, *Archeologiczne ślady najazdów tatarskich na Europę Środkową w XIII w.*, IAI PAN, Kraków 1997.
2. Biblioteka Warszawska, Pismo Poświęcone Naukom, Sztukom i Przemysłowi, Tom IV, druk. J. Kaczanowskiego, Warszawa 1844.
3. W. Zatorski, *Pierwszy najazd Mongołów na Polskę w roku 1240/41*, Przegląd Historyczno-Wojskowy, t. IX, s. 175-237, Warszawa 1937.
4. J. Długosz, *Dziejów Polskich Książ Dwanaście*, wyd. A. Przeździeckiego, drukarnia Czasu, W. Kirchmayera, Kraków 1868.
5. Літопис Руський. Роки 1261-1287. <http://litopys.org.ua/litop/lit25.htm>
6. I. Daniłowicz, oprac., *Skarbiec dyplomatów papieżskich, cesarskich, królewskich, itd.* T. 1, wyd.: A. H. Kirkor, Wilno 1860.
7. M. Strykowski, *Kronika Polska, Litewska, Żmudzka i wszystkiej Rusi*, Drukarnia Societatis Jesu, Warszawa 1766.
8. J. Szujski, *Dzieje Polski podług ostatnich badań.* T. 1 *Piastowie*, Lwów 1862, nakł. Karola Wilda, Lwów 1866.
9. T. Korzon, *Dzieje wojen i wojskowości w Polsce*, wyd. II, t. I-III, Ossolineum, Lwów-Warszawa-Kraków 1923.
10. M. Bielski, *Kronika wszystkiej świata*, wyd. M. Siebeneicher, Kraków 1564.
11. B. Wapowski, *Kroniki*, Dziejopisowie Krajowi, Wyd. Komisji Historycznej AU, Kraków 1874.

12. M. Miechowita, *Chronica Polonorum*, wyd. H. Wietor, Kraków 1.XII.1521.
13. J. Herburt, *Chronica, sive historiae Poloniae compendiosa*, wyd. Joannes Oporinus, Basel 1571.
14. T. Narbutt, *Dzieje Narodu Litewskiego (w krótkości zebrane)*, nakł. A. Marcinowskiego J. Zawadzkiego, Wilno 1840-1847.
15. *Kronika kłesk elementarnych w Polsce i w krajach sąsiednich*, Lwów 1935, 1937.
16. *Letopisețul anonim al Moldovei*, www.stefancelmare.ro/lizvoare-rom.htm
17. J. L. Decjusz, *De Sigismundi Regis Temporibus Liber, 1521*, wydał dr Wiktor Czermak, nakładem Akademii Umiejętności. Skład Spółki Wydawniczej Polskiej, Kraków 1901.
18. A. Gwagnini, *Z kroniki Sarmacyi Europejskiej*, wyd. K. Turowskiego, Wydawnictwo Biblioteki Polskiej, Kraków 1860.
19. *Biblioteka Ossolińskich. Pismo historii, literaturze, umiejętnościom i rzeczom narodowym poświęcone*. Poczet nowy. Tom VII. W Drukarni Zakładu Nar. Ossolińskich, Lwów 1865.
20. M. Jemiołowski, *Pamiętnik towarzysza lekkiej chorągwi, obejmujący dzieje Polski od roku 1648 do 1679*, w Drukarni Zakładu Narodowego Ossolińskich, Lwów 1850.

21. T. Korzon, *Dola i niedola Jana Sobieskiego, 1629-1674*, Wyd. Akademii Umiejętności, Tom III, Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1898.
22. A. Zebrzydowski i inni, *Acta historica res gestas Poloniae illustrantia ab anno 1507 usque ad annum 1795*, Sumptibus Academiae Litterarum Cracoviensis, Cracovia 1881.
23. L. Tatomir, *Król Jan III. Epizod z roku 1672. Król i Marszałek*. Biesiada Literacka, 1883, t. XVI, nr 399, s. 118-123.
24. H. Zieliński, *Wyprawa Sobieskiego na czambuły tatarskie*, Przegląd historyczno-wojskowy, 1930, r. II, t. II, z. 1, s. 1-44.
25. G. Rąkowski, *Przewodnik po Ukrainie Zachodniej, Ziemia lwowska*, cz. 3, Oficyna Wydawnicza REWASZ, 2007.
26. M. A. Koprowski, *Napady tatarskie na Ruś i Rzeczpospolitą*, www.kresy.pl.
27. P. Krasny, red., *Sztuka dawnej Ziemi Chełmskiej i Województwa Bełskiego*, Universitas, Kraków 1999.
28. L. Kubala, *Czarna śmierć*, w: *Szkice historyczne, Serya Druga*, Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta, Lwów 1880.

Zbigniew Atras

Krasnystaw stolicą diecezji chełmskiej - wybitni przedstawiciele ziemi krasnostawskiej, czyli okres krasnostawski w historii Polski II poł. XVI wieku

Krasnystaw końca XV wieku, to miasto ludne, dobrze urządzone i umiejętnie korzystające ze swego położenia na skrzyżowaniu szlaków handlowych z północy na południe, oraz z zachodu na wschód Europy. Na terenie dawnych Grodów Czerwieńskich, do których niegdyś należał, urósł do rangi miasta pierwszoplanowego. Miał też Krasnystaw to szczęście, że potrafił zachwycić i zapisać w pamięci wielu polskich władców. Bo chociaż zawsze był własnością monarchów, czyli miastem królewskim, to jeszcze dodatkowo posiadał jakiś czar czy też magnetyzm, który nakazywał koronowanym głowom pamiętać o tym pięknym grodzie położonym nad wielkim stawem i „świńską rzeką”. I tak też bywało. Już Kazimierz Wielki,

ostatni polski władca z dynastii Piastów, który przynajmniej dwa lub trzy razy przebywał w grodzie zwanym jeszcze wtedy Szczekarzew, tocząc walki o tę ziemię z państwem Rusi Kijowskiej, uległ tej magii i polecił zbudować na południe od starej, lędziańskiej osady, duży murowany zamek królewski, a dla zwiększenia jego obronności nakazał wykopanie ogromnego stawu. Kolejny władca Polski, król Władysław Jagiełło jeszcze bardziej poddał się tutejszym czarom i został prawdziwym ojcem chrzestnym pięknego miasta nad Wieprzem. Nadał mu nie tylko prawa miejskie, ale i imię Krasnystaw. Jako dobry chrzestny odwiedzał miasto regularnie, pozostając czasem na dłużej i obsypując go królewskimi darami jak nowa lokacja na prawie magdeburskim, kościół i klasztor Augustianów, kościółek św. Anny (prawdopodobnie kaplica zamkowa), starostwo grodowe, oraz wieloma innymi prezentami w postaci różnych praw i uposażeń. Śladami ojca poszedł syn, król Kazimierz Jagiellończyk, który nadał miastu i jego mieszkańcom wiele nowych przywilejów. W miejscu starego, drewnianego kościoła



Wszystkich Świętych ufundował murowany kościół św. Kajetana, a ulegając prośbom biskupa Macieja ze Starej Łomży, wyniósł miasto do rangi stolicy diecezji chełmskiej, przenosząc za zgodą papieża, siedzibę biskupią z Chełma do Krasnegostawu. Tak więc XV stulecie było dla Krasnegostawu złotym wiekiem. Spróbujmy odtworzyć, jak wyglądało miasto tamtych czasów, nowa stolica biskupstwa chełmskiego. Akcentem dominującym w jego panoramie był duży, murowany zamek królewski zbudowany na planie kwadratu z basztami w narożach. Znajdował się on nad Wieprzem, w bezpośrednim sąsiedztwie północnej części miasta (obecnie rejon amfiteatru i warsztatów szkolnych). Dalej, na północ od zamku, zapewne istniała jeszcze w formie przedmieścia, drewniana zabudowa dawnego Szczekarzewa, a być może i pozostałości starego, drewnianego grodu (obecnie ulica Kołwrot i częściowo Kościuszki). Łączyła się ona z zabudową przedmieścia powstającego wzdłuż traktu lubelskiego. Zapewne także przy trakcie krakowskim (ul. Piłsudskiego) osiedlali się i budowali drewniane domy kolejni mieszkańcy. Nowe miasto otoczone było już wtedy wałami, murami lub innymi umocnieniami obronnymi, o których nie wiadomo nic bliższego poza tym, że takowe istniały. Średniowieczny układ ulic miejskich w obrębie murów zachował się w większości w niezmiennym kształcie do dnia dzisiejszego. Główne różnice to te, że obecne ulice: Mostowa, Matysiaka i Kościuszki kończyły się na wałach

miejskich, a nawet wcześniej, i nie wyprowadzały z miasta. Istniały też krótkie uliczki, których dziś już nie ma, na zabudowanym wówczas placu kościelnym, oraz boczne, prowadzące ku wałom, a odchodzące od obecnych ulic Browarnej, Kościelnej i Poniatowskiego. Prawdopodobnie istniała też uliczka równoległa do obecnej ulicy Partyzantów, lecz położona nieco wyżej i bliżej w stronę rynku, biegnąca wzdłuż wałów miejskich.



Herb diecezji chełmskiej

Centrum miasta stanowił czworoboczny rynek z piętrowym, wąskim a długim, murowanym ratuszem przypominającym kształtem ratusz w Sandomierzu. Czy zdobiła go wieża z zegarem - nie wiadomo, choć bogactwo miasta przemawia raczej za tym, że był to budynek bardzo reprezentacyjny, o pięknej architekturze. W zachodniej części rynku zlokalizowana była studnia miejska, a wokół wznosiły się murowane kamieniczki mieszczańskie, pierwotnie zapewne jednopiętrowe, budowane w obowiązującym wówczas stylu gotyckim, o bogatych zdobieniach. Piwnice wielu kamienic gotyckich zachowały się do dnia dzisiejszego. Z naroży rynku wychodziły ulice o układzie szachownicowym. Główne z nich: Lubelska (Poniatowskiego), Krakowska (Piłsudskiego) i Mostowa (Żurka) prowadziły ku bramom miasta. Na południowy zachód od rynku wznosił się nowy, murowany kościół katedralny Wszystkich Świętych i Rozesłania Apostołów (wcześniej św. Kajetana). Była to świątynia orientowana, jednonawowa, z dwoma bocznymi kaplicami, zbudowana w stylu gotyckim z kamienia i cegły. Wejście główne znajdowało się od strony obecnego kościoła św. Franciszka, a boczne - od północy i południa. Ściany zdobiły wysokie, lecz wąskie okna (typowe dla gotyku) w liczbie około dziesięciu i jedno okno okrągłe umieszczone nad ołtarzem głównym. Wysoki dach dwuspadowy pokryty był dachówką koloru ciemnozielonego. Posadzka wewnątrz katedry była częściowo marmurowa, jednak w wię-



Herb zakonu duchacy

kszości kamienna. Czy pod katedrą istniały podziemia - trudno powiedzieć, choć wiadomo, że pochówków tam dokonywano i groby w kościele się znajdowały. O wewnętrznym wystroju kościoła katedralnego z tego okresu, zwłaszcza malarskim, nie ma bliższych danych. W pobliżu katedry diecezja zakupiła dwie murowane kamienice na siedzibę biskupa (choć być może mieszkał on początkowo na zamku), szkoły katedralnej i kanonii. Obecna ulica Zamkowa do zamku raczej nie prowadziła, bo nie był on połączony z miastem i stanowił odrębny system obronny oddzielony fosą, jednak ostatecznej pewności o braku, czy też istnieniu takiego przejazdu nie ma. Na krańcu tej ulicy znajdował się obronny, gotycki kościół Trójcy Świętej i klasztor Augustianów. Była to świątynia jednonawowa, z nieco węższym prezbiterium zamkniętym wewnątrz kółkiem, a zewnątrz trójbocznie i kaplicą od strony południowo-wschodniej. Nawa główna była zapewne trzyprzęsłowa, a prezbiterium dwuprzęsłowe, zewnątrz ozdobione. Kościół posiadał wysokie, gotyckie okna, a stromy dach, kryty najprawdopodobniej gontem lub dachówką, zdobiła smukła wieżyczka. Niesymetryczny kształt ścian zewnętrznych prezbiterium świadczy, że kościół w tym miejscu przylegał bezpośrednio do murów miejskich, a być może stanowił nawet ich integralną część. Powierzchnia głównych ulic miasta była utwardzona. Przy obecnej ulicy Pocztowej znajdowała się drewniana cerkiew św. Paraskiewy. Na bocznych ulicach miasta dominowała w tym czasie zabudowa drewniana. Dawna ulica Mostowa (obecnie Żurka) prowadziła przez bramę miejską i drewniany most, na drugą stronę Wieprza. Tu znajdowało się kolejne przedmieście ulokowane wzdłuż dzisiejszej ulicy Grobli. Na jej początku, tuż przy starym moście stał gotycki, drewniany kościół Świętego Ducha i szpital (być może prowadzony przez zakon duchacy). Dalej ulica o drewnianej, niskiej zabudowie prowadziła na trakt wiodący do Chełma i Lwowa (Zamościa jeszcze wówczas nie było). Miasto, a zwłaszcza jego rynek, tętniło życiem.

Tu wystawiali swoje kramy przyjezdni kupcy, a w licznych jatkach i warsztatach handlowali i wytwarzali swe wyroby krasnostawscy rzemieślnicy z istniejących już wtedy cechów krawców, szewców, kuśnierzy i innych. Tak wyglądał Krasnostaw w roku 1490, kiedy został stolicą diecezji chełmskiej. Pierwszym biskupem (ordynariuszem) urzędującym w mieście był Maciej ze Starej Łomży, sprawca całego zamieszania z przeniesieniem stolicy diecezji. Decyzja ta jednak okazała się trafna i trwała, a Krasnostaw pozostał siedzibą biskupią aż do czasów rozbiorów. Istniejące wcześniej stanowiska biskupów pomocniczych, pełniących w zasadzie urzędy wikariusza generalnego (rezydującego w Chełmie) i oficjała (rezydującego w Szczepieszynie) połączono i powierzono jednej osobie, ustanawiając jej rezydenturę przy katedrze w Krasnymstawie. Do Krasnegostawu przeniesiono także kapitułę katedralną składającą się z dwóch prałatur (prepozyt i dziekan) oraz 10 kanonii. W latach 1490, 1499 i 1500 nastąpiła seria najazdów tatarskich, w wyniku których zniszczeniu uległ krasnostawski zamek, przedmieścia i część zabudowy miejskiej. Odbudowa postępowała szybko. W 1503 roku naprawiono zniszczenia kościoła i szpitala Świętego Ducha na Grobli, odbudowano spalone przez Tatarów kościoły w Horodle i Grabowcu, a w 1505 roku, za sprawą króla Aleksandra Jagiellończyka, odbudowano krasnostawski zamek, według najnowszych zasad sztuki fortyfikacyjnej. Otoczono go dodatkowymi murami z dwoma pierścieniami wałów i fos oraz z trzema bramami wjazdowymi o zwodzonych mostach. W ten sposób krasnostawski zamek stał się prawdziwą twierdzą godną królewskiego miana.

Biskup Maciej okazał się dobrym administratorem. Umocnił zwłaszcza podstawy materialne diecezji. Zmarł około 12 września 1505 roku i być może był pierwszym biskupem pochowanym w krasnostawskiej katedrze. Kolejnym biskupem chełmskim został Mikołaj Kościelecki (1450-1518), dotychczasowy dziekan gnieźnieński. Był osobistością ogólnie szanowaną, i brał udział w wielu misjach dyplomatycznych. W 1510 roku uzyskał od króla, tytułem uposażenia, część miasta Biały w województwie rawskim. Pozostałą część wykupił z własnych środków i przekazał całość w wieczyste użytkowanie kapitule chełmskiej. W czasie jego urzędowania wybudowano kościoły w Czułczycach (1513) oraz prawdopodobnie w Surhowie, Radzięcinie i Krasnobrodzie. Biskup

Kościelecki zmarł w 1518 roku i został pochowany w katedrze w Krasnymstawie lub w klasztorze Bernardynów w Skępem, którego był fundatorem. W tymże roku na tron biskupów chełmskich został powołany Jakub Buczacki (?-1541), ostatni potomek słynnego rodu Buczackich, były sekretarz królewski i dotychczasowy biskup kamieniecki. Dla podniesienia podstaw bytowych diecezji, jak i biskupiego grodu, wyjednał u króla Zygmunta Starego szereg przywilejów, jak prawo posiadania woskobojni i składu soli w Krasnymstawie z opłatą dla miasta (1518), prawa miejskie dla Skierbieszowa (1520) i Sawina, a także lokację miasta Biała. W 1519 roku dokonał niezbędnych napraw kościoła katedralnego, lecz pięć lat później (12 czerwca 1524 roku) miasto zniszczył wielki pożar. Spłonęły między innymi dokumenty miejskie i prywatne. Z tego powodu biskup Buczacki podjął starania i w 1526 roku uzyskał w Rzymie fundusze na odbudowę katedry w Krasnymstawie. Z ramienia senatu uczestniczył w układach prowadzonych z posłami wielkiego mistrza krzyżackiego, a także w ceremonii hołdu pruskiego. Za czasów posługi biskupiej Jakuba Buczackiego, w 1530 roku odbudowano zniszczony przez Tatarów kościół w Turobinie. W 1531 roku z fundacji Zamoyskich wybudowano kościół w Starym Zamościu, a w 1537 w Dzierżni. W historii diecezji chełmskiej okres rządów biskupa Buczackiego wpisał się jako czas w którym wielu prawosławnych, zwłaszcza pochodzenia szlacheckiego przeszło na katolicyzm. Za sprawą królowej Bony, w 1538 roku Jakub Buczacki otrzymał biskupstwo płockie i opuścił Krasnystaw. W ciągu kolejnych 13 lat na tronie ordynariuszy diecezji chełmskiej zasiadało aż siedmiu biskupów, dla których był to kolejny etap w karierze. Zgodnie z tradycją otrzymywali najpierw tytuł biskupa kamienieckiego, później chełmskiego, by dalej sięgać po najwyższe godności w Kościele. Do tej grupy biskupów chełmskich należeli: Piotr Gamrat (1487-1545) późniejszy biskup krakowski i gnieźnieński - prymas Polski, Sebastian Branicki (?-1544) - biskup poznański, Samuel Maciejowski (1498-1550) - biskup płocki i krakowski, kanclerz koronny, Mikołaj Dzierżgowski (1490-1559) biskup włocławski i gnieźnieński prymas Polski, Jan Dziaduski (1496-1559) biskup przemyski, Andrzej Zebrzydowski (1496-1560) biskup kujawski i krakowski, Jan Drohojowski (?-1557) biskup kujawski. Wymienieni biskupi sprawowali swoje rządy w diecezji chełmskiej przez okres od kilku miesięcy do niespełna półtora roku. Zachowało się niewiele dokumentów odnoszących się do ich działalności. Wiadomo, że biskup Maciejowski

ofiarował katedrze krasnostawskiej bardzo cenną mitrę wysadzaną 181 szlachetnymi kamieniami.



Biskup chełmski Mikołaj Dzierżgowski późniejszy prymas Polski

W okresie krótkotrwałej posługi biskupa Mikołaja Dzierżgowskiego mieszczanie krasnostawscy wyznania grekokatolickiego uzyskali zgodę króla Zygmunta Augusta na budowę murowanej cerkwi Świętej Trójcy, która według przekazów powstała poza murami miasta, na wale przy zamku. Była to dość obszerna świątynia mająca troje drzwi, z których jedno były żelazne, cztery okna, dużą kopułę krytą miedzią i połączoną blachą, na której wznosił się złoty krzyż. Wnętrze pomalowane było na kolor zielony, ze złotymi gzymsami, a lazurowe tło sklepienia kopuły zdobiły porzrzucane, złote gwiazdy. Dokładnej lokalizacji nowej cerkwi nie znamy. Być może znajdowała się ona przy obecnej ulicy Kościuszki, której powstanie można by łączyć z faktem wybicia w murach miejskich osobnej bramy prowadzącej do cerkwi. O biskupie Dziaduskim wiadomo, że erygował parafie w Tarnogórze i Dubie (1544) oraz ufundował kościół w Sawinie. W 1547 roku zbudowano szpitalny kościół Świętego Ducha, a w 1548 odbudowano z fundacji królewskiej spalony kościół Dominikanów, oba w Hrubieszowie. W czasie posługi biskupiej Jana Drohojowskiego uznanego za sympatyka reformacji, Krasnystaw gościł króla Zygmunta Augusta z dworem (1550 rok), otrzymując przywilej zwolnienia mieszczan od podatku. W tym samym roku za zgodą króla, przy nowej cerkwi powstała szkoła i szpital. Tak duża rotacja na tronie biskupim nie sprzyjała rozwojowi diecezji chełmskiej, a wręcz powodowała pewne zaniedbania, zwłaszcza, że miało to miejsce w okresie największego rozwoju reformacji i odcho-

dzenia od tradycyjnego Kościoła tak katolickiego jak i prawosławnego. Był to ruch religijno-społeczny, postulujący zmiany w polskim Kościele, trwający od lat 20. XVI wieku do połowy wieku XVII i mający trzy główne nurty: luteranizm, kalwinizm i arianizm. Reformację cechował dynamiczny rozwój, a następnie szybki upadek i utrata znaczenia. Ruch ten ograniczał się do wyższych i średnich warstw społecznych, nie mając większego wpływu na ludność wiejską.

Drugą połowę XVI wieku można śmiało nazwać okresem krasnostawskim w historii Polski, a to za sprawą między innymi trzech wybitnych osobistości pochodzących z naszej ziemi: Jakuba Uchańskiego (1502-1581), Mikołaja Siennickiego (1521-1582) i Jana Zamoyskiego (1542-1605). Pierwszy urodził się w Uchaniach, mieście lokowanym w 1484 roku, z kościołem parafialnym należącym aż do XVIII wieku do dekanatu krasnostawskiego. Drugi pochodził z Siennicy Różanej i tam lub w sąsiedniej Bończy spędził swe dzieciństwo. Trzeci urodził się w siedzibie rodu Zamoyskich w Skokówce (powiat krasnostawski), dziś to miejscowość w pobliżu Zamościa. Uchański i Zamoyski kształcili się w słynnej już wówczas szkole katedralnej w Krasnymstawie, która w XVI wieku była głównym i cenionym ośrodkiem oświaty w diecezji i ziemi chełmskiej. Jej absolwenci często podejmowali studia na Akademii Krakowskiej lub uniwersytetach zagranicznych. Uchański dalszą wiedzę zdobywał, pracując jako zarządca, a później referendarz na dworze Andrzeja Tęczyńskiego, wojewody lubelskiego i starosty krasnostawskiego. W 1534 roku przyjął święcenia kapłańskie, a później otrzymał parafię w Grabowcu. Szybko wspinał się po szczeblach kariery i już w 1538 roku został sekretarzem w kancelarii królewskiej. Mikołaj Siennicki najprawdopodobniej także kształcił się w krasnostawskiej szkole katedralnej, a w latach 1535-37 studiował na Akademii Krakowskiej. Zamoyski kontynuował naukę w Paryżu, Strasburgu i Padwie. W tym czasie wraz z rodziną poparł reformację i przeszedł na kalwinizm. W 1551 roku nominację na biskupstwo chełmskie otrzymał Jakub Uchański. Uznawany za zwolennika reformacji oraz porozumienia Kościoła z protestantami i jako taki wysuwany był przez króla Zygmunta Augusta na wyższe funkcje kościelne jak biskup kujawski (nominacja królewska w 1557 roku). W okresie pełnienia posługi biskupiej w Krasnymstawie Jakub Uchański zakupił dla kapituły diecezjalnej dwa domy w mieście, na fundację dla biednych scholarów szkoły katedralnej, a od króla otrzymał plac na zabudowę gospodarczą. Uregulował także sprawy graniczne diecezji. Za jego posługi w 1553 roku w Chełmie

zbudowano kościół Świętego Ducha ze szpitalem dla ubogich prowadzony przez dominikanów. W 1554 roku Zygmunt August nadał dla Krasnostawu przywilej „de non tolerandis ludaeis” zabraniający Żydom osiedlania się w murach miasta, który obowiązywał aż do czasu zaborów.



Biskup chełmski Jan Przerębski późniejszy prymas Polski

W 1557 roku nominację na biskupstwo chełmskie otrzymał Jan Przerębski (1519-1562), który już w następnym roku został podniesiony do godności arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa Polski. Zdążył jednak wyjednać u króla zwolnienia z podatków dla mieszczan chełmskich miast biskupich, zbudować kościół w Drohobyczu, a dobra katedralne powiększyć o wieś Dobrowlany (diecezja przemyska). W kolejnym okresie władzę biskupią w diecezji sprawował ponownie Jakub Uchański, nie zatwierdzony dotąd przez papieża na biskupstwo kujawskie. Na przełomie czerwca i sierpnia 1558 roku Krasnostaw gościł króla Zygmunta Augusta. Czar miasta zadziałal i monarcha wraz z dworem spędził tu letnie miesiące, wydając w tym czasie ponad 100 dokumentów datowanych w Krasnymstawie. Dokonał między innymi zapisu części królewskich dochodów z Siennicy na potrzeby szpitala Świętego Ducha w Krasnymstawie, nadał przywilej dla krasnostawskiego cechu rzeźników, a zakonowi augustianów na wolne melcie słoć i wszelakiego zboża w młynach miejskich i starościńskich. W maju 1559 roku król Zygmunt August ponownie odwiedził Krasnostaw. Wtedy być może podjął decyzję o budowie umocnień, bo pięć lat później, w 1564 roku miasto było już opasane nowymi murami obronnymi z trzema bramami i kilkoma basztami. Wewnątrz murów znajdowało się wówczas 140 domów w większości murowanych, a na przedmieściach - 65 drewnianych.



Biskup chełmski Jakub Uchański późniejszy prymas Polski

Jakub Uchański sprawował posługę biskupa chełmskiego do 1561 roku, kiedy to samowolnie, bez zgody papieża dokonał ingresu do katedry włocławskiej. Takie działania i osobiste przekonania Uchańskiego popierane przez króla doprowadziły do poważnych napięć w stosunkach ze Stolicą Apostolską. Reformacja szybko się rozwijała i przybywało zwolenników koncepcji utworzenia Kościoła narodowego, a nawet ograniczonego zerwania stosunków z Rzymem, co miało doprowadzić do niezależności wyznaniowej i zjednoczenia polskich katolików, prawosławnych i protestantów w jednym polskim Kościele. Za popieranie tych idei nad biskupem Uchańskim wisiała groźba ekskomuniki i sądów inkwizycji. Mediacje między skłóconymi stronami umiejętnie poprowadził nuncjusz papieski Bongiovanni, w wyniku czego biskup Uchański nie tylko powrócił na drogę nauki Kościoła i otrzymał diecezję kujawską, ale w roku 1562 za zgodą papieża został powołany na arcybiskupstwo gnieźnieńskie, stając się prymasem Polski i orędownikiem papieskim. Był to zwrot w rozwoju sytuacji i poważny cios dla zwolenników reformacji, a być może nawet początek działań kontrreformacji. Uchański był wybitną, choć kontrowersyjną osobistością. Przewodził komisji opracowującej akt unii polsko-litewskiej z 1569 roku. Dbał o poprawność stosunków między wyznawcami różnych religii, przyczyniając się do rozwoju polskiej tolerancji. Po bezpotomnej śmierci Zygmunta Augusta, w okresie bezkrólewia (1572-73) jako prymas Polski był interreksem. Koronował króla Henryka Walezego, a po jego ucieczce z Polski ponownie przewodniczył sejmowi konwokacyjnemu (będąc stronnikiem wyboru cesarza Maksymiliana II Habsburga), aż do przekazania władzy królowej

Annie Jagiellonce w 1575 roku i Stefanowi Batoremu. W tym samym okresie na szczyty kariery politycznej wspiął się Mikołaj Siennicki, (arianin) podkomorzy chełmski, działacz sejmowy i przywódca szlachty, znakomity orator zwany polskim Demostenesem. W latach 1555-75, jako marszałek przewodził sześciu sejmom, a na wielu innych wypełniał część obowiązków marszałkowskich. Zastąpił zwłaszcza walką o odebranie królewskiej nieprawnie zagarniętych przez możnowładców i szlachtę, przestrzeganie prawa, wolność wyznania, kościół narodowy, unię z Litwą i zjednoczenie Prus Książęcych z Koroną. Siennicki był autorem pełnego zbioru polskich aktów prawnych, współtwórcą Trybunału Koronnego i Artykułów henrykowskich stanowiących podstawę ustroju Rzeczypospolitej w okresie wolnych elekcji. Gdy na sejmie konwokacyjnym 12 grudnia 1575 roku prymas Uchański wolą większości senatorów nominował cesarza Maksymiliana II Habsburga jako elekta na króla Polski, Mikołaj Siennicki stanął na czele protestującej szlachty i ogłosił królową Annę Jagiellonkę, „przydając jej za małżonka” Stefana Batorego. W 1577 roku na miejscu starego, drewnianego kościoła w Bończy zbudował zbór kalwiński. W późniejszym okresie, zrażony promagnackimi działaniami Batorego, niepotrzebną jak uważał, wojną z Rosją i niekorzystną dla Polski polityką wobec Prus Książęcych, wycofał się z polityki i powrócił do rodzinnej Bończy, gdzie niemal w odosobnieniu dożył końca swoich dni. W tym czasie kolejnym biskupem chełmskim został na krótko Mikołaj Wolski (1490-1567), który już w następnym roku objął sakrę biskupią diecezji kujawskiej. W 1562 roku nominację na biskupstwo chełmskie otrzymał Wojciech Starożrebski (1517-1580) i sprawował ten urząd przez 15 lat. Zajął się on uporządkowaniem najpilniejszych spraw diecezji chełmskiej, zwłaszcza zaniedbań wobec kapituły. W 1572 roku odzyskał dla katolików kościół w Żdanowie, zamieniony przed laty na zbór kalwiński.

Krasnystaw tymczasem szybko się rozwijał. Powstały nowe cechy: kowali, ślusarzy, mieczników, siodlarzy, rymarzy i złotników. W 1575 roku nominację na biskupstwo chełmskie otrzymał Jan Młodziejowski (?-1576), jednak przedwczesna śmierć przeszkodziła mu w objęciu tego stanowiska. Podobny los spotkał kolejnego biskupa chełmskiego którym w 1577 roku został Jan Zaborowski (?-1577), zmarły przed zatwierdzeniem nominacji przez Stolicę Apostolską. W 1578 roku do godności biskupa chełmskiego został wyniesiony Adam Pilchowski (?-1585), kanonik warszawski i referendarz koronny. W czasie swej posługi wykazał wiele troski o zwiększenie uposażeń kapituły. W tym samym roku Tatarzy zniszczyli w Chełmie klasztor i kościół Dominikanów. Nie znaleźli

się fundatorzy którzy chcieliby dopomóc w odbudowie zniszczonych budowli. Na skutek tego dominikanie, jedyny zakon katolicki działający w mieście, opuścili Chełm. Na miejscu zniszczonego kościoła chełmcy Żydzi wybudowali drugą synagogę. Otrzymali też zgodę króla Stefana Batorego na budowę domów na krasnostawskich przedmieściach, lecz do miasta nie zostali wpuszczeni. W 1581 roku biskup Pilchowski zwołał synod diecezjalny, obradujący nad sprawami dyscypliny wśród duchowieństwa. W 1588 roku wzniesiono z fundacji Jana Sienieńskiego kościół w Dubience, należący do dekanatu Luboml. Kolejni biskupi chełmcy to: Stanisław Ossowski (?-1585), zmarły wkrótce po otrzymaniu nominacji i Wawrzyniec Goślicki (1533-1607), sprawujący tę funkcję tylko przez rok, a później mianowany biskupem przemyskim. Kilka lat wcześniej (1565) Jan Zamoyski, rektor akademii padewskiej i nawrócony katolik powrócił do kraju i został mianowany sekretarzem królewskim na dworze Zygmunta Augusta. Zamoyski był zagorzałym przeciwnikiem Habsburgów, a po ucieczce Henryka Walezego, popierał wybór Stefana Batorego na króla Polski. Był zwolennikiem koronowania Anny Jagiellonki i jej małżeństwa z Batorem. Po koronacji Batorego, Zamoyski stał się najbliższym współpracownikiem króla i otrzymał funkcję podkanclerską. W 1578 był już kanclerzem wielkim koronnym, a w 1581 - hetmanem wielkim koronnym, stając się jednym z najbogatszych i najpotężniejszych ludzi w kraju. W czasie wojny z Rosją w latach 1579-81 dowodził całą armią polską podczas oblężenia Pskowa. W 1580 roku na gruntach rodzinnej wsi Skokówka w powiecie krasnostawskim rozpoczął budowę miasta idealnego - Zamościa, w którym najpierw na miejscu starego kościoła wznosił nowy, a w 1587 roku ufundował kościół Świętego Krzyża. Dwa lata wcześniej (1585) w Chełmie na miejscu starej, drewnianej katedry fundowanej przez Władysława Jagiełłę zbudowano murowany kościół parafialny. Po śmierci Stefana Batorego Zamoyski pokonał pod Byczyną (1588) wojska Maksymiliana III Habsburga, pretendenta do polskiego tronu, opowiadając się po stronie Zygmunta Wazy. Pojmanego Maksymiliana osadził w honorowej niewoli na zamku w Krasnymstawie pod strażą Marka Sobieskiego. W tym czasie krasnostawski zamek był w okresie swej największej świetności. Dwa lata wcześniej ukończono jego generalny remont prowadzony z myślą o przygotowaniu tu rezydencji dla Anny Jagiellonki, wdowy po królu Stefanie Batorem. Jednak stanowczy protest królowej przekreślił te plany. Odnowiony, dobrze uposażony i warowny zamek był godnym miejscem dla cesarskiej niewoli. Czy jakieś inne miasto może się poszczycić tak utytułowanym więźniem, jakim był arcyksiążę Maksymilian III Habsburg, syn

Maksymiliana II Habsburga Cesarza Rzymskiego Narodu Niemieckiego, tytularny już wówczas (koadiutor) Wielki Mistrz Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego, czyli zakonu krzyżackiego? Tak wybitna osobistość zamieszkała w północnej baszcie bramnej krasnostawskiego zamku, zwanej odtąd maksymiliańską. Arcyksiążę przebywał tu prawie półtora roku. Życie polityczne i towarzyskie miasta w czasie jego pobytu wspięło się na wyżyny. Do Krasnegostawu przybywali najznakomitsi goście nie tylko z Polski, ale i zagranicy. Magnaci, najwybitniejsi przedstawiciele szlachty, biskupi i dostojnicy Kościoła z nuncjuszem papieskim na czele, przedstawiciele cesarskiego dworu oraz wiele innych osobistości gościło na krasnostawskim zamku. Czy sam Maksymilian także uległ czarowi miasta, że potrzebował aż tyle czasu, by rzec się pretensji do polskiej korony, trudno powiedzieć. 12 maja 1589 roku na krasnostawski zamek przybył król Zygmunt III Waza na czele orszaku złożonego z 6 tysięcy dworzan. Po spotkaniu z królem i złożeniu przysięgi zrzeczenia się roszczeń do korony polskiej Maksymilian Habsburg został uwolniony. Wspomnienia z jego pobytu na długo pozostały w pamięci Polaków i jeszcze w XVII wieku za obejrzenie komnat zamkowych, w których przebywał arcyksiążę płacono aż 3 złote. Pobyt króla Zygmunta III Wazy w Krasnymstawie przyniósł miastu znaczne korzyści w postaci nowych przywilejów jak zwolnienie z podwód oraz wszelakich cel i myt. W 1591 roku na tronie biskupów chełmskich zasiadł Stanisław Gomoliński (?-1604), dotychczasowy biskup kamieniecki. W pierwszej kolejności przystąpił on do budowy nowego pałacu biskupiego w Krasnymstawie. Czy chodzi tu o istniejący do dzisiaj pałacyk biskupi stojący obok kościoła św. Franciszka, czy też była to całkiem inna budowla? Z dostępnych dokumentów wynika raczej, że wszystkie obiekty zespołu jezuitckiego, w tym pałacyk biskupi zostały zbudowane w tym samym okresie na przełomie XVII i XVIII wieku, czyli dużo później. Gdzie więc znajdował się i jak wyglądał pałac wzniesiony przez biskupa Gomolińskiego? W 1591 roku zbudowano w Skierbieszowie drewniany kościółek Świętego Ducha i szpital dla ubogich oraz odzyskano przejęty przez protestantów kościół w Starym Zamościu. W latach 1587-1594 wzniesiono w Zamościu nowy kościół. Zgodnie z wolą fundatora Jana Zamoyskiego i za zgodą papieża został on podniesiony do rangi kolegiaty. Biskup Gomoliński organizował przy nim pierwszą w diecezji chełmskiej kapitułę kolegiacką. Składała się ona z 3 prałatur (dziekan, scholastyk, kustosz) i początkowo 4, a później 8 kanonii. Uczestniczył też w organizowaniu Akademii Zamojskiej, której kanclerzami z urzędu mieli być biskupi chełmcy.

Akademia była pierwszą prywatną i czwartą wyższą uczelnią w Rzeczypospolitej. Miała początkowo trzy wydziały: wstępny, prawa i medycyny. W 1595 roku z fundacji Floriana Łaszcza wzniesiono kościół w Narolu, a ze środków Jakuba Woźuczynskiego odbudowano zniszczony przez Tatarów kościół w Woźuczynie. W 1596 roku odbudowano zniszczony kościół w Nabrożu i odzyskano zamieniony na zbór protestancki kościół w Mokrymlipiu, jedną z najstarszych świątyń katolickich w diecezji chełmskiej. Biskup Gomoliński był aktywnym uczestnikiem synodu unijnego w Brześciu (1596), który połączył Cerkiew prawosławną z Kościołem katolickim na terenie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. W wyniku unijnych porozumień, większość duchownych i wyznawców prawosławia uznała papieża za głowę Kościoła i przyjęła dogmaty katolickie, zachowując dotychczasową liturgię. Akt unii ze strony polskiej Cerkwi prawosławnej podpisali: metropolita kijowsko-halicki oraz biskupi prawosławnych diecezji: chełmskiej, łuckiej, pińskiej, połockiej i włodzimierskiej, bez przemyskiej i lwowskiej. Unia podzieliła kościół wschodni w Rzeczypospolitej na unicki i prawosławny. Tym ważnym wydarzeniem kończył się wiek XVI. Dla Kościoła katolickiego i diecezji chełmskiej to wiek zagrożeń i nadziei. Choć biskupi, a nawet prymas nie potrafili powstrzymać licznej grupy swoich wiernych, pochodzących zwłaszcza ze szlachty, przed zmianą wyznania, na skutek postępującej reformacji i przechodzenia z katolicyzmu na luteranizm, kalwinizm czy arianizm, to diecezja chełmska kroczyła powoli, lecz stale drogą rozwoju. W 1597 roku biskup Gomoliński pisał w liście do papieża, że w wyniku rozwoju

reformacji na terenie diecezji chełmskiej powstały 23 gminy ewangelickie i 3 ariańskie. 24 kościoły katolickie, między innymi w Gorzkowie, Turobinie i Żółkiewce zamieniono na zbory protestanckie, a kilka, jak w Chorupniku zniszczono i wypędzono księży. Jedność polskiego Kościoła katolickiego z Rzymem była w tym okresie bardzo zagrożona, jednak w wyniku podjętych działań kontrreformacji została utrzymana. Reformacja miała też i dobre strony, gdyż znacznie wpłynęła na rozwój języka polskiego, nauki, oświaty, kultury i literatury polskiej, której współtwórcą, a nawet ojcem jest bez wątpienia kolejny, wielki przedstawiciel ziemi krasnostawskiej Mikołaj Rej, mieszkający wówczas w Siennicy Różanej, a później w założonym przez siebie Rejowcu. Miasto Krasnystaw, stolica diecezji chełmskiej oparło się reformatorskim wpływom. Nie powstały tu zbory protestanckie. Obie istniejące w nim cerkwie prawosławne przeszły w ręce unitów, a kościoły katolickie i klasztory działały bez przeszkód.

Zbigniew Atras

1. Chełm i chełmskie w dziejach, pod red. Ryszarda Szczygła, Chełm 1996.
2. Krasnystaw rys historyczny, Kazimierz Stołecki, Puławy 2008.
3. Diecezja chełmska rzymskokatolicka 135901807, Anna Pawłowska, Rocznik Chełmski, tom 3, 1997.
4. Biskupi chełmscy i chełmsko-lubelscy, Adam Konderak, Zwierciadło Chełmskie X 1990.
5. Dzieje parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, Izabela Zalichta, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, 2004.

Z XVI-wiecznej historii Krasnegostawu

Kazimierz Stołecki

Arcyksięzę Maksymilian Habsburg w krasnostawskim zamku (1588-1589)

Niespodziewana śmierć króla Stefana Batorego w dniu 12 XII 1586 roku, rozpoczęła trzecie i najbardziej burzliwe bezkrólewie. Elekcja nowego króla była konfrontacją postaw dwu wrogich stronnictw: „czarnego”, żałobnego z Janem Sariuszem Zamoyskim oraz „białego” Zborowskich. Wokół elekcji rozegrało się wiele dramatycznych wydarzeń, w których zginęło kilka tysięcy ludzi. W tych wydarzeniach ważną rolę odegrał Krasnystaw i krasnostawski zamek.

O polską koronę starało się kilku kandydatów. Jednym z nich był szwedzki królewicz Zygmunt Waza, liczący 21 lat siostrzeniec zmarłego króla Zygmunta Augusta, w jakiś sposób uosabiający kontynuację rządów Jagiellonów. Zwolennicy szwedzkiego elekta skupiali się wokół jego ciotki, królowej wdowy Anny Jagiellonki i kanclerza, hetmana Jana Zamoyskiego. Konkurentami Zygmunta byli: car moskiewski Fiodor, syn Iwana Groźnego oraz habsburscy arcyksiężęta, bracia cesarza Rudolfa II: Maksymilian III, mający 29 lat, Ernest, Maciej oraz stryj cesarza, arcyksiążę Ferdynand. Habsburskimi zwolennikami byli: biskup wileński, kardynał Jerzy Radziwiłł, biskup kijowski Jakub Woroniecki, wojewoda poznański Stanisław Górka - przywódca różnowierców wielkopolskich, marszałek nadworny litewski Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, kasztelan gnieźnieński

Jan Zborowski, marszałek nadworny koronny
Andrzej Zborowski, Krzysztof Zborowski, stolnik
litewski Aleksander Proński [1].

Zjazd elekcyjny rozpoczął się 30 VI 1587 r. pod Warszawą. Obradowano osobno w kołach „czarnym” i „białym”. W południe dnia 19 VIII w kole „czarnym” wybrano królewicza szwedzkiego Zygmunta, przy współpracy królowej wdowy, prymasa Stanisława Karnkowskiego i marszałka Andrzeja Opalińskiego. Wybór króla ogłosił prymas w kolegiacie św. Jana w Warszawie. Trzy dni później w kole „białym” wybrano arcyksięcia Maksymiliana. Biskup kijowski Jakub Woroniecki ogłosił Maksymiliana królem w kościele św. Anny, a nabożeństwo odprawił kardynał Jerzy Radziwiłł.

Król elekt Maksymilian w dniu 14 IX wyruszył z Wiednia i 27 IX zaprzysiął *pacta conventa* w katedrze w Ołomuńcu, a 16 X przybył z wojskiem do Mogiły pod Krakowem. W dwa dni później rozpoczął oblężenie miasta bronionego przez Zamoyskiego, który na czele 8 000 żołnierzy udał się tam po elekcji, aby dla swojego elekta zabezpieczyć Wawel, miejsce koronacji królów. Król elekt Zygmunt przybył ze Szwecji na początku października i w dniu 7 X zaprzysiął *pacta conventa* w opactwie oliwskim, a 18 X rozpoczął podróż do Krakowa.

Królowie elekci: Maksymilian, zajęty zdobywaniem Krakowa, i Zygmunt, który przybył już do Piotrkowa, wymienili uprzejme listy, w których przedstawili swoje poglądy na zaistniałą sytuację. Gdy Xiążę szwedzki Zygmunt do Piotrkowa przybył, pisał do niego list Arcyksiążę Maxymilian, który Kraków oblegał, upominając go po przyjacielsku, aby odstąpił od ubiegania się o koronę, która się jemu (Maxymilianowi) w skutek formalnego na tron wyboru należy, a przy której on za łaską Boga, ufny w swe prawa i w pomoc Xiążąt chrześcijańskich, niechybnie się utrzyma, a którą on (Zygmunt) idąc za lekkomyślnym kilku płochych doradców podszeptem, osiągnąć niebacznie sobie tuszy. Xiążę Zygmunt odpowiedział mu tym sposobem: że on bynajmniej wskutek nierozumnej porady, albo niebacznej płochości, ale zagruntowany na dopełnionym przez Rady państwa zgromadzone wyborze, jednostajnymi głosami narodu na tron polski z Szwecji powołany, w podróż się na objęcie tegoż wybrał, i te rozpatrując się bliżej w okolicznościach, prawa swe do korony polskiej za gruntowne i niezachwiane coraz wyraźniej obacza i odpowiedź swą temi słowy zakończył: „postanowiliśmy nieodzownie, wsparci łaską Najwyższego, podróż naszą do Krakowa celem odprawienia obrzędu koronacji kończyć, dokąd nas przychylne głosy i dobre chęci narodu

wzywają; i jesteśmy gotowi raczej wszystko utracić, krew naszą wylać i w największe się niebezpieczeństwo podać, niżli tego zrządzenia Boskiego nie dopełnić i tylu zacnych ludzi życzliwym dla nas chęciom zawód uczynić. Upraszamy przytem W. Xcej Mci, aby zostawując przy nas Państwo, którego mu Opatrzność nie przeznaczyła, zechciał lud swój na powrót do Austrii odprowadzić, i pokój w kraju wtargnieniem W. Xcej Mci zamieszany, przywrócić”. Dan w Piotrkowie 7 XI 1587 [2].

Po nieudanym szturmie na Bramę Szewską w dniu 24 XI, Maksymilian z obozem przeniósł się na zimę nad granicę śląską. **W walkach o Kraków zginęło około 2000 żołnierzy.** Zygmunt przybył do Krakowa 9 XII. Następnego dnia rozpoczął obrady sejm koronacyjny. 27 XII Zygmunt raz jeszcze zaprzysiął *pacta conventa* w katedrze na Wawelu, a **28 grudnia 1587 roku, prymas koronował Zygmunta III Wazę** na króla. Walka o tron była zakończona.

W dniu 13 I 1588 wyruszył Zamoyski z wojskiem około dziesięć tysięcy wynoszącym, a blisko o dwa tysiące zwiększyli je Baltazar Batory i Węgrzyn Boremiesza [3]. Maxymilian, który znajdował się w Wieluniu, dowiedziawszy się, że obóz Kanclerza się zbliżał, wyszedł z tego miasta 22 I 1588, cofając się do miejsca zwanego Byczyna w Śląsku, który pod ów czas do Czech należał [4]. Wśród nocy ciągnąc od Wielunia, przeszedł Zamoyski granicę i w niedzielę, dnia 24 I 1588 stanął wobec nieprzyjaciela. Po przegranej walce, Maxymilian ze szczątkami swego wojska zamknął się w Byczynie. Zamoyski otoczył miasto i bez wielkiego oporu zaczął rąbać bramy. Dano znak z wałów i jako orędownicy pokazali się Aleksander książę Proński krewny Zborowskich, Stanisław Ciołek oraz Logius Niemiec. Zaczęli od wymówek, że **kanclerz polski zgwałcił granice cesarstwa, ale im odpowiedziano, że nie o żadne wywody chodzi, tylko arcyksiążę ma oświadczyć, czy się chce poddać, czy też woli być z miastem wzięty** [5]. Zamoyski zapewniał: *Upraszam W. Książęcą Mość abyś przygodę obecną mężnym zniósł umysłem. Wyroki boskie są niedoścignione, toteż nagrodzi on W. Książęcą Mość czym innym klęskę tu poniesioną. Przystoi tej mężowi tak wysoko urodzonemu wszelkie przeciwności z pogodnem czołem przyjmować. Nie przez dumę wyniosłą, lecz dla uspokojenia ojczyzny mojej, upraszam W. Książęcą Mość abyś raczył oddać osobę swoją straży mej. Żadne upokorzenie, ani zniewaga nie spotka nigdzie W. Książęcą Mości. Uda się W. Książęcą Mość do zamku którego, gdzie wszystkie honory należne W. Książęcą Mości oddawane będą, dopóki nie będą zawarte i wypełnione*

warunki, potrzebne do ustalenia pokoju między W. Księżcą Mością, Cesarzem i jego posiadłościami z jednej, a między Królem i Rzplitą z drugiej strony; dopóki szkody wszystkie publiczne i prywatne wynagrodzone nie zostaną, a Królestwo uspokojone nie będzie. Cudzoziemcom przy W. Księżce Mości będącym, zapewniam wszelkie bezpieczeństwo. Gemejni, złożwszy broń, do domów wypuszczeni zostaną, znaczniejsi umówiony okup zapłacą. Polacy zaciężni niższego stopnia, i żołnierze wykonawszy przysięgę na wierność Zygmuntowi wolno będą puszczeni, wyżsi stopniem dotąd przy W. Księżce Mości pozostaną, dopóki Król i Senat na nich wyroku nie wydadzą. Co się tyczy ruchomości, które obecnie przy sobie mają, nie mogą praw wojny i praw wojska mego nadwierać. Spór trwał aż do trzeciej godziny w nocy, o której Maksymilian wyszedł z warowni. Wychodzącego z bramy spotkał na moście Zamojski. Z Maxymilianem dostali się do niewoli: Górka Wojewoda Poznański, Andrzej Zborowski, Stanisław Karnkowski, Alexander Płonki, Ernest Frykacz. Jakób Woroniecki Nominat Kijowski, Stanisław Stadnicki, Piotr Dunin i Krzysztof Warszawicki uciekli do Wrocławia. Złota, srebra, dzielnych koni, sprzętów drogich, dział wielka moc w zdobyczy naszym się dostała. Kredens i inne naczynia domowe Maxymiljana oddane mu zostały. Wszystko zresztą na jedno miejsce zniesiono, bo na równy dział pójść miało, ale żołnierz działu nie czekając, rozchwytał prawie wszystko. Miasto spalono, chociaż Zamojski sprzeciwiał się temu [6]. **Na poboju zostało około 3 000 poległych.**

Długie były w radzie królewskiej zastanowienia, gdzie osadzić pojmanego arcyksięcia i będących przy nim jeńców polskich. Uchwalono nakoniec, za wyrokiem stanów sejmowych [7], by Polacy strzeżeni byli w zamku kwidzińskim, a Maxymilian z niektórymi Polaki pod dozorem Sobieskiego do Krasnego Stawu zawiezion [3]. Uradzono (10 II 1588), że nie wstępując do Krakowa, **P. Kanclerz zaprowadzi N. Maxymiliana na Ruś do zamku zwanego Krasnymstawem, nader warownego z położenia swego, a do tego dobrze opatrzonego.** Oddalony jest o 5 mil tylko od Lublina, a bardzo bliski Zamościa, własności Pana Kanclerza, gdzie ma zwyczajną swoją rezydencją [4]. Folgując Maksymiljanowi, aby ten wystawiony nie był na widok ludowi, licznemu z całego kraju zgromadzonemu, udał się prosto do Krasnostawu, skąd pojmanych panów polskich (wieziono ich na prostych wozach w lichym odzieniu, dopóki od przyjaciół i domowników swoich w rzeczy potrzebne zaopatrzeni nie zostali, wszelkie bowiem porządki jezdne i cały ich sprzęt rozchwytało żoł-

nierstwo), wzięwszy od nich słowo, że się u sądu stawia, do domów swoich wolno odprawił. Na usilne Maxymiliana prośby, Zborowscy wraz z nim w Krasnymstawie zostali. Samego zaś Maksymiliana w zamku tamtejszym, mocną załogą osadzonym, zawarł i pod strażą trzymać zalecił [8]. **28 II 1588: przed kilka dniami N. Maxymilian przybył do Krasnegostawu** i powiadają, że teraz w dobrym zdrowiu zostaje, lubo przez drogę był cokolwiek nie zdrow. P. Kanclerz zabawił ośm dni w tym zamku, a potem odjechał do swego zamku Zamościa, dokąd zaprosił był N. Maxymiliana na dni zapustne, przygotowując wielkie ucztę dla niego. 20 III 1588: N. Maxymilian był w Zamościu u P. Kanclerza przez ostatnie dni zapust, i bardzo wspaniale tam przyjęty. Byli tam także Kardynał J. M. Batory, P. Baltazar brat jego, i P. Opaliński Marszałek W. Koronny; i ci tylko jedli u jednego stołu z N. Maxymilianem. A P. Kanclerz, żona jego i inni wszyscy u osobnego stołu. W ciągu tych dni wiele godów wyprawiono, ale N. Maxymilian nie chciał wyjeżdżać na tańce, lubo go zawsze proszono. N. Ernest przysłał Dworzanina swego, do N. Maxymiliana dla zaopatrzenia go w pieniądze na utrzymanie, w szaty, i inne rzeczy do wygody potrzebne; wiedząc, że wszystko był stracił, a pozwolono mu swobodny przystęp do N. Maxymiliana [4]. W drugim uwięzienia jego miesiącu, Zborowscy tak rzeczy ukartowali, że za wyłamaniem ściany do jego złożenia miał być wypuszczony z zamku i rozstawionemi końmi do granic śląskich albo węgierskich szybko uwieziony; ale ten chytrze uknowany zamach, gdy go już do skutku przywodzić zaczęto, wyszedł Marek Sobieski chorąży koronny (ojciec Jakuba, starosty krasnostawskiego, dział króla Jana III), któremu zwierzchność tej straży poruczona była [8]. Odtąd nie uwłaczając dostojęństwu, powiększona w zamku krasnostawskim i straż i czujność [3].

Opis pobytu i warunków życia arcyksięcia Maksymiliana w Krasnymstawie znaleźć można w licznych zapisach. Maksymilian traktowany był iście po arcyksiążęcemu i cieszył się względną swobodą. Był odwiedzany przez licznych gości i mógł podróżować po bliskiej okolicy, korespondował i komunikował się ze światem, wysyłając w podróże swojego sekretarza Lassotę. Zamojski zalecił, aby mu wszystkie honory i wygody, jakby dla króla samego czyniono [7]. Nieraz Zamojski odwiedzał go w Krasnymstawie, często na gody domowe do Zamościa zapraszał. P. Kanclerz zaprosił był N. Maxymiliana na dni zapustne, przygotowując wielkie ucztę dla niego [4]. Z innych miar zachowano dla arcyksięcia wszystkie względy poszanowania i podejmowano go wspaniale; był zapraszany na wesole ucztę do Zamościa bliskiego od Krasnegostawu i trzymał do chrztu modrookiego syna, którego Zamojskiemu Gryzelda Batorówna powiła [8]. Słodził Zamoyski iak duszy szlachetney

przystało, dolę nieszczęśliwego xiążęcia, często odwiedzając, często go zapraszając do domu swojego. **Maxymilian atoli w nieszczęściu nawet, nie zapominając dumy, nie chciał nigdy u iednego stołu ieść z hetmanem Zamojskim. Wódz w tym tylko razie dał uczuć, że Arcyxiążę był ieńcem iego, osobny stół wspaniale dla Maxymiliana zastawny, złotym łańcuchem opasać w około rozkazał** [9]. Jest też inny opis tego wydarzenia: *Przy pierwszej zaraz uczcie, na której wielu było senatorów i dygnitarzy, arcyksiążę oświadczył, że jako brat cesarski nie może jeść przy jednym stole z poddanymi, a to dumne oświadczenie oburzyło mocno obecnych panów polskich, nawykłych do poufatego obchodzenia się królów swoich, nie wyrazili jednak nieukontentowania swego, zostawiając to gospodarzowi, ale ten miasto jakiejś cierpkiej odpowiedzi, oświadczył, że stosownie do woli księcia osobno go posadzi. Ta powolność zdziwiła obecnych; ale po chwili przyniesiono srebrny stolik i także krzesło, a kiedy zaproszony przez Zamojskiego, arcyksiążę usiadł na nim, to ten wziął z rąk dworzanina długi łańcuch złoty, otoczył nim i stół i siedzenie, i na kłódkę zamknął, i tak dumny książę w okowach uczestniczył biesiadzie* [10]. 25 VII 1588 Kanclerz (Jan Zamoyski) przyjechał do Krasnegostawu, zjadł śniadanie z Jego Wysokością (Maksymilianem) i tego samego dnia wyjechał z powrotem. 2 X 1588 roku dworzanin kardynała Aldobrandini, komtur Pucci, napisał tak: *Odwiedzałem Xięcia w imieniu Legata, będzie miśiąc temu. Trzymają go w mieście, zwanem Krasnymstaw, i otoczonym murem, co niemało znaczy w Polsce. Mieszka w forticy otoczonej rowami, i ma 300 żołnierzy na straży. Apartament jego składa się z dwóch pokoiów. Kilka razy miałem zreczność mówić z N. Masymilianem, i w kilku interesach; znalazłem go bardzo mocnym w rozmowie i nader uprzejmym; zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na swoje uwięzienie. Przystojniejszy jest od braci swoich; niewielkiego wzrostu, ale dobrze złożony. Ubrany był ze spodu po hiszpańsku; a zwierzchu nosił suknię axamitną czarną do pól nogi, z Węgierska czy z Polska; na głowie miał kółpak z lisów czarnych, wedle zwyczaju Panów tutejszych. Każdego rana wychodzi z zamku na mszę, potem przechadza się i gra w piłkę za miastem. Gubernator i Dowódzca żołnierzy są dla niego z wielkim uszanowaniem, a oba zależą od Kanclerza* [4]. 7 I 1589: Jego Wysokość posłał mnie (Lassotę) wziąć udział w Jego imieniu w weselu Orchowskiego. 7 III 1589: Jego Wysokość posłał mnie do wojewody poznańskiego do Szczepreszyna. 2 V 1589: Książę Janusz Ostrogski, wojewoda wołyński, odwiedził Jego Wysokość. 9 V 1589: Jego Wysokość wyjechał z Horodła, przenocował w

Wojśławicach i następnego dnia przybył do Krasnegostawu [11]. 21 V 1589: Arcyksięcia Maksymiliana odwiedził poseł cesarski, biskup wrocławski Andreas Gerybus [12].

W dniu 9 III 1589 r. zawarto układ będziński-bytomski. Na jego mocy Maksymilian rzekł się tytułu króla polskiego i wszystkich praw z nim związanych. 21 V 1589 ustalono, że: po wykonanej przysiędze, N. Król J. M. pojedzie do Krasnegostawu odwiedzić N. Maxymiliana, który zjeździe ze wschodów na Jego spotkanie, a Król ustąpi pierwszeństwa i prawej ręki J. Wysokości, i zaprosi Go tego dnia na obiad. W rozmowie oba tytułować się będą Serenissimus, N. Maxymilian tłumaczył się, że nie może dać tytułu Majestus Jego Królewskiej Mości, ponieważ Arcy-Xiążęta Austriaccy nie dają go żadnemu Królowi. Wkrótce po tym, 28 V 1589, odwiedził go w Krasnymstawie król Zygmunt III Waza, ustrojony w klejnoty koronne. Spotkał się niemal 23-letni król z ponad 30-letnim arcyksięciem. Dnia 28 V 1589 z rana J.K.M. przyjechał do Krasnegostawu i udał się do Zamku [4]. Król odwiedziłzymanego pod strażą w Krasnostawie Maksymilijana, chcąc przez ściślej z nim zachowanie zatrzeć pamięć wszelkiej urazy. Ani tam jednak nie obeszło się bez tego, aby Maksymilijan nie obraził na nowo Polaków; chciał bowiem tę, którą arcyksiążęta równą królewskiej przyznawają sobie powagę, zatrzymać i na spotkanie króla do dolnych schodów nie zszedł; ale marszałek wiel. kor. Jędrzej Opaliński nie dopuścił królowi dalej postąpić, póki Maksymilijan przeciwko niemu na dół się nie spuścił. Uprzejmie powitany od króla, prędkiego uwolnienia przyrzeczenie otrzymał [13].

Spotkanie arcyksięcia z królem opisał naoczny świadek, Wawrzyniec Goślicki, biskup chełmski, tymi słowami: Król JMci jechał do Krasnegostawu; było u dworu około sześciu tysięcy prawie, strojnie, huczno i świetno; w tę bramę, gdzie miał mieszkanie arcyksiążę wjeżdżali wszyscy i drudzy wyjeżdżali. Chcącego wniść na schody króla wstrzymał marszałek w. kor. aż arcyksiążę, który wyszedł przeciw królowi do wschodu, i zatrzymawszy się czekał króla, zszedł aż na dół. Tam się witali, ale też na górze w pokoju; a rozmowy były w języku łacińskim.

Król JMci przemówił:

- „Powodowany krwi związkim, który mnie z Jasnością Waszą łączy, i powinnością pana chrześcijańskiego, przybyłem tu odwiedzić Jasność Waszą w chęci dopełnienia ugody, która za wdaniem się papieża przez z obopólnych komissarzów jest zawartą. Nigdy ja ku temu niedał przyczyny, aby przyjaźń nasza nadwężenie, jakie poniosła, a cokolwiek między nami zaszło, to za nieuchronny skutek nieszczęsnego

losu poczytać należy. Oby się to było raczej nie stało, lecz rozum ludzki wyroków i przeznaczeń niebios odwrócić nie zdoła. Jako zaś przez krwi związek Jasności Waszej i najjaśniejszemu domowi austr. miłość i przychyłność winien jestem, tak je niniejszem oświadczeniem okazywać zawsze przyrzekam i obowiązki brata i sąsiada przychylnie i szczerze zachowam”.

Odpowiedział na to Maksymilian:

- „Skladam dzięki W. król. Mci, żeś mnie w teraźniejszej mojej niedoli odwiedzić i w skutku okazać raczył, jakie masz względy dla mnie, dla najjaśniejszego domu mego, wielorako z jasnością Waszą połączonego. Co się między nami stało, zaiste zmianom rzeczy ludzkich, któremi Bóg włada przypisać potrzeba. A iż odtąd wzajemnej tylko przyjaźni dowodami walczyć z sobą mamy, i ja z mej strony to Jasności W. przyrzekam, co szczerzy i życzliwy książę przyrzec winien. Cieszę się, że Jasność W., zdrową i czerstwą oglądam”.

Tac była ich mowa. Siedzieli z sobą chwilę, potem trąbiono i bębniiono do obiadu. Król się przebrał, odszedłszy, wstąpił zaś poń idąc do stołu; w drodze dał mu prawą rękę, chociaż się arcyksiążę wzbraniał, ale mu król rzekł: Ja mam Jasność W. za gościa, brata i u stołu dał mu prawą rękę. Rozmawiali z sobą, pili przez zdrowie. Owo zszedł ten dzień wesoło. Potem odprowadził go król do pokoju, i on też króla odprowadził, i we wtórym się gmachu rozeszli, i dobranoc sobie dali. Nazajutrz posłał mu król kosztowną karetę z woźnikami i wszelkim sprzętem, i w niej koni ośm białych farbowanych żółto gorąco, prawie cudnych, cztery konie tureckie, dwa jednochodniki. Tak się potem rozjechali. Z króla JMci, jakom baczył, arcyksiążę był bardzo kontent, a koniom był bardzo rad, nie mógł się zatrzymać, kazał przy sobie na nich biegać. Przy stole, gdzie siedzieli, siedział też Nuncyusz, poseł cesarski i biskup wrocławski. U drugiego stołu rada koronna, było też 4 biskupów, ks. kardynał i pan wojewoda krakowski. Wieść niesła, lubo niepewna, iżby Maksymilian rad by się wykreślił z tej przysięgi, która go bardzo gryzie, a chociażby nie przysiągł, nam mało na tem. A przecie więcej zależy, gdy Lubowle wrócą i cesarz przysięże. Jać go muszę z innymi senatory prowadzić, aż za granicę z wielką przykrością i niedogodą. Ale cóż czynić? Dziś rano N. Król J.M. na wyjeździe poszedł do pokojów N. Maksymiliana, i pożegnał się z nim w najuprzejmiejszych wyrazach; podobnie odpowiedział mu N. Maksymilian i odprowadził go aż na ostatni stopień wschodów na dziedzińcu. Król J.M. poszedł na mszę do Kościoła, blisko Zamku, a ztamtąd siadł na koń, w drogę do Litwy [4].

Układ będiński-bytomski, odnawiał przyjaźń między Rzeczpospolitą i Habsburgami. Maksymilian rzekł się tytułu króla polskiego i wszystkich praw z nim związanych. Cesarz i wszy-

scy arcyksiążęta przyrzekali, że ani za życia, ani po śmierci Zygmunta III nie będą wysuwać pretensji do korony polskiej, ani też wspierać tych, którzy by to czynili. Datę uwolnienia arcyksięcia wyznaczono na dzień 28 VII 1589, chociaż to dla niespełnionych umowy będińskiej warunków nieco spóźnione zostało. Ale że posłowie węgierscy nie przybyli, a stąd zastrzeżonemu warunkowi zatwierdzenia przez nich umowy zadość się nie stało. Polacy, którym wypuszczenie Maksymiliana poruczone zostało, dla zajścia takiej z warunków niedopełnionej wątpliwości, Maksymiliana z drogi zwróconego, nazad do Krasnegostawu wieźli. Po krótkiej jednak przewłoce znowu się skierowali ku granicom Śląska, przyjąwszy zaręczenie, że Węgrzy na najbliższym sejmie swoim, umowę przerzeczoną zatwierdzą i zaprzysięgną. Wawrzyniec Goślicki biskup i Mikołaj Zebrzydowski zamku królewskiego starosta byli na czele tych, co imieniem króla i Rzeczypospolitej przeprowadzili Maksymiliana, mając od niego przy wjeździe do Śląska odebrać przysięgę na wierne dotrzymanie traktatu [13]. **Arcyksięcia Maksymiliana uwolniono 8 IX 1589 r.**, a 12 IX był już w Nysie. Układ będiński ratyfikowali: król Zygmunt III oraz osobiście cesarz Rudolf II i arcyksiążęta na sejmie warszawskim w roku 1590 [1].

W opisanych tu wydarzeniach, wielką rolę odegrał Wawrzyniec Goślicki, późniejszy „nasz” biskup chełmski (nawiasem mówiąc, autor dzieła „O senatorze doskonałym”, które wywarło wpływ na konstytucjonalizm w świecie anglosaskim i w Stanach Zjednoczonych). Goślicki popierał kandydaturę Zygmunta Wazy, dopatrując się „większych pozorów dobra”. Miał talent wybitnego dyplomaty i mediatora. To on załagodził konflikt pomiędzy Zamoyskim i Górkami, przybyłych na elekcję z wojskiem, zażegnując realną groźbę bitwy na polu elekcyjnym. Na sejmie 1587 r. brał udział w opracowaniu paktów konwentów, a następnie (10 XII 1587), to właśnie on uroczystą mową powitał elekta pod Krakowem. Goślicki z powodzeniem wypełnił nadzwyczaj delikatną misję - pertraktację z uwięzionym i głęboko urażonym arcyksięciem Maksymilianem i odprowadzenie go do granicy. Głównym sprawcą układu będińskiego był Wawrzyniec Goślicki równie wymową, jak i głęboką polityki znajomością celujący [8]. Zamoyski przyznał, że „cała korzyść z traktatu będińskiego płynąca, Goślickiemu winna być przypisana”. Duże uznanie wzbudził sposób, w jaki Goślicki perswazją skłonił arcyksięcia do potwierdzenia swych przyrzeczeń, gdy ten, przekroczywszy granicę, chciał wycofać się z przyjętych zobowiązań [14]. Lecz większą zasługę miał, gdy Mikołaja Zebrzydowskiego starostę krakowskiego uhamował, gdy ten chciał „płatać” arcyksięcia Maksymiliana, który odprowadzany na Śląsk, spotkawszy na granicy wojsko niemieckie, wzbraniał się traktaty podpisać [15].

Echa krasnostawskiego spotkania Zygmunta III z Maksymilianem III brzmią w ówczesnych dokumentach sejmowych. W protestacji, napomnieniu i prośbie do JKM i Ich Mć Panów Rad i Rycerstwa wszystkiego obojga narodów od innych Ich Mć Panów Rad i Rycerstwa zgromadzonych w Jędrzejowie dnia 6 VI 1592, zapisano: *O to J.K.Mci pokornie prosimy, aby wszystkie klejnoty zaś do skarbu Koronnego zniesione były, tak te, które były wzięte na zjazd w Krasnem Stawie z Arcyksiężciem Maksymilianem, jako też, które teraz świeżo privatim z skarbu pobrane są, ażeby wszystkie były w skarbie pod kluczem JMci P. Podskarbiego, napominamy Jmci po bratersku. W instrukcji sejmiku Opatowskiego 9 IX 1592, czytamy: Aby były rewidowane na tem sejmie klejnoty wszystkie Koronne, ażeby były zniesione do rąk JMci Pana Podskarbiego Koronnego i zupełnie oddane, tak te, których JKMć do aktu wesela swego używał, jako też i te, które przed drogą Krasnostawską albo Rewelską do potrzeby swej wziąć był raczył, także i innych wszystkich klejnotów i depozytów, które były zostały po śmierci Króla Augusta i Stephana [16].*

Szymon Starowolski w roku 1632 wspominał wydarzenia sprzed lat czterdziestu: *Krasnystaw nad rzeką Wieprzem położony, gdzie jest i katedra biskupa katolickiego przeniesiona nie tak dawno i zamek z pałacem nowszej architektury. Tu świętej pamięci (zmarły przed 14 laty) arcyksiążę Maksymilian, gdy do Królestwa Polskiego z wojskiem nieprzyjacielskim przybył, zuchwałością nielicznych przywołany, przez Jana Zamoyskiego pobity i wzięty do niewoli, trzymany był pod strażą [17].*

Jeśli wydaje się nam, że obecne spory polityczne osiągają najwyższą temperaturę, warto wspomnieć przeżycia naszych odległych antenatów.

Kazimierz Stolecki



Zygmunt III Waza, około 1594 r. [18]

Podpis Zygmunta III Wazy, 1587 [19].

Podpis Zygmunta III Wazy, 1587 [20].



Maksymilian III, około 1589 r. [18]

Podpis Maksymiliana III, 1598 [21].

Podpis Jana Zamoyskiego, 1587 [22].

Bibliografia:

1. H. Wajs, *Wokół podwójnej elekcji (1586-1598)*, Skarby Dziedzictwa Narodowego, <http://dziedzictwo.polska.pl>
2. A. Grabowski, *Starożytnicze wiadomości o Krakowie: zbiór pism i pamiątek*, nakł. i druk J. Czecha, Kraków 1852.

3. J. U. Niemcewicz, *Dzieje panowania Zygmunta III, króla polskiego, wielkiego księcia litewskiego, itd.* Tom 1, wyd. K. J. Turowski, nakł. Wyd. Biblioteki Polskiej, Kraków 1860.
4. A. Przezdziecki, *Listy Annibala z Kapui arcybiskupa neapolitańskiego, nuncjusza w Polsce.* Nakł. Ig. Klukowskiego, Warszawa 1852.
5. J. Moraczewski, *Dzieje Rzeczypospolitej Polskiej*, tom IV, nakł. N. Kamieńskiego i s-ki, Poznań 1846.
6. R. Hejdensztejn, *Dzieje Polski od zgonu Zygmunta Augusta do roku 1594.* Przełożył M. Gliszczynski. Nakł. B. M. Wolffa, Petersburg 1857.
7. F. Bohomolec, *Życie Jana Zamojskiego, kanclerza i hetmana wielkiego koronnego.* Wyd. K. J. Turowskiego, nakł. Wyd. Biblioteki Polskiej, Kraków 1860.
8. *Kronika Pawła Piaseckiego Biskupa Przemyńskiego, polski przekład wedle dawnego rękopisu*, Drukarnia UJ pod zarz. K. Mańkowskiego, Kraków 1870.
9. J. U. Niemcewicz, *Śpiewy Historyczne z uwagami Lelewela.* Nakł. i druk J. Czecha, Kraków 1835.
10. K. S. Bodzantowicz, *Rodzina konfederatów. Obrazki historyczne I. Pan starosta Warecki. II. Pan marszałek Łomżyński*, nakł. K. Wilda, Kraków 1869.
11. E. Lassota ze Steblewa, *Dziennik*, WWW „Восточная Литература”.
12. *Joachima Bielskiego dalszy ciąg Kroniki Polskiej zawierającej dzieje od 1587 do 1598 r.*, do druku podał Fr. M. Sobieszczański, nakł. i druk S. Orgelbranda. Warszawa 1851.

13. X. Fr. Siarczyński, *Obraz wieku panowania Zygmunta III króla polskiego i szwedzkiego*, t. I, nakł. Księgarni Nowej, Poznań 1843.
14. A. Stępkowski, red., *O senatorze doskonałym studia: prace upamiętniające postać i twórczość Wawrzyńca Goślickiego.* Kancelaria Senatu, Warszawa 2009.
15. Ks. L. Łętowski, *Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich.* T. III, w Drukarni UJ, Kraków 1852.
16. E. Barwiński wyd., *Dyaryusze i akta sejmowe 1591-1592, Scriptorum Rerum Polonicarum*; t. 21, Wyd. Komisji Historycznej Akademii Umiejętności w Krakowie, Druk. Wł. L. Anczyca. Kraków 1911.
17. Sz. Starowolski, *Polska albo opisanie położenia Królestwa Polskiego 1632*, z języka łacińskiego przełożył A. Piskadło.
18. E. Raczyński, *Gabinet medalów polskich*, tom I, druk M. Friedlaendera, Wrocław 1868.
19. List Zygmunta, króla elekta do książąt pomorskich z 17 X 1587 informujący o swoim przybyciu do Polski w związku z koronacją na króla polskiego. Skarby Dziedzictwa Narodowego, <http://dziedzictwo.polska.pl>.
20. List Zygmunta, króla elekta do kanclerza Jana Zamojskiego z 23 X 1587 wzywający go, by dalej bronił Krakowa. Ibid.
21. List Maksymiliana do Zygmunta III w sprawie przesłania ratyfikacji układu bėdzińsko-bytomskiego z 12 V 1598 roku. Ibid.
22. List Jana Zamojskiego i Andrzeja Tęczyńskiego z 9 IV 1587 roku do wojewody wileńskiego Krzysztofa Radziwiłła o współpracy podczas elekcji. Ibid.

Artur Borzęcki

Jan Wowczak (1884-1935) - pierwszy dyrektor krasnostawskiego gimnazjum. Wspomnienie w 75. rocznicę śmierci

W tym roku w maju przypada 75. rocznica śmierci profesora gimnazjalnego, doktora Jana Wowczaka, pedagoga i wychowawcy. Do profesji nauczyciela przygotowywał się w szkołach Galicji, a zdobyte doświadczenie spożytkował później, organizując życie szkolne w dwóch miastach II RP, w Krasnymstawie i Lesznie.

Jan Wowczak urodził się 28 stycznia 1884 r. w Krakowie, w wielodzietnej rodzinie Stefana, kucharza, i Heleny z Kalów. Edukację rozpoczął



Dyrektor Gimnazjum w Krasnymstawie Jan Wowczak w gronie uczennic w sadzie owocowym podczas wakacji 1917 r. (Zbiory Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie).

w szkole powszechnej w Białej (1890-96), następnie naukę kontynuował w gimnazjum w Bielsku (1896-98), a dokończył w Krakowie w Gimnazjum św. Anny, uzyskując maturę w 1902 r. Następnie, w latach 1902-1906 studiował germanistykę i filologię klasyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim. Studia z germanistyki zgłębiał również jako stypendysta (1905-06) na Uniwersytecie w Monachium. W dniu 12 maja 1908 r. zdał w Krakowie egzamin nauczycielski, tym samym uzyskał prawo do nauczania języka i literatury niemieckiej w szkołach średnich oraz łaciny i greki jako przedmiotów pobocznych. W 1910 r. poszerzył wykształcenie, zdobywając na Uniwersytecie Jagiellońskim stopień doktora nauk filozoficznych.

Pracę nauczycielską rozpoczął jako praktykant w „swoim” Gimnazjum św. Anny w Krakowie. W latach 1907-09 był zastępcą nauczyciela w gimnazjach w Krakowie-Podgórzu, Brodach, Rzeszowie (Klasyczne Gimnazjum Męskie 8-klasowe). W 1909 r. otrzymał stałą posadę w gimnazjum w Gorlicach, a w 1913 r. decyzją Rady Szkolnej Krajowej (RSK) został awansowany na profesora gimnazjalnego i przeniesiony z Gorlic do VII Państwowego Gimnazjum Męskiego im. Tadeusza Kościuszki we Lwowie. Później uczył również w gimnazjum dla uchodźców w Wiedniu, a następnie w Krajowej Szkole Kupieckiej w Białej.

Pod koniec 1916 r., rozkazem austro-węgierskich władz wojskowych, został powołany na stanowisko dyrektora organizującego się Gimnazjum Realnego (Humanistycznego) w Krasnymstawie. Do Krasnegostawu przyjechał w grudniu 1916 r. i od początku swej pracy dał się poznać jako doskonały organizator. W niezwykle trudnych warunkach urządzał szkołę, przeprowadzał nabór, zmagając się z trudnościami kadrowymi i lokalowymi, nie tylko kierował szkołą, ale też uczył w niej języka niemieckiego. O tym, jak trudna była to praca, świadczy m.in. korespondencja dra Wowczaka z Władysławem Żłobickim, inspektorem szkolnym z Lublina, późniejszym dyrektorem Departamentu Szkolnictwa Powszechnego (wspomniane listy Wowczaka przechowuje Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Lublinie, a edycję jednego z nich prezentujemy w tym numerze „Nestora”). W Krasnymstawie Wowczak nie tylko organizował samą szkołę, ale też i różnego rodzaju „instytucje pomocnicze”. To głównie z jego inicjatywy powstała w 1917 r. (otwarta 1 listopada) bursa im. Tadeusza Kościuszki, wkrótce wszedł też w skład Społecznego Zarządu Bursy. Również z jego inicjatywy zaczęto organizować Gminę Szkolną - dzisiejszy samorząd uczniowski, a Wowczak

został też jej kuratorem (opiekunem). Opracował również regulamin bursy, a następnie - regulamin całej szkoły. W dniu 5 kwietnia 1919 r. w Krasnymstawie podczas pierwszego posiedzenia delegatów do sejmiku powiatowego konstituował się samorząd szczebla powiatowego, wybierano również skład poszczególnych komisji działających w ramach tego samorządu. Dyrektor Jan Wowczak powołany został do komisji szkolnej, a jej skład uzupełnili ks. Stanisław Szepietowski i Franciszek Smyk. Rok szkolny 1919/1920 był ostatnim dla Wowczaka w Krasnymstawie. Żegnany był nie bez żalu przez grono pedagogiczne, uczniów, jak i miasto. W swej mowie pożegnalnej ze szkołą chwalił „dobre zachowanie i pilność uczniów oraz frekwencję zupełnie regularną”, co jak zauważył było możliwe dzięki „poważnej i serdecznej pracy nauczycieli”.

W 1920 r. rozpoczął pracę w Państwowym Seminarium Nauczycielskim Męskim w Lesznie, a w 1927 r. został mianowany dyrektorem tej szkoły. Wykorzystał tu doświadczenie uzyskane w poprzednim okresie, skupiając się na wychowaniu pokolenia nauczycieli, którzy zasilać mieli szkolnictwo w miastach i wsiach. Szczególną uwagę w programie nauczania przywiązywał do muzyki, przygotowując nauczycieli dla potrzeb amatorskiego ruchu artystycznego. Godną uwagi jest również jego działalność społeczna. Organizował życie muzyczne i kulturalne Leszna, urządzając odczyty, koncerty, jasełka oraz majówki, jeśli nie w samym Lesznie, to w pobliskich Krzyczku Wielkim lub w Grotnikach. Dbał również o rozwój harcerstwa w szkole i na terenie miasta. Publikował artykuły w miejscowym czasopiśmie „Ziemia Leszczyńska”.

Przez wiele lat należał i czynnie działał w Towarzystwie Nauczycieli Szkół Wyższych we Lwowie - legalnie działającej organizacji nauczycielstwa szkół średnich. Pomimo tego, że wciąż zmieniał szkoły i przenosił się z miasta do miasta, wciąż pozostawał w strukturach TNSW, pełniąc tam rozliczne funkcje. W Kole Lwowskim należał do sekcji neofilologicznej, w Gorlicach był skarbnikiem Koła, pełnił też funkcję urzędnika Biura Zarządu Głównego (1913). Był bardzo aktywny, zabierał głos w dyskusjach o dydaktyce, wychowaniu młodzieży, wygłaszał referaty, jak np. w gorlickim Kole pt. „O nauce strzelania w szkołach średnich”. Wowczak opracowywał też lektury dla młodzieży szkół średnich wydawane we Lwowie nakładem TNSW. W ramach serii „Biblioteczka niemiecka” wyszły opracowane przez Wowczaka - *Zriny* (1912) tragedia pióra Theodora Körnera oraz *Undine* (1913) baśń autorstwa Friedricha de la Motte Fouqué - obie edycje będące dzisiaj białymi krukami. W podobnym charakterze, bo w zakresie wydawnictw szkolnych, współpracował też z

książnicą „Atlas”, oceniając podręczniki. Współpracował z „Muzeum”, czasopismem poświęconym sprawom wychowania i szkolnictwa wydawanym przez TNSW, w latach 1912-14 wchodził w skład redakcji jako tzw. likwidator. Na łamach pisma recenzował też książki poświęcone aktywności ruchowej, jak np. „Sport saneczkowy” i „Sport łyżwiarski” wydane nakładem Zuckerkandla. Był jednym z założycieli wiosną 1916 r. „Książnicy” - wydzielonego działu wydawniczego TNSW. Walne zgromadzenie wybrało Radę Nadzorczą, która z kolei powołała dwóch dyrektorów i ich zastępców, a jednym z nich został właśnie Jan Wowczak. Pod koniec listopada 1918 r. Wowczak zwołał w Krasnymstawie zebranie nauczycieli gimnazjalnych w celu założenie Koła TNSW. Jako przewodniczący zebrania przedstawił korzyści, jakie niesie za sobą członkostwo w organizacji. Przedstawił też „wyższość” i różnice *in plus* pomiędzy TNSW a innymi nauczycielskimi stowarzyszeniami zawodowymi. Wywody Wowczaka były przekonujące, ponieważ zebrani jednogłośnie przystąpili do TNSW, które tym samym powiększyło się o 14 członków. Wybrano Zarząd Koła z przewodniczącym dr. Janem Wowczakiem, sekretarzem Mieczysławem Krukiewiczem i skarbnikiem Michałem Peterem. Na jednym z zebrań w 1919 r. postanowiono założyć kółko literackie i raz w miesiącu urządzać odczyty, a dochód pierwszego z nich planowano przeznaczyć na Fundusz Pomocy dla Obrońców Lwowa i ich Rodzin im. Cz. Mączyńskiego. Podczas krasnostawskich zebrań głoszone też referaty, jak np. w wykonaniu Wowczaka pt. „Program naukowy szkoły średniej” opracowany przez WRiOP. Omawiano też sprawy związane z miejscową szkołą czy samego TNSW, gdy np. Michała Kińczyka wybrano delegatem do „Książnicy”.

Wowczak był też znakomitym taternikiem, a Tatry znał jak własną kieszeń. Podczas studiów w Monachium próbował też wspinaczki w Alpach. Zajmował się również grafologią, podczas pobytu w Lesznie, a następnie w Poznaniu, był zaprzyjętym znawcą pisma w tamtejszych sądach. Rzetelne i fachowe rozpoznawanie spraw przeprowadzane przed sądem, w czasie upadłości banków ludowych, przyniosły mu duże uznanie i sukces.

W styczniu 1933 r. został przymusowo przeniesiony na emeryturę, co - jak się uważa - nastąpiło w wyniku wcześniejszego podpisania przez niego tzw. protestu brzeskiego. Był nie tylko pedagogiem i społecznikiem, ale też mężem i ojcem. 3 lipca 1907 r. w Tymbarku zawarł związek małżeński z Janiną z d. Petryk, z którą miał troje dzieci: Witolda (ur. w 1910, zmarł w dzieciństwie), Jadwigę (ur. 1912) mgr filologii polskiej i Stefana

(ur. 1918 w Krasnymstawie?) dra n. med. Stefan w 1946/1947 ukończył Wydział Lekarski Uniwersytetu w Poznaniu, a w 1952 r. obronił na poznańskiej Akademii Medycznej pracę doktorską na temat „Zagadnienie zatruc przewlekłych manganem (manganizmu) w wytwórni suchych ogniw”. Nawiasem mówiąc, przed II wojną światową w Krakowie-Pogórze pracował inny lekarz - Stefan Józef Wowczak (ur. 1892), ginekolog i prawdopodobnie brat Jana.

Jan Wowczak zmarł nagle (tydzień przed Marszałkiem Piłsudskim) 5 maja 1935 r. w Poznaniu („Dziennik Poranny”, powołując się na USC w Poznaniu podawał datę 6 maja). Został pochowany na cmentarzu parafialnym w Poznaniu na Jeźcach. Według listy osób zmarłych opracowanej przez Janinę Król w ramach projektu Wielkopolskiego Towarzystwa Genealogicznego „Gniazdo”, grób dra Jana Wowczaka został ekshumowany i przeniesiony z cmentarza św. Marcina na poznański cmentarz przy ul. Samotnej (pole 5, rząd 1, grób 12). Pogrzeb Wowczaka stał się manifestacją uczuć bliskich mu przyjaciół, a przede wszystkim byłych uczniów, którzy zjechali się ze wszystkich zakątków kraju, aby oddać hołd swojemu wychowawcy.

Za położone zasługi otrzymał w 1929 r. „Medal Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości”, a w 1932 r. - „Złotą Państwową Odznakę Sportową”. O Wowczaku pamiętało też Leszno, miasto z którym związał się najdłużej w swoim dorosłym życiu. Byli wychowankowie ufundowali poświęconą mu tablicę pamiątkową odsłoniętą 11 października 1986 r. w budynku obecnego Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 1 w Lesznie przy ul. Kurpińskiego 1. Wkład Wowczaka w rozwój dziejów i dorobku miasta Leszna został również zauważony przez autorów i wydawców „Słownika biograficznego Leszna” (wyd. 2004), co zaowocowało sporządzeniem biogramu tego zasłużonego pedagoga.

Artur Borzęcki

PS

Dziękuję pani Ewie Bartkowiak-Nabzdzyak starszemu kustoszowi, kierownikowi Działu Informacyjno-Bibliograficznego MBP w Lesznie za pomoc w dotarciu do „Słownika biograficznego Leszna”.

Literatura (w wyborze):

Jędraś S., *Wowczak Jan*, [w:] *Słownik biograficzny Leszna*, pod red. B. Głowinkowskiej i A. Koniora, Leszno 2004, s. 393-394.

Tworuska A., *90 lat Gimnazjum i liceum im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie*, Krasnystaw 2007.

Wowczak S., *Jan Wowczak (1884-1935)*, „Gazeta Wyborcza Poznań” 2005, nr 102 (4 V 2005) s. 9.

Krasnystaw 6/9 [19]17

Kochany Panie Inspektorze!

Sprawa lokalu obecnie jeszcze nie załatwiona - o ile 2 oficerów uda się ulokować gdzie indziej, miasto wynajmie po nich 2 duże pokoje, które wystarczą dla kl[asy] III (25 ucz[niów]) i IV (15), reszta mieściłaby się w dotychczasowym budynku, nadto ja będę miał mieszkanie z kuchnią w gimnazjum. W ogóle jestem wściekły bo przecież jest ironiczne wprost, by dla 2 ludzi poświęcić 64 uczniów, którzy przez to do szkoły nie chodzą.

Magistrat zresztą solennie przyrzekł, że dla tych 2 klas pomieszczenie da. Na razie obydwa oddziały klasy I mają wakacje w dalszym ciągu co prawda, choćby już i lokal był - to nie ma kto uczyć. Ksiądz miał już nas opuścić - a nowy katecheta ks. Gutkowski przez konsystorz naznaczony jeszcze się nie zjawił - przychodzi z okupacji niemieckiej i jeśli nie dostanie jakiego *offener Befehl**, to pewnie na koniec roku przyjedzie. W roku bieżącym mam zamiar także zmienić trochę normalny plan ze względu na nowych uczniów - mianowicie: jęz[yk] polski w każdej klasie po 4 g[odziny], łaciny wystarczą w kl. I po 5 g. zwłaszcza według podręcznika Lewickiego i przy normalnym roku. Matematykę w II i III chcę powiększyć o 1 g. tygodniowo ze względu na krótki ubiegły rok szk[olny] i geometrię tak samo dodać 1 g. przyrody w kl. II na wyczerpanie zoologii a potem botaniki w IV, 1 g. fizyki również dla tych samych przyczyn. Miałaby klasa I a, b po 27 g., II kl. 30, III 29, IV aż 32 godz. ale to przecież nic nie szkodzi. Zresztą proszę mi donieść, co Koch[any] Pan Inspektor o tem myśli i jak mniej więcej obdzielić 6 nauczycieli bez księdza temi godzinami. Ja sobie mniej więcej rozkład czynności ułożyłem - dla 6-ciu bezemnie i bez księdza, bo przypuszczam że inaczej rady sobie nie damy. Do Danielskiego pisałem [...] uczyć może geogr[afii], polsk[iego], francuskiego - ale jeszcze chciałbym całą przyrodę z fizyką i geografją w 3 klasach, Kulik[owskiemu] prócz matematyki dałbym łacinę w II - bo to jeszcze jako tako potrafi.

Mieliśmy moc roboty przy egzaminach - także i uczniów więcej [...] się zapisało. Oczywiście przy egzaminach - także wstępnych do wyższych klas przeważnie wszyscy kandydaci o oczko za wysoko strzelali, przyjęło się ich o klasę niżej. Obecnie i obywatele się nawrócili i żydzi i tu[ejsza] inteligencja, z komendy wielu Panów zapisało dzieci. Dzięki czemu mamy też 2 Rusinów.

Tyle mniej więcej na dziś - poza tem mam katar i [...] myśleć również trzeba o jakiej gospodarce w domu.

Serdecznie pozdrawiam i przesyłam wyrazy szacunku.

JWowczak
[podpis]

* oficjalny rozkaz

Źródło: Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego w Lublinie, sygn. 1747.

oprac. Artur Borzęcki



Kartka pocztowa adresowana przez Jana Wowczaka do inspektora Władysława Żłobickiego (Zbiory WBP w Lublinie).

Artur Piekarz

 Jeden z Wyklętych... Stanisław Kuchciewicz „Iskra”, „Wiktor” (1922-1953)

Adam Stanisław Kuchciewicz urodził się 24 XII 1922 r. w Łęcznej. Był synem Stanisława i Bronisławy z d. Piech. Miał troje rodzeństwa. Jego

ojciec był współwłaścicielem firmy przewozowej, świadczącej usługi na trasie Łęczna-Lublin-Łęczna. Po ukończeniu siedmioklasowej szkoły powszechnej w Łęcznej, kontynuował naukę w Gimnazjum Męskim im. Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie. W czasie kampanii wrześniowej wraz z ojcem zajmował się ewakuacją uciekinierów przemieszczających się na wschód przed nacierającą armią niemiecką.

Stanisław Adam Kuchciewicz „Iskra”, „Wiktor” (1922-1953).

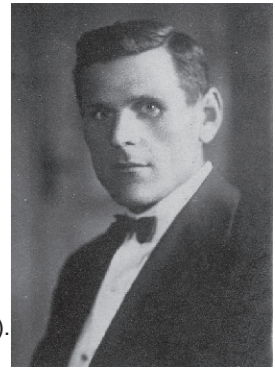


Z konspiracją związał się w styczniu 1940 r., nie wiadomo jednak do jakiej organizacji należał w początkowym okresie okupacji. Od 1942 r. był członkiem NSZ (placówka w Łęcznej). Z tego też okresu pochodzi jego pierwszy pseudonim konspiracyjny - „Iskra”. W międzyczasie, aby uniknąć wywózki na roboty do Niemiec, podjął pracę w miejscowym dworze. Następnie został wcielony do tzw. „Junaków”, zatrudnionych przy budowie miejskich dróg. W 1943 r., zagrożony aresztowaniem, musiał uciekać z domu. Prawdopodobnie przez pewien okres ukrywał się u rodziny w pobliskim Sufczyńcu. Późną jesienią 1943 r. wstąpił do oddziału partyzanckiego NSZ pchor./ppor. Jana Imbirowicza „Jacka I” (po jego śmierci, oddziałem dowodzili kolejno: pchor./ppor. NN „Jacek II”, plut./ppor. Władysław Milla „Czarny”, „Rylski”). Działalność zbrojna grupy skierowana była nie tylko przeciwko Niemcom, ale również - w ramach szeroko pojętej samoobrony - przeciw oddziałom AL i partyzantki sowieckiej oraz szczególnie niebezpiecznym członkom PPR. Kuchciewicz brał prawdopodobnie udział we wszystkich najważniejszych akcjach, w tym ataku na obóz pracy dla „Junaków” (Baudienst) i koszar Ostlegionu w Zemborzycach pod Lublinem w dn. 24 VI 1944 r. W lipcu 1944 r. oddział toczył walki z wycofującymi się Niemcami, m.in. 22 VII 1944 r. rozbito kolumnę niemiecką w Borkowiźnie. Po wkroczeniu Sowietów na Lubelszczyznę, oddział „Jacka” został rozbrojony, a żołnierze rozeszli się do domów.

W połowie września 1944 r. Kuchciewicz został powołany do Wojska Polskiego. Trafił do szkoły podoficerskiej 8. Pułku Piechoty w Lublinie. Po kilku tygodniach (kilkunastu dniach?) zdezerterował wraz z grupą kolegów z Łęcznej (byłych członków NSZ i AK). Grupa ukrywała się początkowo w Łęcznej, a następnie w Sufczyńcu. W ostatnich tygodniach 1944 r. zbiegowie dołączyli do oddziału NSZ por. Mieczysława Pazderskiego

„Szarego”, operującego w pow. lubartowskim. Oddział ten powstał w październiku 1944 r. w oparciu o grupę dezertersów z 31. PP w Białce. „Szary” od początku podjął bardzo aktywne działania zbrojne skierowane przeciwko komunistom oraz instytucjom reżimowym, nierzadko rozciągając je na ludzi podejrzewanych o sympatyzowanie z nowym ustrojem (m.in. w nocy z 29 na 30 X 1944 r. rozbito posterunek MO w Ludwinie, w czasie walki zginęło siedmiu milicjantów; w nocy z 14 na 15 XII 1944 r. rozstrzelano w Dratowie dwóch oficerów Armii Czerwonej oraz gospodarzy, u których przebywali na kwaterze).

Ojciec „Wiktor”, Stanisław Kuchciewicz (fotografia przedwojenna).



16 II 1945 r. funkcjonariusze MO zastrzelili w Łęcznej 19-letniego Wiktora Kuchciewicza, rodzonego brata Stanisława - byłego członka AK. Już następnego dnia, 17 II 1945 r., oddział „Szarego” rozbił posterunek MO w Ludwinie. Nie można wykluczyć, że była to akcja odwetowa, zwłaszcza, że partyzanci podejrzewali funkcjonariuszy tego posterunku o dokonanie zbrodni (faktycznie odpowiadali za nią milicjanci z Łęcznej). Po tym wydarzeniu Stanisław Kuchciewicz przybrał pseudonim „Wiktor”, na cześć zamordowanego brata.

Wiosną 1945 r. oddział zintensyfikował działalność zbrojną, kierując ją coraz częściej przeciwko ludności ukraińskiej (m.in. 16 IV 1945 r. rozstrzelano dwóch członków PPR we wsi Grądy; 20 IV 1945 r. w Kol. Kobyłki zatrzymano 11 mieszkańców narodowości ukraińskiej - po pobiciu kijami dziewięciu z nich rozstrzelano; 2 V 1945 r. we wsi Syczyn rozstrzelano pięciu Ukraińców w wieku od 50 do 80 lat, a sześciu kolejnych - obrabowano). W tym czasie „Szary” wcielił do swojego oddziału grupę por. „Bystrego” (NN), złożoną z byłych żołnierzy 27. Wołyńskiej DP AK, nawiązał również współpracę z oddziałem sierż. Eugeniusza Walewskiego „Zemsty” z Komendy Powiatu NSZ Chełm. 24 IV 1945 r. obie grupy rozbroiły we wsi Kanie, gm. Pawłów, 50 żołnierzy LWP. Partyzanci rozstrzelali pięciu żołnierzy pochodzenia żydow-

skiego, a 23 wcielono do oddziałów „Szarego” i „Zemsty”.

30 IV 1945 r. Pazderski został mianowany szefem Pogotowia Akcji Specjalnej (PAS) na Powiat NSZ Chełm, jednocześnie obejmując dowodzenie nad zgrupowaniem partyzanckim liczącym w sumie ok. 300 partyzantów. W jego skład wchodziły oddziały: Zbigniewa Góry „Jacka”, Romana Jaroszyńskiego „Romana”, Bolesława Skulimowskiego „Sokoła”, Eugeniusza Walewskiego „Zemsty” oraz macierzysty - „Szarego” (dowodzony zapewne wówczas przez jego zastępcę por. „Bystrego”). Realizując wytyczne Komendy Okręgu Lublin NSZ, nakazujące likwidację „band ukraińskich na terenie wschodniej i południowej części powiatu Hrubieszów”, oddziały dowodzone przez „Szarego” spacyfikowały 6 VI 1945 r. wieś Wierzchowiny w pow. krasnostawskim. Wydaje się, że pojęcie „banda” rozciągnięto na całą ludność obcą etnicznie. W wyniku akcji zamordowano ok. 200 osób narodowości ukraińskiej (prawosławnych).

10 VI 1945 r. zgrupowanie „Szarego” zostało okrążone i rozbite w Hucie, pow. Chełm, przez pododdziały 98. Pułku Pogranicznego NKWD, wzmocnione wozami bojowymi, lotnictwem i siłami PUBP w Chełmie. W rezultacie walk poległo od 166 do 200 partyzantów (w tym dowódca zgrupowania). Z okrążenia udało się wyrwać stosunkowo nielicznym partyzantom, wśród których było wielu rannych. W porządku wycofały się tylko oddziały st. sierż. „Zemsty” i por. „Bystrego”, którego grupa stopniała do ok. 25 partyzantów. Wśród nich znajdował się zapewne „Wiktor”. „Bystry” skierował się w okolice Łęcznej, gdzie rozwiązał oddział, a ludzi rozmieszczał po okolicznych placówkach.

Okres po rozbiciu zgrupowania „Szarego” w Hucie jest dość niejasny w biografii Kuchciewicza. Wiadomo z całą pewnością, że w 1946 r. służył w oddziale Stefana Brzuska „Boruty”, wywodzącym się z grupy Eugeniusza Walewskiego „Zemsty”. Nie można wykluczyć, że wcześniej, bo od lata-jesieni 1945 r. służył pod komendą tego drugiego, ale brak na to jakichkolwiek dowodów.

Oddział „Boruty” powstał w grudniu 1945 r. i liczył w szczytowym okresie ok. 30 partyzantów. Operował głównie na pograniczu pow. chełmskiego i włodawskiego. „Wiktor”, awansowany w międzyczasie do stopnia sierż. podchor., pełnił funkcję zastępcy dowódcy, względnie szefa oddziału. Brał udział we wszystkich ważniejszych akcjach grupy, przeprowadzonych w pierwszej połowie 1946 r., m.in. w opanowaniu w dn. 22 V 1946 r. Łęcznej (wspólna akcja oddziałów NZW „Boruty” i WiN Leona Taraszkiewicza „Jastrzębia”).

Kuchciewicz wyróżnił się szczególnie w czasie starcia z GO UB-LWP pod Pieszowolą w dn. 8 VII 1946 r., kiedy to na czele jednej z drużyn skutecznie przykrył ogniem samochody wiozące członków grupy, uniemożliwiając im podjęcie jakichkolwiek działań obronnych przeciwko nacierającym partyzantom „Jastrzębia” i „Boruty” (rozbrojono wówczas ok. 70-osobową grupę żołnierzy 53. PP, dwóch wziętych do niewoli funkcjonariuszy UB puszczono wolno).



Kpt. Zdzisław Broński „Uskok”,
ppor. Stanisław Kuchciewicz „Wiktor”
(1947 lub 1948 r.).

Niedługo potem Kuchciewicz odszedł z oddziału, na skutek bliżej nieokreślonego konfliktu z drużynowym „Kostkiem” (Henryk Bobryk vel Wacław Rybak). Powrócił w okolice Łęcznej, gdzie wkrótce poprzez Tadeusza Hołowińskiego, dawnego kolegę szkolnego i członka siatki WiN, nawiązał kontakt z dowódcą oddziału zbrojnego, kpt. Zdzisławem Brońskim „Uskokiem”. Ten zgodził się na dołączenie „Wiktor” do jego grupy, co nastąpiło jeszcze w pierwszej połowie lipca 1946 r. Początkowo trafił do sztabu oddziału, ale po niedługim czasie objął dowodzenie nad plutonem (patrolem).

Oddział „Uskoka” liczył przeciętnie 20-30 partyzantów, a obszar jego działania (przed amnestią 1947 r.) obejmował powiaty: lubartowski (głównie na wschód od szosy Lublin-Lubartów), lubelski (na północny wschód od Lublina), a także włodawski (zwłaszcza okolice Ostrowa Lubelskiego). Początkowo działał jako grupa zbrojna Obwodu Lubartów AK-DSZ-WiN, a od maja 1946 r. podlegał bezpośrednio rozkazom komendanta oddziałów leśnych Inspektoratu Lublin WiN, mjr. CC Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Pomimo stosunkowo niewielkiej liczebności, prowadził bardzo aktywne działania zbrojne. „Wiktor” uczestniczył we wszystkich ważniejszych akcjach grupy, przeprowadzonych w drugiej poło-

wie 1946 r. (m.in. 14 IX 1946 r. - likwidacja sześciu członków PPR i ORMO w Niemcach; likwidacja 11 osób podejrzanych o współpracę z aparatem bezpieczeństwa w Łęcznej w nocy z 31 X na 1 XI 1946 r.; 26 XI 1946 r. - starcie z KBW w okol. Świerszczowa; pacyfikacja skomunizowanej wsi Rozkopaczew w nocy z 4 na 5 XII 1946 r.). 11 XI 1946 r. Kuchciewicz został awansowany do stopnia ppor. cz. w.

12 I 1947 r. oddział „Uskoka” startł się w Kol. Łuszczów z kilkusobowym patrolem MO i ORMO. W wyniku walki zginął jeden milicjant i czterech członków ORMO. Ze strony partyzantów ciężki postrzał w nogę otrzymał dowódca oddziału (ranił go przez pomyłkę jeden z podkomendnych). „Wiktor” skutecznie pokierował dalszą akcją, a następnie zorganizował transport rannego „Uskoka” na melinę w Stawkach, skutecznie zacierając ślady wycofującego się oddziału. W połowie lutego 1947 r., przebywając wraz ze swoimi ludźmi na terenie pow. włodawskiego, zlikwidował w Orzechowie - w porozumieniu z Edwardem Taraszkiewiczem „Żelaznym” - por. „Bołka”, „Łapkę” (NN), szefa oddziału „Jastrzębia”. Według „Żelaznego” i części jego podkomendnych miał on być agentem UB, odpowiedzialnym za śmierć dowódcy oddziału w dn. 3 I 1947 r. w Siemieniu, pow. Radzyń (faktycznie, „Jastrzęb” zginął w czasie wymiany ognia z grupą żołnierzy WBW-Bydgoszcz).

Kontuzja „Uskoka” zbiegła się z uchwaloną przez Sejm ustawą o amnestii. Broński, nie ufając komunistom, postanowił pozostać w konspiracji, jednakże swoim żołnierzom pozostawił w tym względzie swobodę wyboru. Z możliwości wyjścia z konspiracji skorzystało około 10-15 jego podkomendnych. Ujawnił się cały patrol Zygmunta Libery „Babinicza” i kilku podkomendnych Walentego Waśkowicza „Strzały”. Niemal niezmienny stan osobowy zachował jedynie patrol „Wiktor”, złożony głównie z byłych żołnierzy NSZ-NZW (z całej dziesięcioosobowej grupy ujawnił się tylko jeden partyzant).

Tuż po amnestii, wiosną 1947 r., oddział „Uskoka” liczył 16 żołnierzy. Był podzielony na dwa patrole: „Wiktor” (w sile 1+8) i „Strzały” (1+4). Grupę sztabową tworzyli „Uskok” oraz „Babinicz” (jako szef sztabu oddziału). Z rozkazu mjr. „Zapory” w czerwcu 1947 r. do oddziału dołączyła grupa Józefa Franczaka „Lalka” (w sile 1+3), tworząc tym samym trzeci patrol. Jednakże, wskutek strat ponoszonych w walkach z KBW, UB, MO stan liczbowy grupy „Uskoka” nigdy nie przekroczył wspomnianej liczby 16 ludzi. W związku z przedłużającą się rekonwalescencją, Broński zrezygnował z dowodzenia oddziałem w polu. Z do-

wódcami patroli spotykał się jedynie co kilka tygodni na umówionych koncentracjach, co znacznie utrudniało możliwość kontroli poczynąń podkomendnych. Ci, zyskali dużą samodzielność i większość decyzji odnośnie działań własnych grup podejmowali osobiście. Każdy z pododdziałów operował w wyznaczonym rejonie. Patrol „Wiktor” działał na pograniczu powiatów lubelskiego, lubartowskiego, chełmskiego i włodawskiego.

Pomimo ogromnej przewagi resortu w terenie, patrol Kuchciewicza prowadził wiosną 1947 r. bardzo aktywne działania, które nie ograniczały się wyłącznie do samoobrony. Spośród ważniejszych akcji przeprowadzonych w tym okresie należy wymienić: spalenie Urzędu Gminy i opanowanie posterunku MO w Cycowie 18 IV 1947 r., opanowanie, wspólnie z patrolem „Strzały”, miasteczka Łęczna w dn. 22 IV 1947 r. (zdemolowano Urząd Pocztowy, przeprowadzono akcje ekspropriacyjne w Spółdzielni Spożywców i w Ośrodku Kultury Rolnej, spalono mosty na rzekach Świnka i Wieprz).

W okresie poamnestyjnym pododdział „Wiktor” przeprowadził dwie głośne akcje, które przez lata stanowiły „pożywkę” dla komunistycznej propagandy i do dzisiaj budzą bardzo wiele kontrowersji, nierzadko dzieląc lokalną społeczność. Dlatego też należy opisać je nieco bardziej szczegółowo.

Pierwsza z nich miała miejsce 1 V 1947 r., kiedy to patrole „Strzały” i „Wiktor” zabiły w okolicach Sernik, pow. Lubartów, siedmiu członków ZWM (z których czterech należało również do ORMO), gdy ci powracali z pochodu pierwszomajowego w Lubartowie. Nie wiadomo, jakie intencje przyświecały partyzantom organizującym zasadzkę. Data jej przeprowadzenia może sugerować, że mogła ona mieć charakter typowo propagandowy, zamanifestowany, np. wymierzeniem kary chłosty członkom ZWM lub ORMO. Analiza materiałów archiwalnych pozwala stwierdzić, że partyzanci, przebywający na skraju lasu sernickiego, zatrzymywali osoby powracające z Lubartowa, odprowadzając je w głąb lasu. Tam „Wiktor” i jego podkomendni legitymowali wymienionych, po czym kazali im zajmować pozycję siedzącą, trzymając ich pod bronią. W pewnym momencie na skraju lasu pojawiła się grupa członków ZWM i ORMO, z których jeden - nie zdając sobie zapewne sprawy z obecności partyzantów - oddał strzał „na wiwat”. W odpowiedzi żołnierze „Uskoka” otworzyli ogień do nadchodzącej grupy. Wśród osób przetrzymywanych wewnątrz lasu wybuchła panika i większość z nich rzuciła się do ucieczki. „Wiktor” przystąpił wówczas do rozstrzeliwania części z zatrzymanych (protokoły oględzin zwłok wskazują, że rozstrzelano

cztery osoby). Nie wiadomo jednak czy na ich los miało wpływ zachowanie nadchodzącej grupy, czy też Kuchciewicz zdecydował już wcześniej o ich likwidacji, po uprzednim sprawdzeniu dokumentów.



Pomnik w Sernikach poświęcony pamięci członków ZWM i ORMO, zlikwidowanych przez patrole „Strzały” i „Wiktor” w dn. 1 V 1947 r.

Drugą akcją była pacyfikacja wsi Puchaczów w lipcu 1947 r. Jej inicjatorem był „Wiktor”. Bezpośrednim powodem tej operacji była likwidacja przez grupę operacyjną UB-KBW w dn. 26 VI 1947 r. w Turowoli, pow. Lublin, trzech ludzi z patrolu Kuchciewicza. „Wiktor” przeprowadził konspiracyjne śledztwo. Dzięki swoim wywiadowcom ustalił dane personalne osoby odpowiadającej za wydanie miejsca pobytu partyzantów (był nią członek PPR z Brzezina, Władysław Augustynowicz). Mimo wskazania bezpośredniego sprawcy tragedii, „Wiktor” podjął brzemienną w skutki decyzję o przeprowadzeniu akcji odwetowej na szeroką skalę. Jej celem miała paść osada Puchaczów, uważana podówczas za tzw. Moskwę. Kuchciewicz zlecił Feliksowi Demkowskiemu, swojemu wywiadowcy z tej miejscowości, przygotowanie listy ludzi, którzy mieli szkodzić oddziałom leśnym. Ten, według tylko sobie znanego klucza, wytypował około 20 osób przeznaczonych do likwidacji - głównie członków PPR (i przedwojennej KPP), lecz także krewnych członków partii i aparatu bezpieczeństwa. O swoich zamierzeniach „Wiktor” nie powiadomił „Uskoka”. Nie mając odpowiedniej liczby ludzi do przeprowadzenia takiej operacji (jego patrol stopniał do stanu 1+5), zwrócił się o pomoc do dowódców grup zbrojnych operujących na sąsied-

nich terenach: Józefa Struga „Ordon” i Edwarda Taraszkiewicza „Żelaznego”. Na miejscu koncentracji, w lesie albertowskim wydzielono cztery grupy likwidacyjne, które miały przeprowadzać egzekucje w wyznaczonych rejonach Puchaczowa i pobliskich Brzezina. Akcję przeprowadzono w nocy z 2 na 3 VII 1947 r. W jej wyniku zginęło 21 osób, a co najmniej trzy kolejne zostały ciężko ranne (dwie z nich zmarły). Spośród zabitych osób 10 należało do PPR (co najmniej dwie osoby były wcześniej członkami KPP i KZMP). Rozstrzelano 10 mężczyzn i 12 kobiet. Dodatkowo, w wyniku rażenia odłamkami granatu, śmiertelne rany odniosła siedmioletnia dziewczynka. Zabrano również towar ze sklepów należących do zabitych, obrabowano miejscową spółdzielnię, zdemolowano urząd pocztowy, a na koniec spalono most na rzece Świnie.

Z zeznań zatrzymanych partyzantów wynika, że „Wiktor” osobiście przeprowadzał egzekucje (miał rozstrzelać sześć osób), podobnie jak dowódcy pozostałych grup („Ordon”, „Żelazny” i Eugeniusz Lis „Bystry” - zastępca „Wiktor”). Można założyć, że w przypadku działań grup „Wiktor” i „Bystrego” wielką rolę odgrywał czynnik emocjonalny. W Turowoli zginęli ich towarzysze broni (m.in. poległy Stanisław Lis „Korzeń” był rodzonym bratem „Bystrego”), a w grupie dominowały nastroje odwetowe. Chyba tylko tym należy tłumaczyć momentami brutalne i zupełnie nieprzemyślane zachowania, towarzyszące działalności obu grup (bicie i poniżanie kobiet - krewnych rozstrzelanych; wrzucenie granatów do budynku mieszkalnego jednego z członków PPR, bez liczenia się z przypadkowymi ofiarami). W przypadku sekcji „Ordon” i „Żelaznego” nie można doszukać się elementów zbędnego okrucieństwa.



Narada dowódców patroli oddziału „Uskoka” (1947 lub 1948 r.). Od lewej: Stanisław Kuchciewicz „Wiktor” (+ 10 II 1953 r.), prawdopodobnie Julian Kowalczyk „Cichy” - członek patrolu „Strzały” (+ X lub XI 1948 r.), Józef Franczak „Lalek” (+ 21 X 1963 r.), Walenty Waśkowicz „Strzała” (+ 1 IV 1949 r.).

Zazwyczaj po zatrzymaniu podejrzanego i weryfikacji personaliów w oparciu o posiadane listy, następowała egzekucja, połączona niekiedy z rabunkiem mienia w domu ofiary. W przypadku „Żelaznego” egzekucji towarzyszyła dodatkowo „przemowa”, wyjaśniająca motywy postępowania partyzantów.

Oceniając działalność „Wiktora” wypada podkreślić, że dopuścił się jawnej niesubordynacji, a decyzja podjęcia akcji odwetowej na tak szeroką skalę była nieuzasadniona. Warto jednak zaznaczyć, że Kuchciewicz, opierając się na danych dostarczonych przez Feliksa Demkowskiego, miał zapewne świadomość, że likwiduje tylko i wyłącznie rzeczywistych przeciwników oddziałów leśnych.

Kilka dni po akcji „Wiktor” został zdegradowany przez mjr. „Zaporę”, zachował jednak dowództwo nad patrolem. Wydaje się, że przełożony potraktował całą sprawę wyjątkowo łagodnie. Można przypuszczać, że gdyby pacyfikacja miała miejsce przed okresem amnestyjnym, Kuchciewicz zostałby rozstrzelany za samowolę.

Jesienią 1947 r. „Wiktor” znacznie ograniczył swój udział w działaniach podległej mu grupy, biorąc na siebie ciężar zadań związanych z wywiadem w terenie. W tym okresie większość akcji przeprowadzała sekcja w składzie: Eugeniusz Lis „Bystry” - Zygmunt Łopong „Wiarus”, a dowódca dołączał do nich sporadycznie. Działalność patrolu zakończyła się w 1948 r. „Wiktor” zwolnił z oddziału dwóch żołnierzy (wspomnianego „Wiarusa” i Zygmunta Grabskiego „Pomiana”), jeden zginął w niewyjaśnionych okolicznościach (NN „Sowa”), a jego ostatni podkomendny i jednocześnie zastępca - plut. „Bystry” - został aresztowany 19 XI 1948 r. (skazany na karę śmierci i stracony 23 IX 1949 r.).

W tym okresie „Wiktor” melinował się przeważnie samodzielnie, często też przebywał przy „Uskoku”. Jesienią 1948 r. został mianowany szefem sztabu oddziału, w miejsce Zygmunta Libery „Babinicza”. Sam „Uskok” zazwyczaj przebywał w bunkrze wybudowanym późnym latem 1947 r. w stodole Mieczysława Lisowskiego, mieszkająca Dąbrówka koło Łęcznej. We wrześniu 1948 r. Kuchciewicz nawiązał ponowny kontakt z „Żelaznym”. Ten ostatni został ciężko ranny w dn. 28 XI 1948 r. w starciu z żołnierzami KBW w Olszowie, pow. Włodawa, gdy zmierzał na spotkanie z „Wiktorem”. Kuchciewicz przyprowadził rannego na kwaterę „Uskoka” w Dąbrówce. Kontuzjowany „Żelazny” spędził całą zimę z 1948 na 1949 r. w bunkrze razem z „Uskokiem” i „Babiniczem”. Przez pewien czas ukrywał się z nimi również „Wiktor”.

W nocy z 2 na 3 IV 1949 r. „Uskok”, „Wiktor” i „Żelazny” zostali otoczeni przez grupę operacyjną UB-MO-KBW na kwaterze u Władysława Zarzyckiego w Kol. Łuszczów, pow. Lublin. Partyzanci w brawurowym stylu wydostali się z domu i przedarli przez linie obławy (zginął jeden funkcjonariusz UB i jeden - MO). Warto jednak zaznaczyć, że gdyby akcję przeprowadzono profesjonalnie, zapewne żaden z dowódców nie wyszedłby z niej żywy. Późniejsze dochodzenie, prowadzone przez funkcjonariuszy MBP w Warszawie, wykazało szereg niedociągnięć, opieszałość, a nawet tchórzostwo oficerów i żołnierzy uczestniczących w obławie.

19 IV 1949 r. „Wiktor” i „Żelazny” opuścili na stałe bunkier w Dąbrówce i udali się na teren pow. włodawskiego. Miesiąc później, 19 V 1949 r. funkcjonariusze PUBP w Lubartowie, wsparci przez żołnierzy KBW, aresztowali Zygmunta Libere „Babinicza”. Ten, poddany okrutnym, wielogodzinnym torturom, wydał miejsce pobytu swojego dowódcy. Wieczorem, 20 maja, 140-osobowa grupa operacyjna UB-KBW otoczyła zabudowania Lisowskich w Dąbrówce. W beznadziejnej sytuacji, aby nie zostać wziętym żywcem, rankiem 21 V 1949 r. „Uskok” popełnił samobójstwo, detonując granat.

Na początku maja 1949 r. „Wiktor” i „Żelazny” dołączyli do grupy partyzantów Taraszkiewicza ukrywających się w lesie parczewskim. Przez kilka tygodni chodzili wszyscy razem. Jednak już latem, na skutek nieporozumień między obu dowódcami, oddział został podzielony na dwie grupy. Do „Wiktora” dołączyli: Bronisław Wojciechowski „Leszek”, Ignacy Zalewski „Zygmunt”, Władysław Korzeniewski „Fredek”, Roman Hordejuk „Witek” i „Stefan” (NN), tworząc tym samym samodzielny oddział. Kuchciewicz nie przebywał stale przy swojej grupie. Partyzanci często ukrywali się sami, a dowódca dołączał do nich na czas akcji - głównie o charakterze zaopatrzeniowym. Sam „Wiktor” prowadził w tym okresie bardzo ruchliwy tryb życia, zmieniał często kwatery, przeprowadzał wywiad. Skład jego grupy ulegał wielokrotnym zmianom. 19 X 1949 r. w starciu z KBW koło Pieszowoli poległo trzech partyzantów „Wiktora” („Fredek”, „Witek”, „Stefan”). W międzyczasie do Kuchciewicza dołączył Mieczysław Lisowski „Chazaj” (właściciel gospodarstwa, w obrębie którego zlokalizowany był bunkier „Uskoka”), a wiosną 1950 r. - Karol Mielniczuk „Wacek” i Zygmunt Pielach „Felek”, dotychczasowi podkomendni „Żelaznego”. Mielniczuk pełnił od tej pory funkcję zastępcy dowódcy grupy.

Latem 1950 r. „Wiktor” przekazał komendę „Wackowi”, a sam, wraz z „Felkiem”, podjął próbę



Zbigniew Pielach
„Kmicic”, „Felek”
(1927-1955)
- żołnierz oddziałów
„Jastrzębia”,
„Żelaznego”
i „Wiktora”.

wyjazdu na Zachód. Wyprawa zakończyła się fiaskiem ze względu na chorobę Pielacha. Po kilku tygodniach obaj dołączyli z powrotem do oddziału przebywającego w lasach parcowskich. Tuż po powrocie z nieudanej eskapady na Zachód, 1 IX 1950 r., „Wiktor” prawdopodobnie wraz z Józefem Franczakiem „Lalkiem”, rozstrzelał w Wólce Nowej, pow. Lubartów, Franciszka Kasperka - byłego żołnierza „Uskoka” (ps. „Hardy”), informatora PUBP w Lubartowie (ps. „Janek”), człowieka odpowiedzialnego za aresztowanie „Babinicza”, a w konsekwencji - śmierć Brońskiego.

16 X 1950 r. grupa „Wiktora” przeprowadziła brawurową akcję na instytucje państwowe w Sawinie, pow. Chełm (dokonano „eksów” w Gminnej Kasie Spółdzielczej, w budynku Gromadzkiej Rady Narodowej, opanowano posterunek MO, raniono dwóch funkcjonariuszy MO, pobito kilku milicjantów i członków ORMO). Niedługo potem grupa rozdzieliła się. Partyzanci rozeszli się pojedynczo lub po dwóch, na zimowe kwatery. „Wiktor” wraz z Lisowskim ukrywali się w okolicach Łęcznej. Dopiero latem 1951 r. skontaktowali się z pozostałymi członkami oddziału. Ci z kolei, dowodzeni pod nieobecność „Wiktora” przez Karola Mielniczuka „Wacka”, przeprowadzili w tym okresie kilka akcji o charakterze aprowizacyjnym. Starli się również dwukrotnie z grupami operacyjnymi UB-KBW (w czasie jednego ze starć, 21 III 1951 r., poległ Ignacy Zalewski „Zygmunt”). W maju 1951 r. dołączył do oddziału Jan Łuć „Zenek”, dezterter z LWP.

W sierpniu 1951 r. „Wiktor”, „Felek” i „Zenek” udali się na teren pow. krasnostawskiego. Po drodze dołączył do nich Józef Franczak „Lalek”. 24 VIII 1951 r. trójka partyzantów (bez „Wiktora”) wkroczyła do Kol. Pasów, pobiła, a następnie rozstrzelała Franciszka Drygałę, członka PZPR. Po wykonaniu egzekucji, partyzanci podpaliili jego dom i zbudowania gospodarcze. Był to odwet za wydanie przez niego w ręce UB dwóch żołnierzy z patrolu „Strzały” w marcu 1949 r.

Jesienią 1951 r. grupa „Wiktora” poniosła kolejne straty. 11 IX 1951 r. w Kol. Zamołodycze, pow. Włodawa, w starciu z grupą operacyjną UB-KBW polegli „Wacek” i „Leszek”, a 27 X 1951 r. został aresztowany Mieczysław Lisowski (został skazany na 12 lat, więzienie opuścił w 1958 r.). Jesienią 1951 r. działalność już tylko trzyosobowej grupy została wyhamowana. Zimą z 1951 na 1952 r. partyzanci przetrwali na zaufanych kwaterach. Przez niemal cały kolejny rok „Wiktor” melinował się samodzielnie, dopiero jesienią skontaktował się z „Felkiem” i „Zenkiem”. Partyzanci znajdowali się w bardzo trudnej sytuacji materialnej, a cały ciężar ich utrzymania spadał na gospodarzy udzielających im pomocy. „Wiktor” zezwolił wówczas obu podkomendnym na prowadzenie samodzielnych działań. W efekcie, jesienią 1952 r. obaj partyzanci przeprowadzili kilka akcji o charakterze zaopatrzeniowym (w Chmielowie, w Lubiczynie i w Parczewie). Część zdobytych pieniędzy i materiałów przekazali później „Wiktorowi”.

4 I 1953 r. Kuchciewicz zastrzelił w Jedlance Starej Władysława Krawczyka, referenta terenowego PUBP we Włodawie, gdy ten próbował go wylegitymować. Po tej nieplanowanej akcji, „Wiktor” nawiązał ponowny kontakt z Pielachem. Obaj udali się na teren pow. lubelskiego. Partyzanci kwatrowali w wioskach u zaufanych meliniarzy. W lutym skończyły im się środki na utrzymanie, w związku z czym „Wiktor” zdecydował się na uderzenie na Gminną Kasę Spółdzielczą w Piaskach. Kuchciewicz skontaktował się z Franczakiem, który przystał na propozycję wzięcia udziału w akcji.

Wieczorem 10 II 1953 r. „Wiktor” i „Felek”, przebrani za parę wiejskich gospodarzy, weszli do wnętrza budynku GKS w Piaskach. Ich działania ubezpieczał od strony cmentarza „Lalek”. Tuż przed zakończeniem pracy urzędu partyzanci sterroryzowali bronią pracowników, po czym Pielach przystąpił do opróżniania kasy pancernej z gotówki. Po kilku minutach w budynku pojawiła się grupa funkcjonariuszy MO z posterunku w Piaskach, zaalarmowana przez pracowników GKS. W poczekalni doszło do strzelaniny, w wyniku której sierż. Tadeusz Stojek (komendant posterunku) śmiertelnie ranił „Wiktora”. Niemal w tym samym czasie Pielach lub Kuchciewicz, oddali celne strzały w kierunku wymienionego, zabijając go na miejscu. „Wiktor” zdążył jeszcze wydać polecenie „Felkowi”, by ten się wycofał, po czym stracił przytomność. Zmarł na korytarzu Gminnej Kasy Spółdzielczej, kilka minut po otrzymaniu postrzału. Przy zwłokach zabitego znaleziono liczne przedmioty osobiste, łącznie ze szczoteczką do zębów. Ciało „Wiktora” przewieziono do więzienia na Zamku w Lublinie, gdzie zwłoki identyfikowali, sprowadzeni przez



Fotografia pośmiertna „Wiktora” wykonana najprawdopodobniej na terenie więzienia na Zamku w Lublinie w lutym 1953 r.

UB, rodzice, brat i znajomi. Przeprowadzono również oględziny lekarskie, które jako przyczynę śmierci denata wykazały wykrwawienie się z rany postrzałowej płuc.

Miejsce pochówku Stanisława Kuchciewicza pozostaje nieznane.

Rodziny nie założył.

Ostatni żołnierz „Wiktora”, Zbigniew Pielach „Felek” i Jan Łuć „Zenek”, pozostawali na wolności jeszcze przez kilka miesięcy. Obaj zostali aresztowani 14 XII 1953 r. w wyniku kombinacji operacyjnej realizowanej przez WUBP w Lublinie, polegającej na „umożliwieniu” im wyjazdu na Zachód. 30 IV 1955 r. WSR w Lublinie skazał Zbigniewa Pielacha na karę śmierci, którą Najwyższy Sąd Wojskowy zamienił na dożywocie. Ciężko chory, zmarł w Szpitalu Psychiatrycznym we Wrocławiu w dn. 25 X 1955 r., z powodu ropnego zapalenia miedniczek nerkowych i pęcherza moczowego. Jan Łuć otrzymał wyrok 15 lat więzienia. Został zwolniony w 1960 r.

Józef Franczak „Lalek” ukrywał się jeszcze 10 lat. Zginął 21 X 1963 r. w Majdanie Kozic Górnych, koło Piask, w starciu z grupą operacyjną złożoną z 35 funkcjonariuszy SB-ZOMO.

Artur Piekarz

Leszek Janeczek

Akcja AB w Krasnymstawie - zapomniana rocznica

Po zakończeniu działań wojennych w 1939 roku, na zajętych przez Niemców terenach, ustanowiono nowy podział administracyjny. Ziemie zachodnie i północne Rzeczypospolitej włączone zostały bezpośrednio do Trzeciej Rzeszy. Wschodnie tereny państwa polskiego zajęli Sowieci, zgodnie z paktem Ribbentrop-Mołotow. Z terenów środkowej i wschodniej Polski utworzono 26.10.1939 roku Generalne Gubernatorstwo. Powiat krasnostawski, pozostawał - wg nowej nomenklatury - w dystrykcie lubelskim, jednym z czterech, obok warszawskiego, radomskiego i krakowskiego. Początkowo te cztery województwa tworzyły nowe niby-państwo, ze stolicą w Krakowie. Na jego czele, zwanego w skrócie GG, stał gubernator Hans Frank, urzędujący na Wawelu. Był on szefem rządu Generalnej Guberni, podległym bezpośrednio Hitlerowi. Frankowi podlegali z kolei bezpośredniej gubernatorowie dystryktów, i to do nich kierowane były rozkazy i dyrektywy wykonawcze rządzącego tym obszarem.



Funkcjonariusz SS Oberscharführer Hugo Raschendorfer podczas procesu

Jednym z pierwszych posunięć nowych władców, była słynna Sonderaktion Krakau, w dniu 6 listopada 1939 roku, a więc w drugim tygodniu od powstania GG. Podstępem zwabiono wówczas profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod pretekstem wykładu niemieckiego pseudo-naukowca, po czym niczego nie podejrzewających luminarzy nauki polskiej aresztowano. Wszystkich wysłano do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, gdzie wielu z nich zginęło. Był to

początek akcji metodycznego zniszczenia polskiej inteligencji, jako warstwy społecznej uznanej przez Niemców za główne zagrożenie dla ich panowania na podbitym przez siebie terenie. W ocenie hitlerowców, ta grupa ludzi była zdolna do pokierowania resztą społeczeństwa w walce o wyzwolenie narodu. Okupant niemiecki, chcąc zapewnić sobie spokój na zajętych niedawno obszarach, oceniając naród polski jako skory do powstań, zastosował swoiste działanie prewencyjne, które nazwał *Ausserordentliche Befriedungsaktion*, co można przetłumaczyć jako „nadzwyczajna akcja pacyfikacyjna”. W Polsce, w skrócie nazywano ją akcją AB. Zresztą w Zakopanem w 1939 roku doszło do spotkania niemiecko-radzieckiego, gdzie powzięto zamiar zniszczenia polskiej inteligencji po obu stronach stref okupacyjnych na obszarze dawnej Polski. W dystrykcie lubelskim, pierwsza taka akcja miała miejsce w Lublinie, w ramach której rozstrzelano 23 grudnia 1939 roku, przy cmentarzu żydowskim, kilkunastu najwybitniejszych osób aparatu państwowego, działaczy społecznych, duchownych. Nowa fala akcji AB nastąpiła wiosną 1940 roku. W dniu 30 maja na Wawelu odbyło się spotkanie Hansa Franka z gubernatorami dystryktów, gdzie przekazano wytyczne i rozkazy aresztowania najwybitniejszych przedstawicieli polskiej inteligencji, a więc potencjalnie najbardziej niebezpiecznych ludzi zagrażających, jak to określano w niemieckiej nomenklaturze, „niemieckiemu dziełu odbudowy na wschodzie”. W Lublinie te aresztowania miały miejsce w połowie czerwca. Wielce zastanawiający jest fakt, że w Chełmie, powiecie krasnostawskim i samym Krasnymstawie, miało to miejsce w niecały tydzień od wizyty lubelskiego gubernatora Zörnera w Krakowie. Dnia 4 czerwca 1940 chełmskie gestapo aresztowało w Chełmie kilkunastu mężczyzn i 3 kobiety. Osadzono ich w więzieniu. Najprawdopodobniej ci sami funkcjonariusze tajnej policji państwowej, dokonali aresztowań w Krasnymstawie następnego dnia, 5 czerwca 1940. Przemawiają za tym fakty - to, że odbyło się to na drugi dzień, i przyjazd funkcjonariuszy z Chełma. Wiadomym jest brak w tym czasie w Krasnymstawie komórki gestapo. Przyjechali z Chełma bardzo wcześnie rano. Prawdopodobnie pierwsze kroki skierowali do kierownika Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych w Krasnymstawie, Edwarda Bieńkowskiego. Rodzina spała jeszcze, kiedy usłyszano gwałtowne stukanie do drzwi, około godziny 5 rano. Działo się to w budynku dzisiejszej poczty, na drugim piętrze. Po otwarciu drzwi, gestapowiec, trzymając w ręku kartkę wyczytał

nazwisko Bieńkowski. Na te słowa z innego pokoju odezwał się syn kierownika, student Jerzy Bieńkowski: - Ale który Bieńkowski? Gestapowcy może przez chwilę się zmytygowali, gdyż nie mieli zapisanego imienia. Pokazali nawet kartkę. Działo się to wszystko spokojnie. Rozwiązanie znaleźli po krótkiej chwili, kiedy się zawahali i jakby nie wiedzieli co zrobić. Zabrali obu. Matka i żona była niemieckiego pochodzenia, ale jak porażona osunęła się, kucając na podłodze. Mogła powiedzieć coś w obronie, nawet po niemiecku, ale nie była w stanie. Ten moment będzie jej ciążył później całe życie. Zimnej krwi nie straciła córka aresztowanego Edwarda, Irena Komorowska. Wyszła do gestapowców z kilkumiesięcznym chłopcem na ręku i śmiało występując naprzód powiedziała: - To też mężczyzna! Niemcy trochę się skonfundowali, i jeden z nich po czesku powiedział: Ale on nie mówi.

Wiadomo, że adwokata Pawła Wisza, mieszkającego naprzeciw więzienia, na ulicy Poniatowskiego, przemianowanej w czasie okupacji na Targową, pędzono rano, podobno w białym. Przed wojną był on w mieście prezesem Ligi Kolonialnej i Morskiej. Podobnie rano aresztowano Jana Ruska, sekretarza sejmiku. Mieszkał on w budynku gminy Krasnostaw, na ulicy Czerwonego Krzyża. Aresztujących nie było zbyt wielu. Nie wszystkich zabierano w tym samym momencie. U przedwojennego zawodowego wojskowego, chorążego Karola Szczotka zjawiono się rano. Jako wojskowy, mógł być podejrzany. W początkach okupacji trudnił się on wyrobem mydła, w ewidencji ludności występował jako kupiec. Jeździł z synem Jackiem po okolicznych gminach, rzekomo skupując surowiec do produkcji. Była to prawdopodobnie przykrywką do działalności konspiracyjnej. Temu zapewne należy „zawdzięczać” rewizję wykonywaną z agresywną wściekłością. Zaglądano za plecy obrazów. Przeglądano różne papiery. Rozerwano pamiętnik pisany w czasach walk w Drugiej Brygadzie Legionów Józefa Piłsudskiego. Szczotka i Roman Jagielski byli dwoma przedwojennymi kadrowymi podoficerami Drugiego Baonu Telegraficznego stacjonującego w Krasnymstawie, aresztowanymi w 1940 roku. Pozostałych wojskowych krasnostawskich pozostawiono w spokoju. Decydowały zapewne jakieś podejrzenia, czy dobre rozeznanie w sytuacji. Z tą różnicą, że Jagielski znalazł się w więzieniu na Zamku w Lublinie. Nie jest znana dokładna data aresztowania.

Na ulicy Sikorskiego, wtedy zwanej Zadworze, Niemcy zjawili się, gdy nauczyciel Michał Niewidziało wybierał się do pracy. Ostatnie noce spędzał poza domem, ukrywał się, tej właśnie,

wyjątkowo został w domu. Zorientował się w zagrożeniu. Salwował się ucieczką nad Kawenkę. Jednak droga od strony rzeki była już odcięta. Stał tam esesman, przyprowadził nauczyciela do domu. Gestapowiec wszedł, i chcąc zapytać córeczkę Wiesię o nazwisko, rzekł: Czy tu Widziałnic? - Niewidiajło - poprawiła żona. - Ja, ja Niewidiajło - poprawił Niemiec czeskiego pochodzenia. Ojciec chciał pożegnać dzieci, jeden z Niemców nie pozwolił. Na to starszy stopniem podszedł do szóstki dzieci i kolejno kładł swoją dłoń na ich główkach, mówiąc, że „też ma tyle Kinder”. Ten pozwolił. W korytarzu domu znajdował się mały ołtarzyk. Cała rodzina uklękała i modlono się wspólnie. Ojciec pożegnał każde ze swoich dzieci, najmłodszy - bliźnięta, chłopcy. Michał Niewidiajło był obrońcą Lwowa z 1918 roku. Po powrocie z wojny 1939 roku, na pewno rozpoczął pracę konspiracyjną, domyślać się należy, że był to ZWZ. Spotykał się nad rzeczką z pewnym krasnostawskim nauczycielem, aby być z dala od rodziny. Ten drugi nie został aresztowany, na niego padł też cień podejrzenia. Może niesłusznie.

Do posta i wielkiego społecznika Wincentego Kociuby gestapowcy przyszli w godzinach przedpołudniowych, lecz go nie zastali w domu. Na mieście ostrzeżono go o najściu Niemców jego domu. On czuł się niewinny i wrócił do siebie. Wtedy Niemcy zjawili się po raz drugi, sprawdzili personalia i zabrali. Wójta gminy Krasnystaw Michała Wiśniewskiego, mieszkającego w Małochwieju Małym wezwano do gminy. Przysłano prawdopodobnie dorożkę. W samym mieście aresztowano jeszcze czterech mężczyzn: Wacława Piwowarskiego, Feliksa Pawłowskiego - intendenta szpitala, Tadeusza Kowalewskiego i komornika sądowego Stanisława Wilczkiewicza. Nie



Michał Niewidiajło z rodziną

wyczerpuje to jednak listy aresztowanych w powiecie krasnostawskim. W Łopienniku zatrzymano Feliksa Kaczorowskiego, aptekarza. Pytano o Alfonsa Maksymowicza, niegdyś kie-

rownika szkoły w Łopienniku Górnym, walczącego na Syberii po stronie białych w czasie rewolucji, ostatnio przewodniczącego Strzelca. Maksymowicz nie żył jednak już od dwóch lat. W powiecie aresztowano ziemian. W Pilaszkowicach - Leona Epszteina, w Woli Żółkiewskiej - dwóch braci Józefa i Kazimierza Janisławskich. Ponadto na liście ofiar znaleźć można Pawła Gutowskiego i Stanisława Huskowskiego. Aresztowanie ziemian miało miejsce prawdopodobnie w dniu 4 czerwca 1940 lub nawet wcześniej. Aresztowanych w Krasnymstawie umieszczano w miejscowym więzieniu. Tego samego dnia dużym samochodem ciężarowym przetransportowano ich do więzienia w Chełmie. W czasie wyjazdu z bramy więziennej, oczekiwały rodziny zatrzymanych i wrzucały na samochód paczki z niezbędnymi rzeczami. Pobyt w Chełmie trwał niecały miesiąc. Można było wysłać paczki, przyjmowano je i oddawano więźniom. Niewidiajłowa w brudnej bieliźnie męża znalazła gryps. W Chełmie odbył się jakiś sąd nad zatrzymanymi. Oni sami znali jego postanowienie. Po miesiącu nie chciano przyjąć paczki od rodziny dla zatrzymanego, nic też nie wyjaśniono. Dawano do zrozumienia, że zatrzymanych nie ma już w więzieniu. W Krasnymstawie sprawa wyjaśniła się w połowie lipca za sprawą pisma urzędowego skierowanego do magistratu. W piśmie tym polecono wykreślić z ewidencji wymienione w dokumencie osoby, mieszkańców miasta. Urzędniczka Paulina Pawłowska przyjmująca pismo, omal nie zemdląła. Na liście widniało nazwisko jej brata - Feliksa Pawłowskiego. Do rodzin nie przysłano oficjalnego zawiadomienia o zgonie, jak to czyniono z Oświęcimia. Egzekucji dokonano 3 i 4 lipca 1940 roku, lub z 3 na 4 lipca, pod Chełmem, w miejscu zwanym Kumowa Dolina. Znajdowały się tam doły po wybraniu piasku. Zostały one wykorzystane jako groby. Ofiary zostały rozstrzelane w nocy lub nad ranem. Ręce miały związane. W Lublinie odbywało się to przy świetle reflektorów. Zginął tam Roman Jagielski z Krasnegostawu, sierżant Wojska Polskiego, z Drugiego Baonu Telegraficznego. Był osadzony na Zamku Lubelskim, zdołał przysłać stamtąd gryps pożegnalny. Z powiatu krasnostawskiego, wśród ofiar akcji AB wymienić należy inżyniera Zygmunta Paulewicza, kierownika klinkierni w Izbicy oraz leśnika z Krasniczyzna Józefa Czechowskiego. Do klinkierni w Izbicy przyszło dwóch żandarmów z tłumaczem Janem Schulzem. Pytali o dyrektora zjednoczenia Piotra Bellerta. Nie zastano go, był służbowo w Zamościu. Syn dyrektora, Jerzy pojechał rowerem do Zamościa ostrzec ojca. Ze sobą zabrano kierownika zakładu w Izbicy inżyniera Paulewicza. Są informacje mówiące o jego śmierci w Borku koło Krasnegostawu. Po pewnym czasie

granatowy policjant z Izbicy powiadomił Bellerta, aby się więcej nie obawiał. Nie będzie już aresztowań, gdyż ich limit został wykonany.

Prawdopodobnie w 1944 roku Niemcy, chcąc zatrzeć ślady swoich zbrodni, dokonywali wydobywania ciał z grobów celem ich spalania. Niedopalone kości zostały zmielone w specjalnym młynie.

Interesującą kwestią pozostaje kiedy i dzięki czyjej pomocy sporządzono listy proskrypcyjne, typujące przyszłe ofiary. Po terenie powiatu, kilka tygodni wcześniej pewien osobnik podający się za członka nielegalnej organizacji niepodległościowej, odwiedzał dwory ziemiańskie w celu pozyskania pieniędzy na organizację. W rodzinie Epsztajnow skoniarzono ze sobą te dwa fakty. Nauczyciel konferujący z Niewidziałą, zmarł w kilka dni po wkroczeniu Rosjan do Krasnegostawu w 1944 roku. Ci, którzy go podejrzewali o zdradę, teraz byli przekonani, że to w obawie nadchodzącej kary, umarł ze strachu. Poza domysłami, może nawet niesłusznymi, niczego się więcej w tej sprawie nie dowiedziano. Przykład kierownika szkoły Maksymowicza wskazuje na to, że znalezienie się na liście, mogło mieć miejsce co najmniej 2 lata przed wojną. Sprawcy tych czynów pozostają nieznani. Choć w Krasnymstawie typuje się kilka osób do roli niemieckich szpiegów przybyłych do miasta kilka lat przed wojną. Poseł Wincenty Kociuba został w maju 1940 roku ostrzeżony, że jest na liście do aresztowania. Początkowo ukrywał się około tygodnia, później przestał. Wiedząc już o wizycie Niemców, uznał za sprawę honorową wyzwanie im na przeciw.

Na miejscu egzekucji znajduje się granitowy pomnik, z wrytymi nazwiskami ofiar pochodzących z Chełma i Krasnegostawu. Na tak zwanej górze chełmskiej, w wieży dzwonnicy, znajdują się tablice z umieszczonymi nazwiskami rozstrzelanych. Widnieje tam 18 nazwisk z powiatu krasnostawskiego. W bazylice „na górze” odbywały się 2 razy w roku spotkania pozostałych po rozstrzelanych rodzin. Było to 3 lipca i 2 listopada każdego roku. Pomimo dość dużej liczby takich spotkań, nigdy nie zebrano informacji o szczegółach tej akcji, samym fakcie aresztowania itd. Zostały one utracone raczej bezpowrotnie.

Jedno z nazwisk wykonawców tej zbrodni jest dobrze znane. To SS Oberscharfuehrer Hugo Raschendorfer, funkcjonariusz gestapo w Chełmie. Sądzony był w Monachium w 1968 roku. Zabił około 200 osób, przyznawał się do kilku zabójstw, jako muszący wykonać rozkaz. Ferowane wyroki były symboliczne. W Chełmie za denuncjatora uważano polskiego obywatela, niedawnego ucznia gimnazjum w Chełmie Teofila Lindnera. Pochodził z rodziny dawnych osadników niemieckich z Kamienia. Wyjechał z Niemcami i ślad po nim za-

ginał. Kto w Krasnymstawie denuncjował Niemcom, czy sporządzał listy, pozostanie chyba na zawsze tajemnicą.

Wydaje się, że w Krasnymstawie należałoby uczcić te prominentne ofiary, najprawdopodobniej pierwszych konspiratorów na naszym terenie, tablicą pamiątkową. Aby oddać im, zapomnianym należy hold i zachować te nazwiska dla potomnych.

Z miasta Krasnegostawu zginęli:



Edward
Bieńkowski

Edward Bieńkowski lat 47, ur. 3.10.1893 r. w Ruszkowym Młynie koło Płocka, syn Mateusza i Weroniki. W Krasnymstawie od 1935 jako kierownik, inspektor Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych. Piłsudczyk. We wrześniu 1939, po ewakuacji urzędu starościńskiego na wschód, ze starostą Eugeniuszem Olejniczakowskim na czele, władze wojskowe powierzyły mu funkcję starosty krasnostawskiego. Był również członkiem samorządnie zorganizowanej straży obywatelskiej w mieście. Żonaty, dwoje dzieci.



Jerzy Bieńkowski

Jerzy Witold Bieńkowski lat 24, student. Urodzony 7.10.1916 we Włocławku. Syn Edwarda i Marii z domu Korpusińska. Student matematyki Uniwersytetu Warszawskiego (3 lata studiów). Walczył w wojnie obronnej 1939 roku.

Wincenty
Kociuba

Wincenty Kociuba lat 46, ur. 30.03.1894 r. w Krasnymstawie, syn Wojciecha i Zofii. Żona Agnieszka z Zadragów. Uczestnik walk o niepodległość Polski, poseł na sejm w latach 1930-1938, prezes Zarządu Spółdzielni „Rolnik” w Krasnymstawie, prezes Kasy Komunalnej, prezes Okręgowego Związku Stowarzyszeń Spożywców, członek Zarządu Banku Spółdzielczego, członek Lubelskiej Izby Rolniczej, długoletni członek Sejmiku Powiatowego, Wydziału i Rady Miasta, Organizator wielu inicjatyw społecznych na terenie miasta. Jeden z najbardziej zasłużonych społeczników w dziejach miasta. W roku 1938 przez prezydenta RP zaliczony w poczet Kawalerów Orderu Odrodzenia Polski. Prowadził gospodarstwo rolne, mieszkał na ulicy Kilińskiego 6. Pozostawił żonę i czworo dzieci. Na cmentarzu w Krasnymstawie znajduje się jego grób symboliczny.

Tadeusz Kowalewski lat 40, ur. 14.10.1899 r. w Warszawie. Inżynier drogowy, pracownik starostwa powiatowego w Krasnymstawie, żona Maria, córka Jolanta. Mieszkał na ulicy Cichej 3. Żona z córką wyjechały do Warszawy.



Michał Niewidziajło

Michał Niewidziajło lat 41. Nauczyciel. Ur. 21.11.1898 r. w Stryjówce k. Zbaraża, syn Szymona i Magdaleny. Żona Janina z domu Greber,

sześćcioro dzieci. Obrońca Lwowa w 1918 roku. W Krasnymstawie od 1926 roku. Uczył w szkole powszechnej na Zakręciu, jak wówczas nazywano tę część miasta, już wtedy jak i dzisiaj znajdowała się ona na ulicy Szkolnej. Brał udział w wojnie obronnej 1939. Po powrocie z wojny, rozpoczął pracę konspiracyjną. Jego brat Szymon zginął na Syberii wywieziony po 1941 przez Rosjan. Inny brat Franciszek w szeregach Wojska Polskiego doszedł do Kołobrzegu, i on był tym, który wrzucił pierścień do morza na znak zaślubin Polski z morzem, w marcu 1945 roku.

Feliks
Pawłowski

Feliks Pawłowski lat 51, ur. 13.09.1889 roku w Zbereżni Bychawskiej, syn Antoniego i Marii. Żona Eugenia z domu Mezer, synowie Zygmunt i Zdzisław. Pracownik szpitala w Krasnymstawie na stanowisku intendenta. Mieszkał w Krasnymstawie, ulica Rynek 8 (pl. 3 Maja). Obaj jego synowie zostali aresztowani przez gestapo w 1942 roku. Jeden z nich przeżył Oświęcim. Na cmentarzu w Krasnymstawie - mogiła symboliczna na grobie syna Zdzisława, który zginął od bomby radzieckiej w dn. 22.07.1944 r.

Wacław Piwowarski lat 50, ur. 16.09.1890 w Sanoku. Pracownik starostwa powiatowego krasnostawskiego, referatu bezpieczeństwa. Pozostawił żonę i córkę. Zamieszkały w Krasnymstawie, ulica Główna 7.



Jan Rusek

Jan Rusek lat 45, ur. 13.06.1895 r., sekretarz „sejmiku” w Krasnymstawie lub sekretarz gminy

Krasnystaw. Mieszkał w budynku gminy, na ulicy Czerwonego Krzyża (dziś PCK). Żonaty, miał córkę Danutę.



Karol Szczotka

Karol Szczotka lat 45, ur. 29.01.1895 r. w Ciężynie k. Żywca, jako syn Tomasza i Anny z domu Romankiewicz. Legionista, żołnierz II Brygady Legionów, chorąży Wojska Polskiego, zawodowy wojskowy, ostatnie lata pracował w Drugim Baonie Telegraficznym w Krasnymstawie. Po upadku kraju zajmował się kupiectwem. Miał żonę i dwoje dzieci. Mieszkał w Krasnymstawie na ulicy Poniatowskiego 23.

Stanisław Wilczkiewicz lat 52, ur. 8.05.1888 r. w Krasnymstawie, syn Józefa i Zofii. Żona Oktawia z domu Radecka (po śmierci rodziców wychowywał ją pisarz Bolesław Prus i jego małżonka Oktawia). Pozostawił żonę i córkę Jadwigę. Piłsudczyk, oficer rezerwy. W Krasnymstawie pracował jako komornik sądowy. Mieszkał na ulicy Poniatowskiego 13. Na cmentarzu w Krasnymstawie na grobie żony - symboliczna tablica jemu poświęcona.



Paweł Wisz

Paweł Wisz lat 56, adwokat, ur. 24.01.1884 w Głogowie Małopolskim, jako syn Mikołaja i Tekli. Był burmistrzem Głogowa Młp. Żona Stanisława, z domu Kulikowska, dzieci własnych nie posiadali, wychowywali dwoje osieroconych z rodziny. Zamieszkały w Krasnymstawie, ul. Poniatowskiego 18.



Michał Wiśniewski

Michał Wiśniewski lat 44, ur. 25.08.1896 r. w Małochwieju, syn Jana i Marianny. Wójt gminy Krasnystaw. Aktywny działacz społeczny i polityczny. Żołnierz walk o niepodległość Polski. Wielokrotnie wymieniany w książce Franciszka Żurka *Powiat krasnostawski w walce o wolność*. Mieszkał w Małochwieju Małym. Miał żonę i dzieci.

Roman Jagielski lat 40, ur. w 1900 r. w Zamościu. Sierżant Wojska Polskiego, zawodowy wojskowy, podoficer II Baonu Telegraficznego w Krasnymstawie. Aresztowany w ramach akcji AB i osadzony na Zamku w Lublinie. Rozstrzelany 29.06.1940 w Lublinie, na Rurach Jezuickich w masowej egzekucji. Miał żonę, dwóch synów i córkę. Syn Zbigniew zginął w obozie Mauthausen w 1942 roku.

Józef Czechowski lat 40, leśnik. Mieszkał w Kraśniczynie. Rozstrzelany w Kumowej Dolinie 10.06.1940 roku.

W egzekucji 3 lipca 1940 roku z powiatu krasnostawskiego zginęli:

Leon Epsztein, ziemianin i właściciel dóbr Pilaszkowice. Odbił studia rolnicze za granicą, prawdopodobnie w Wiedniu. Miał żonę i dwóch synów.

Paweł Gutowski, ziemianin. Posiadał majątek w Krasnem koło Rejowca Fabrycznego.

Stanisław Huskowski, ziemianin. Mieszkał w Czernięcinie koło Turobina.

Józef Janiślawski, lat ok. 50, ziemianin, posiadał majątek ziemski w Średniej Wsi, koło Żółkiewki.

Kazimierz Janiślawski, lat ok. 60, ziemianin, właściciel majątku Wola Żółkiewska. Brat Józefa.

Feliks Filip Kaczorowski, lat 45, magister farmacji, ur. 26.05.1895 r. w Warszawie, syn Antoniego i Pauliny. Właściciel apteki w Łopienniku. Żona Anna, farmaceutka. Miał dwoje dzieci. Syn Bohdan zginął jako żołnierz AK w 1944 roku pod Ujazdowem.

Zygmunt Paulewicz lat 41, inżynier, kierownik państwowej klinkiery w Izbicy, współtwórca sukcesów sportowych drużyny piłkarskiej w Izbicy. Pozostawił żonę i syna.

Po zakończeniu działań wojennych 1939 roku, następował okres nowej organizacji społecznej, za sprawą niemieckich zarządzeń, restrykcji, ograniczania praw Żydom, wreszcie napływu osób wysiedlonych z zachodnich terenów Polski. Życie zdawało się przybierać dość znośne formy, pomimo wielu problemów. Akcja wymierzona w inteligencję jest pierwszą, która pokazała nowe oblicze okupanta i niespodziewanie pozbawiła życia tylu najwybitniejszych przedstawicieli krasnostawskiego społeczeństwa. Była początkiem ciemnej okupacyjnej nocy, trwającej 5 lat. Aresztowanie tych pierwszych męczenników, było w miarę spokojne, można powiedzieć, że w wielu przypadkach nawet kulturalne. Później nastąpiły czasy, kiedy było już tylko gorzej. Łapanki, palenie całych wsi, publiczne egzekucje, komory gazowe, zbiorowa odpowiedzialność, zagłada Żydów, niewolnictwo przymusowej pracy, obozy koncentracyjne, łamanie charakterów przyciąganiem do rasy panów, wymuszany surowym prawem zakaz okazywania pomocy Żydom i jeńcom sowieckim - wszystko to wypełniało codzienne życie lubelskich wsi i miasteczek. Pociągnęło tak wiele dalszych ofiar, że dramatyczny los tych pierwszych, został przygnieciony ciężarem nieszczęścia następnych.

Dzisiaj, po 70 latach nadszedł czas, aby przypomnieć nam współczesnym, ich daninę krwi. Nadszedł czas, aby w wolnej Polsce *imię żadnego z*

nich nie zostało zapomniane. To jesteśmy im winni. Pora już oddać im cześć, której nie doczekali się przez te 70 lat. Niech nasi starostowie, burmistrzowie, wójtowie mają tego świadomość, że oni, pierwsi wśród nas, są tymi, którzy to powinni zrobić. I niech nie oglądają się na akcje ogólnopolskie, które siłą zewnętrznego ciśnienia, swoistym trendem, żeby nie powiedzieć modą, wchodzą na nasz teren. Nie udawajmy, że to nas nie dotyczy, bo już przeszło. Bo przecież tak brakuje naszych, własnych inicjatyw, które powinny być oparte na znajomości lokalnej historii. Z licznych ofiar niemieckiego najeźdźcy, w Krasnymstawie upamiętniono tylko dwie osoby, nazywając ich imieniem ulice, jeszcze w głębokich latach 60. ubiegłego wieku. Inna sprawa, że dziś mało kto wie, które to ulice i kim byli ich patroni. Jakby wyparowali ze zbiorowej pamięci. A są to Helena Wysocka, krasnostawska nauczycielka zamordowana w Oświęcimiu oraz Jan Bieleśza pseudonim Montwiłł, rozstrzelany w Borku. Ogromna reszta pograżyła się w zapomnieniu. W naszym mieście nie ma nawet jednej tablicy upamiętniającej z imienia i nazwiska ofiary zbrodni, czy to niemieckich, czy sowieckich, jak jest to po okolicznych miejscowościach, dość wymienić Tarnogórę, Borowicę, nie wspominając o sztandarowych przykładach jak Skierbieszów czy Kazimierz Dolny. Krasnostaw w tym względzie pamięci, ma bardzo dużo do zrobienia, praktycznie wszystko. Oby nie zabrakło mu tylko mądrości mieszkańców oraz decyzji i hojności rządzących.

Przeszłość nie woła, niczego się nie domaga, nikogo nie wybiera. Przeszłość to historia. Historia jest wszak nauczycielką życia. A życia nie uczą w żadnej szkole.

Leszek Janeczek

Ryszard Liskowacki

Żywot wieczny

Dla Jana Bukowskiego cała ta opowieść nie ma już żadnego znaczenia. Ani go drugi raz do ziemi nie złoży, ani go z ziemi nie wykupi. A gdyby nawet wykupić mogła, to gdzie szukać Jana? Tyle po nim zostało, ile można o nim opowiedzieć. Dużo można. Mało można. Taki bowiem przywilej żywych, że sto razy mogą zmieniać życiorysy zmarłym, że mogą dopisywać i skreślać to, co już było na papierze. A jeszcze łatwiej dopisywać, skreślać, gdy na papierze ani jednego słowa, gdy wszystko tylko w pamięci. Tak właśnie jest z Janem. Żył jak wielu, umarł jak wielu, czyli pusto i głucho.

A zresztą pożegnał się ze światem akurat w tym momencie, gdy świat zamieniony został w wielki dom obłąkanych. Kto w domu obłąkanych myśli o spisywaniu życiorysów? Głupio, smutno i czasu na takie drobiazgi mało, bo wszystkim zadano na pamięć całkiem inną lekcję. Godziny policyjne i opaski z gwiazdą Dawida. Pacyfikacje i odpowiedzialność zbiorową. Getta i gazowe komory. Zugangi i himmels-kommanda. Aż strach myśleć, o czym musiano myśleć. Ale strach to nie kamień, który i w dzień, i w nocy tyle samo waży. Strach można ugłaskać i oszukać. Strach można opluć i można się do niego nie przyznać. Gorsza sprawa z głodem. Z nim nie tak łatwo. Zanim Jan to sprawdził, a sprawdził tak dokładnie, że dokładniej nie można,

wiedzieli już o tym Żydzi, którzy w życiorysie Jana odegrali rolę zasadniczą. Oto wloką się pociągi w kierunku Bełżca. Codziennie jeden judenzug z Lublina i jeden od strony Lwowa. Niby wszystko z planem i zgodnie z rozkładem jazdy, a przecież ktoś psuje porządek. Pociąg zatrzymuje się przed małą stacją albo na bocznicy, albo przed semaforem, który nie chce się zapalić na zielono. I wtedy Abraham Majzel, a może Natan Fajersztejn lub Mordechaj Lewin, ludzie zacni i mądrzy, znający prawo boskie i prawo człowiecze, kodeksy karne i wielką Księgę Zohar, Konstytucję i Pięcioksiąg Mojżesza, a co ważniejsze, znający także ten skrawek życia, gdzie najmądrzejsze prawo nie ma już żadnego prawa, więc ci ludzie mądrzy, którzy wiedzą przecież, że nie na Madagaskar, lecz do Bełżca toczy się ten zapłakany, rozmodlony judenzug, więc ci ludzie przepychają się w stronę zakratowanych okienek wagonu i krzyczą tak, że już strachu najmniejszego nie słyszą w ich głosach, tylko głód wielki słyszą: Hej, ludzie, ludzie, podejdźcie wy bliżej, dam złoty sygnet za bochenek chleba. A ja dam zegarek za trochę sucharów. Niemcy wzdłuż wagonów łażą, żeby nogi wyprostować po długiej podróży i jedni wrzeszczą: Maul halten - a drudzy się uśmiechają, jakby rozumieli sens prośby tych Natanów, Mordechajów, Abrahamów i patrząc w stronę zadratowanych kolczasto okienek, mówią dowcipnie: Guten Appetit. Teraz nie Abraham, lecz jakaś Fruma albo Rachelka jęknęła zawodząco i po swojemu: A szतिकе brojt! Po swojemu, bo już może nie do ludzi, bo tylko do siebie, do swojej nędzy i głodnej wyobraźni: Aj, aj, a szतिकе, a szतिकе brojt! Jak podejść do wagonów, gdy każdemu życie miłe? Podejść, to znaczy umrzeć wcześniej, niż umrze ten judenzug. Stoją. Stary mężczyzna próbuje trafić w okienko wagonu kromkami chleba sklejonymi marmoladą, ale chleb odbija się od desek, na których zostaje czerwona plama. Guten Appetit! Stoją ludzie, patrzą i słuchają. Niektórzy zaczynają płakać, a inni zaczynają się dziwić: Czy żołądek może pokonać głowę? Czy głód może połknąć strach? Czy oni, co w tych wagonach zamknięci, nie zdają sobie sprawy, że na śmierć ich wiozą? Jan Bukowski był jeszcze daleko od swego największego głodu. Nie mógł także widzieć wagonów jadących do Bełżca, bo gdy w Bełżcu zaczęto przyjmować wielkie transporty, Jan znalazł się już także po tamtej stronie drogi, po tamtej stronie bramy. Stał na okrągłym placu zamojskiej Rotundy i zastanawiał się, co będzie jutro, co będzie za kwadrans albo za minutę. Jan pamięta wojenny głód, ale pamięta także, że był to głód strachliwy, bez należytej godności. Krył się razem z Janem w płytkim dole, gdy nadlatywały niemieckie samoloty. Był co, a już się poddawał. Przez cztery dni

dokuczał Janowi jak wrzód żołądka, ogniem palił, skręcał kiszkę, lecz gdy piątego dnia przed okopem Jana pojawił się czołg z czarnym krzyżem, głód natychmiast zdezerterował, pozostawiając Bukowskiego, z którym już się przecież zaprzyjaźnił, na pastwę losu. Tyle więc można powiedzieć o Janie wkraczającym do zamojskiej Rotundy, że jego wiedza o głodzie jest bardzo ograniczona. Rok wcześniej do mieszkania Bukowskiego wsunął się chyłkiem lekarz ze Szczepieszyna, Leon Rozental. I gdy opowiadać zaczął, że w sierpniu zostały zamknięte wszystkie żydowskie sklepy, a od tej pory Żydzi, zepchnięci z wszystkich ulic na tak zwane zatyły, poczęli zdejmować czapki nie tylko przed policjantem i żandarmem, lecz także przed panem głodem, Bukowski słuchał uważnie, kiwał głową, że wszystko rozumie, ale jeszcze nie rozumiał wszystkiego. Zanim jednak Rozental odważył się na nielegalną podróż ze Szczepieszyna do Izbicy, w życiu Jana wydarzyło się kilka spraw, których nie można skwitować milczeniem, gdyż były one początkiem dramatu rozpisanego na sześć osób, na sześć głównych ról. Trzeba powiedzieć wszystko i trzeba zacząć od dnia, gdy podporucznik rezerwy Jan Bukowski, wracając szosą lubelską do domu, zatrzymał się na jedną noc u swojego starego, dobrego kolegi, Feliksa, który miał w Łopienniku aptekę. Bukowski był ranny w bitwie pod Łęczycą. Rana okazała się niezbyt groźna, ale pozbawiła Bukowskiego smaku zwycięstwa. Otrzymał ostatnią szansę, aby przez dwa-trzy dni iść do przodu. Pierwszy raz od początku września tylko do przodu, ale smagneło go ołowiem powyżej kolana, przewrócił się, został. I pojechał na chłopskiej furmance, wypełnionej rannymi, do tyłu. Może jedyna z tego pociecha, że ze szpitala łatwo się było później wymknąć Niemcom? Pyzata pielęgniarka przyniosła mu cywilne ubranie i szepnęła, że w piątek zjawić się ma w szpitalu komisja niemieckich lekarzy. No i w czwartek rano Bukowski, podpierając się laską, pomaszzerował na wschód. - A miałem taką szansę, żeby ich chociaż trochę pogonić. Rozumiesz? Moi chłopcy wzięli Łęczycę, narobili Niemcom tęgiego bigosu, ale już beze mnie... - mamrotał, trzymając szklanke napełnioną czystym spirytusem. W aptecce było ciemno, tylko z przyległego pokoju wsaçała się odrobina naftowego światła. - Wypij, bo to prawdziwe lekarstwo. I nie rozczulaj się nad sobą... - powiedział cicho Feliks, odstawiając pustą szklanke. Wyszli przed dom w samych koszulach, ale noc panowała gwiazdzista, bardzo chłodna, i aptekarz wrócił po marynarkę. Wiejska apteka znajdowała się tuż przy lubelskiej szosie. Bukowski oparł się o drewniany, niski płot i patrzył na tę szosę wyjątkowo jasną w księżycowym świetle, wspinającą się pod wysoką górę i ginącą aż tam,

przy czarnej ścianie lasu. Znał tę szosę jak swoje życie, setki razy jeździł tędy z Krasnegostawu, a później z Izbicy do Lublina, lecz teraz wydała mu się obca, nieprzystępna.

- Czy ta pusta, wymarta droga nie jest symbolem naszej klęski? - zapytał głośno, bo właśnie zobaczył aptekarza powracającego z marynarkami. - Człowieku, lekcja o symbolach skończona. Dajże sobie spokój, nie ma teraz czasu na egzaltację - prawie krzyknął Feliks, ale zaraz się uśmiechnął. Janowi nie zależało jednak na tym pojedynczym uśmiechu, nie chciał spokoju. Przez dziesięć dni, milcząc, maszerował przez Polskę, a teraz mógł wreszcie wykrzyczeć to wszystko, co się w nim przez te dziesięć dni spiętrzyło jak mętna, brudna woda. Tama pękła i Bukowski zaczął wołać trochę histerycznym głosem: - Koniec lekcji? Na symbole nie ma czasu? A na co jest dzisiaj czas? Wracam do domu i nie potrafię się z tego cieszyć. Uciekłem ze szpitala, żeby się uchronić przed jenieckim obozem, a teraz myślę, że może tam jest moje miejsce? Komu jesteśmy potrzebni? Komu tacy potrzebni, którzy wszystko przegrali? - Zrzucił z ramion marynarkę, patrzył na kolegę zaczepnie, prowokująco. - Nie wszystko... - powiedział nagle Feliks z takim spokojem, że chory podporucznik rezerwy odebrał ten spokój jak uderzenie w twarz. Zabolalo Jana, zapiekło, lecz milczał, ciosu nie oddał. Teraz dopiero uświadomił sobie, ile w nim chorej, nędznej bezradności. Kiedy to się zaczęło? Czy już wtedy, gdy po pierwszym nalocie nie mógł się doliczyć nawet połowy żywego plutonu? A może wtedy, gdy przygnieciony ciałem wykrwawionego kaprała jechał na chłopskim wozie i dziwił się, że taki jest ten finał, że skończył robotę żołnierską, chociaż tak naprawdę jeszcze jej nie zaczął? A może to przyszło później, w szpitalu, gdzie tak się o niego troszczono, jakby sobie rzeczywiście na tę ludzką wdzięczność zasłużył? - Pij, panie oficerze, bo tobie aż wargi popękały od gorączki... - stara kobieta przynosiła mu codziennie cierpki kompot z dzikich jabłek i przepraszała, że nic więcej nie może mu przynieść - bomba trachnęła w mój domek. Trochę garnków uratowałam i komodę, i pierzyneczkę, a kuchnię to wyrzucił mi sąsiad w ogródku, z cegieł, które się z domku posypały. No i jeszcze życie swoje uratowałam. Nie za kwaśny ten kompotik?

Położył się ciężkim, bo bezwładnym ciałem na płocie pochylonym, aż zatrzęszczały deski, i już bez protestu, bez uników przyjmował następne twarde ciosy kolegi. - Nie wszystko przegrane... - przemawiał Feliks jak do małego dziecka. - Ta wojna dopiero się zaczęła, i podporuczników rezerwy nikt jeszcze nie zwolnił do rezerwy. Zachód będzie walczył, bo już nie ma wyboru. Tak chytrzył w rozgrywkach z Hitlerem, aż przechytrzył. Tak sojuszników wystawiał do wiatru, że sam się tym wiatrem musi zachłysnąć. A ja wiem, co wiem.

Francja zacznie się solidnie bić, ale za Francję, Anglia za Anglię. Za twoją Izbicę, za mój Łopiennik, to już musimy sami. Nowość? Czy pigularz ma właśnie ciebie uczyć historii? - Bukowskiemu zrobiło się nagle bardzo zimno. Tak się poczuł, jakby go przed chwilą wyciągnięto z przerębla. Zsunął się powoli z płotu i sztywnymi palcami podniósł marynarkę. - Żle się czujesz? - zaniepokoił się aptekarz. - Już dobrze... - skłamał Jan i zaraz zamilkł, bo trzasnęło otwierane okno i ukazał się w nim mężczyzna w czarnym swetrze. - Co tam słychać? - pytanie skierowane było do aptekarza, a Janowi śmieszne się wydało. Co słychać? Co mogło się wydarzyć w małym, uśpionym Łopienniku? Kilka minut przed północą? - Wszystko w porządku. Pusto i cicho jak w niebie... - rzekł spokojnie Feliks. Ale właśnie w tej chwili na szosie zamigotały wątle reflektory samochodu jadącego od strony Zamościa. Samochód zjeżdżał z góry i być może kierowca wyłączył silnik, bo światło spływało w ciszy absolutnej. - Niech pan zamknie okno - powiedział Feliks rozkazującym głosem. Samochód oblizał reflektorami pierwsze, stojące najbliżej lasu chałupy. I teraz usłyszeli już warkot pracującego na wolnych obrotach silnika. Zaszczekały wiejskie kundle. Najpierw na podwórzach prawie przyklejonych do szosy, a po chwili cały Łopiennik, od dużego, strzelistego kościoła aż po niskie chałupki na mokrych łąkach, stał się wielkim psim ujadaniem. - Psia ich mać... - mruknął Bukowski, nie o psach myśląc. - Widzisz, nawet wiejskie psiaki są po naszej stronie... - podchwycił aptekarz i mocnym ruchem pociągnął Jana w bezpieczniejsze miejsce. Przytuleni do chłodnej ściany domu czekali w milczącym napięciu. Wojskowa ciężarówka jechała bardzo powoli, jakby siedzący na niej żołnierze chcieli udowodnić wszystkim, a może sobie najbardziej, że kto wygrał, ten czuje się bezpiecznie, a kto czuje się bezpiecznie, ten nie musi się spieszyć. - Bydlaki, jeżdżą jak po swoim podwórku... - powiedział Bukowski, uderzając pięścią w drewnianą ścianę. - Będą się jeszcze bać... - aptekarz wyciągnął z kieszeni papierosy, a później nerwowo szukał pudełka z zapalnikami - cholera, przecież miałem w kieszeni, no, miałem. Jeszcze tak będzie, że nawet tankietką nie pojawią się w nocy na tej szosie. Cholera, przecież miałem. Pierwszy raz od porannego spotkania Bukowski zobaczył u kolegi nerwowo, ludzki odruch. I odetchnął z prawdziwą ulgą, jakby dopiero teraz znalazł żywy kontakt z wcześniejszymi słowami aptekarza. Mądrymi i chłodnymi. Ogień jak lód. Tak pomyślał. Zaciągnęli się wreszcie głęboko ostrym tytoniowym dymem, a z okna znowu wychylił się mężczyzna w czarnym swetrze. - Chyba szwagier cię szuka... - odezwał się Jan. - Szwagier? Jaki tam on szwagier?

- aptekarz zgiął się od nagłego kaszlu, lecz gdy kaszel minął, znów włożył do ust papierosa - ludzie wiedzą, że szwagier, tobie bajtlować nie muszę. Ten niby-szwagier to major. Też przegrał, też przeżył szok, ale jemu było łatwiej niż tobie, bo to oficer zawodowy. Czy jutro też mu będzie łatwiej? Takiej wojny jeszcze nie było i niczego nie da się przewidzieć. - Co tam słyszeć? - zapytał mężczyzna, przechylając się przez parapet. - Przyjechali, pojechali, można spać... - odpowiedział już całkiem spokojnym głosem magister. Cztery stare Żydówki szły skrajem szosy, jedna za drugą jak gęsi, i lamentowały. Ta pierwsza niosła jarumkę mokrą, brudną, jakby z błota podniesioną. I lamentowała najgłośniej: - Dajcie, dajcie. Wist Samuel? - Ciszej, baby, sio, sio, do domu płakać - stanął im na drodze policjant Szymko - nie będzie zakłócania porządku. Ja dobrze radzę, żeby do domu. - I uciszyło się. Żydówki zniknęły między parterowymi drewniakami. Szymko poszedł na piwo. Teraz już Leon Rozental może wyskoczyć z bramy ciemnej, śmierzdzącej kiszoną kapustą i przejść ostatnie dwieście metrów, dzielące go od domu Jana. Chyłkiem wszedł do Izbicy i chyłkiem tę podróż zakończy. Nie, żeby się aż tak bardzo bał. Ale jeżeli ta podróż ze Szczeczeszyna ma w ogóle jakiś sens, najpierw trzeba spełnić pierwsze przykazanie. A takie jest pierwsze przykazanie, że nikt nie powinien wiedzieć ani widzieć, do których drzwi w Izbicy Leon Rozental zapuka. Chyłkiem. W kieszeni ma białą opaskę z żółtą gwiazdą sześcioramienną. Takie opaski sprzedawali w szczeczeszyńskim magistracie po złotówce za sztukę. - Nic za darmo... - powiedział bez złośliwości, a nawet ze służbowym uśmiechem burmistrz, który zetknął się w korytarzu z Rozentalem. Rozental zamknął właśnie drzwi wiodące do pokoju, gdzie ten handel się odbywał, i trzymając w garści trzy opaski, przyglądał się, bo było na co patrzeć. - Nic za darmo... - powiedział burmistrz. - Trzy złote, czy to jest teraz jakiś pieniądź? - uśmiechnął się Rozental. Uśmiech za uśmiech. Słowo za słowo. Opaska prawie darmo. Bukowski słuchał uważnie, głową przytakiwał, że wszystko rozumie, ale nie rozumiał wszystkiego. Zamknęli się w ostatnim pokoju. Szepty. Przez drzwi, przez matowe szkło, docierały teraz do Witolda tylko te słowa, które Rozental wypowiadał w większym podnieceniu. - Bo to taka robaczywa Święta Trójca, sędzia, adwokat i prokurator w jednej osobie. Prokurator woła: wykończyć żydowskie ściwo. Adwokat prosi: łaskawie ich wykończyć. Sędzia orzeka: wzięliśmy pod uwagę argumenty obu stron. Wykończymy. Łaskawie. Po katolicku. Zrobią, co będą chcieli, a oni chcą nam zabrać nie tylko życie. Chcą i godność, i ludzką twarz Żydom zabrać. Wszystko. W ubiegłym roku,

w połowie listopada, huk nas obudził. Huknęło, jakby się duża bomba rozerwała. Ja do okna lecę, a za oknem już czerwono. Zaraz wrzask, rwetes się zrobił, myśleliśmy, że to synagoga się pali, ale paliło się kilka domów żydowskich przy synagodze. Teraz słuchaj. Żydowskie domy się spaliły, a rano zaczął mnie znajomy urzędnik z magistratu i wziął mnie na bok, i mówi: panie Rozental, niech żona i córka nie wychodzą dzisiaj z domu, bo żandarmi zemstę szykują. - Jaką zemstę, za co zemstę? - ja do tego urzędnika. - Za ten pożar, który był w nocy, szykują. Już specjalną plotkę puścili na miasto, że Żydzi chcieli cały Szczeczeszyn spalić - ten urzędnik do mnie. Och, masz pierwszy z brzegu przykład. - Witold, wiadro puste... - woła Bukowska, otwierając drzwi. Twarz ma pięknie zaróżowioną, bo od godziny przy gorącym piecu się kręci. Pożyczyła jajka od Tomasiowej, tłukła miskami, brytfannami, jakby chciała strach zagłuszyć. Będzie specjalne ciasto dla Rozentala. Z mąki, mleka, jajek i ze szczypty strachu. - Boję się o was, boję się o ten dom - powiedziała w kuchni do męża, i Rozental tego nie słyszał - ty wiesz, co zrobili z Małeckim, który przywoził Żydom kartofle? Nie żądam ode mnie zbyt wiele. - Witold wziął dwa puste wiadra i wyszedł bez pośpiechu z rozgrzanej kuchni na zimne podwórze. Ciemno już było, zaczął padać drobniutki deszcz. A pompa nie na końcu świata, ale jednak na końcu podwórza, przy samej szopie, w której Witold trzyma króliki. Zastanowił się, czy nie dać jednego szynszyla Rozentalowi. Żywego to on nie weźmie, bo jak z żywym aż do Szczeczeszyna? A zabitego nie da, bo nie zabije. Wrócił z ciężkimi wiadrami do kuchni. - Witold, całe buty masz mokre, nie mogłeś uważać? Wytrzyj szmatą, przecież dzisiaj wszystkie podłogi pastowałam... - matka krzyczy, aby krzyczeć. Mówi o podłogach, a jej wzrok skierowany jest tam, gdzie przez szybę matową widać ruchliwą sylwetkę Rozentala. Leon Rozental chodzi od ściany do ściany. Cztery duże kroki i z powrotem. Cztery i jeszcze prędejsze. Cztery i już nie ma szeptu. - A ty byś poznał Sabinę? Czekaj, czekaj, to już cztery lata będzie, jak ty jej dałeś dwa puste wiadra z bajkami. I ona jeszcze dzisiaj czyta te bajki. Czy ty to rozumiesz? Czy teraz jest świat do bajek? Ty na mnie nie patrz jak na człowieka, który boi się swego przeznaczenia. U nas się mówiło: jeżeli ktoś rzeknie, że jesteś trupem, będziesz trupem. Teraz się nie mówi, teraz każdy w swoim milczeniu wie, że trup to tylko kwestia czasu. Dla mnie jutro, dla starego Bronszpigla pojutrze, albo odwrotnie. Wielka różnica? Ja się boję o moje kobiety. O Sabinę, o Dobę. Ty byś nie poznał Sabiny, ona się taka ładna zrobiła, jakby chciała nam ostatnie dni osłodzić. A co to za osłoda? Jak do ziemi, do czarnego piachu idzie człowiek stary, połamany chorobami, brzydki, to jest mniejszy żal. Ona się ta-

ka ładna zrobiła, jakby jej przeznaczone było życie, jakby jej nie było pisane, co nam jest pisane. Czy w moich słowach jest jakiś rozsądek? Czy ja mam jeszcze w głowie wszystkie klepki? Wiem, że plotę wariactwa, i wiem, że mówię świętą prawdę.

Witold patrzy na oszklone drzwi i chce sobie przypomnieć Sabinę, lecz to, co pamięta sprzed czterech lat, jest tak rozmazane, mało ostre, że nie warto męczyć pamięci. Na drugi dzień rano Leon Rozental opuścił Izbicę, niosąc w ceratowej teczce tłuste ciasto, słoninę i oselkę masła, a w kieszeni opaskę z gwiazdą Dawida. Bukowski zachowywał się tak, jakby stracił nagle i słuch i mowę. Żona pytała o różne sprawy, aż wreszcie przestała pytać. Dopiero gdy Bukowski wyciągnął z szafy świąteczny garnitur, stanęła przy drzwiach wołając: - Nie powiesz, gdzie jedziesz, to cię nie puszcję. - Jadę do Łopiennika, postaram się wrócić na noc... - powiedział Jan cicho i na ścianę patrzył. - Tak nagle do Łopiennika? Czy to ma jakiś związek z Rozentalem? - chciała się czegoś więcej dowiedzieć, bo ta podróż wydała jej się dziwna, podejrzana. Jaką sprawę można mieć w Łopienniku, gdy w domu jest tyle ważnych spraw? - Puść, nie traktuj mnie jak Witolda... - wyszedł szybko, bo nic więcej nie miał do powiedzenia. Ani żonie, ani sobie. Zresztą nie tylko w tej chwili. Czy to ma związek z Rozentalem? Spał z Rozentalem w jednym pokoju. Nie spał. I Rozental też nie mógł zasnąć, przewracał się ciężko z boku na bok, wzdychał, pojękiwał, jakby z utęsknieniem czekał na wschód słońca. Wieczorna rozmowa nie została tak całkiem zakończona, mogli ją teraz zakończyć. Nie chcieli? Od wielu miesięcy Bukowski żył połową życia i już się zaczął do tego przyzwyczajać. Ale czy mógł odkryć te swoje małe karty przed Rozentalem, który grał przecież o najwyższą stawkę? Czy Rozental coś by z tego zrozumiał? Gdy na murach i płotach rozklejono obwieszczenia, że wszyscy oficerowie rezerwy muszą się zameldować w niemieckich urzędach, Bukowski postanowił to zignorować. Akurat spotkał znajomego adwokata z Zamościa, z którym przyjaźnił się od lat przedwojennych. Kiedyś spędzali wspólne wieczory w Kole Miłośników Książki, a gdy Jan przedziwnym trafem zdobył tomik wierszy Maurycego Gosławskiego, wydany w 1833 roku w Paryżu, gdy czytając wiersze zaczęli szukać historycznych odnośników, spierać się o fakty, odgrzebywać wielkie dzieje Zamościa i wielką tragedię ułana-poety, coś ich mocniej połączyło ze sobą. Chyba jednak nie wiersze Gosławskiego, lecz jego żywot gorzki, powikłany jak cała historia tej ziemi, na której Jan się urodził. Teraz nie o historii, o bardziej praktycznych sprawach. Adwokat Brzeski słucha i nagle zaczyna się śmiać: - Wreszcie mam klienta, pierwszego klienta od wybuchu wojny! - I tylko tyle było śmiechu, bo póź-

niej poszli na piwo do kulawego Staśka, rozmawiając szeptem jak spiskowcy. W knajpie brud, nieprzystupność i trochę bezpieczeństwa, chyba według zasady, że najciemniej pod latarnią. Jeszcze miesiąc temu ta knajpa należała do Żyda, a teraz dawny właściciel nie mógł nawet progów przekroczyć. Miesiąc to kawał czasu, przez trzydzieści dni można los całego kraju zmienić, a co dopiero los jednego Żyda i jednej zasmarkanej knajpy. Kulawy syn miejscowego policjanta kupił tę budę razem z krzesłami, bufetem i wyszczerbionymi kuflami za pięćset złotych. Zaczął swoje rządy od przybicia na drzwiach tabliczki: „To jest interes aryjski. Żydom się niesprzedaje”. - Panie aryjczyku, stuknij się pan tą tablicą w płaskie czoło... - powiedział mu zaraz pierwszego dnia siwy Dubiel, mieszkający tuż obok knajpy. - Czy to ja sam wymyśliłem, panie Dubiel? - zaczerwienił się kulawy Stasiek - jak mnie pozwolą, to ja mogę Mongołom, Żydom, Cyganom, to ja mogę całemu światu piwo w mordę wlewać, za przeproszeniem. - Adwokat Brzeski umoczył usta w piwie i znowu pochylił się w stronę Bukowskiego: - Jeżeli postawiłeś pierwszy krok, musisz postawić drugi. Musisz im teraz zejść z oczu. W tych swoich urzędowych papierkach, przy łucie szczęścia, oni mogą cię zupełnie zgubić, bo podobno taki bałagan w urzędach, że do końca wojny nie zdążą uporządkować wszystkiego. Ale ze szkoły musisz odejść, bo w szkole to jesteś jak ryba na talerzu. Zwiną cię przy byle okazji. Musisz. Szedł Bukowski wąską ścieżką, szedł w stronę apteki ścieżką błotnistą, snującą się obok szosy i tak się czuł, jak uczeń nieprzygotowany do ważnego egzaminu. Powtarzał w myślach to, co za chwilę aptekarzowi powinien powiedzieć: dałeś mi dobrą lekcję i nic mi z tej lekcji nie zostało. Znowu jestem bezradny, a taka mnie sprawa przygniotła, że ledwie oddycham pod jej ciężarem. Ani w lewo, ani w prawo nie mogę się ruszyć. Na boskie zmiłowanie szkoda czasu, bo wiem przynajmniej tyle, że własnymi rękami trzeba zrzucić ciężar. Czy ja boję się o własną skórę? Ten Rozental, który czeka na moją pomoc, też nie o siebie się martwi. Zrobiła się z tego przewrotna filozofia strachu. On się nie boi, ja też się nie boję, a wszystko, co teraz robimy albo powinniśmy zrobić, strachem jest kierowane. Wszystko żyje ze strachu i ze strachu umiera. Rozental mówi: pomyśl o Dobie i Sabinie, o moich kobietach. Ja sobie powtarzam: pomyśl o Irenie i Witoldzie, o swojej najbliższej rodzinie. On ma rację, ja mam rację, lecz z tych racji nic praktycznego nie wynika. Nie jestem już nauczycielem, pracuję w „Snopie”, często przebywam teraz w Zamościu i mam dobre papiery. Ale mogę przecież w każdej chwili zjawić się w moim izbickim domku, bo nie zarejestrowałem się jako oficer rezerwy. Przyjdą któregoś dnia, zrobią rewizję i wezmą wszystkich. Żonę Rozentala i jego

córkę. Moją żonę i mojego syna. W Izbicy rozkręca się żydowskie piekło. Nasz izbicki wódz, untersturmführer Kurt Engels, wyprzedza chyba wszystkie dyspozycje swoich wielkich wodzów. I do takiego piekła ściągać Dobę i Sabinę? Bardzo ważna jest dla mnie ta rozmowa z tobą, bo jeszcze nie powiedziałem Rozentalowi: NIE.

Apteka była zamknięta. Nacisnął klamkę, zapukał mocno w szybę, ale nikt nie otworzył i nawet nie wyjrzał przez okno. Okrążył dom, znowu stanął przed drzwiami apteki. - Do ciężkiej cholery, tam przecież musi ktoś być... - zawołał, a gdy twarz w stronę szosy odwrócił, zobaczył starego wieśniaka w szarej kapocie, w zniszczonych butach z cholewami. - Tam nikogo nie ma... - mruknął chłop, przypatrując się Bukowskiemu z nieufnością. - Jakże nikogo? Ani magistrą, ani jego żony? - zdziwił się Bukowski i podchodząc do chłopca, poczęstował go papierosem. - Pani magistrówna to ona gdzieś rano pojechała. Zakluczyła aptekę i pojechała... - głos starego był spokojny, beznamietny, ale w jego oczach paliła się czujność. - A pan Feliks? - krzyknął Jan i aż go zastanowiło, że jeszcze o niczym nie wie, a już tyle w nim nerwów. - Co mi tam do takich rzeczy, był pochwist, drzewo upadło, co ja więcej wiedzieć mogę... - chłop odchrząknął, splunął, rozdeptał plwocinę butem - tu, panie, krepa czarna, chociaż jej nie widać, a cygaretki dobra, oj dobra. - Człowieku, nie możesz się wyrażać jaśniej? Jaka krepa, jaki pochwist? Przyjechałem do swojego przyjaciela, dom na cztery spusty zamknięty, apteka zamknięta, a ty pieprzysz jakieś kawałki. Możeś ty w ogóle nie z Łopiennika? - Chłop zdjął czapkę, przyglądał kosmyki siwych włosów i znów czapkę na głowę włożył. Pomału to wszystko, pomalutku, jakby chciał mieć trochę czasu do namysłu. - To ja mogę zaprowadzić tam, gdzie mają dobre wywiadczenie o magistrze... - odezwał się cicho i poszedł, nie oglądając się, nie patrząc, czy Jan dotrzymuje mu kroku. Stał po kilku minutach przed chałupą niedawno wybieloną, czystą, ale ze starości wpadniętą aż po próg w ziemię i dopiero teraz sprawdził, czy Jan nie zagubił się gdzieś po drodze. - Tutaj trza wejść... - pokazał na chałupę - tutaj mają prawdę o magistrze. - Jaką prawdę? - zawołał Bukowski, ale chłop milczał. W milczeniu przekroczył szosę, zaciągając się ostatnim dymem z dobrej cygaretki. - W czerwcu go zahycłowali. Pod apteką stanęło auto i trzech weszło do apteki, i od razu cabas, w czerwcu wzięli pana magistrą. Jezusie, jaka trwoga poleciała po wszystkich chałupach, bo myślałem, że to na cały Łopiennik jakaś kara. Ale wzięli tylko jego. Mleka się pan napije? Krówka u nas jedna, ale zdrowa i mleczna. Zaczelim myśleć wtedy, co jest? Jedni zaraz z biedowaniem do księdza naszego, drudzy stłoczyli

się w chałupach i wszystkim tylko jedno w głowie, co zrobili z magistrzem? Była jeszcze odrobina nadziei, że potrzymają i puszcza. Coś po porządku trzeba sprawdzić, to sprawdzą, a potem magistrą przywiozą do domu. Za ileś tam dni, bo ja wiem, za ile, ktoś wiadomość przytargał, że magister w Chełmie posadzony. Teraz ja powiem, com prawie na własne oczy widział, bo przekazał mi rodzony brat, a oczy rodzzonego brata są niczym własne. Byłem u brata w Chełmie i on mi wszystko z detalami, chociaż z daleka, z ukrycia musiał tamto oglądać. Panie, czy oni są ludzie? Czy u nich jest kawałek sumienia? Czy każdego z nich rodzona matka wychowywała, rodzony ojciec, czy oni może wszyscy wśród wilków się wylęgli? Katowali oni strasznie naszego magistrą, bo gadali ci, co go widzieli po takich biciach, a przed śmiercią jeszcze. Bieluteńki on był, panie, i czarny on był. Bieluteńki od wykrwawienia, od opuchliny, a czarny od kijów, od żelastwa, od całej katorgi w chełmskim więzieniu. Mleko ciepłe, to pana rozgrzeje, bo telepie się pan niby w ciężkiej chorobie. Tam jest dół wielgachny, piasek stamtąd brali jeszcze w przedwojennych czasach. Brali i brali, aż dół się zrobił. Ludzie tam mówią, że to jest Kumowa Dolina, a teraz mówić należy, że to Śmiertelna Dolina. Tam ich, panie, przywieźli, może ze dwudziestu chłopca, nad ten dół. Zaczęli dziugać kolbami, aż ich wszystkich do głębokiego dołu, na samiuskie dno. I granatami w nich. Nie żadną kulką, tylko granatami w żywe ciała. Łubudu, łubudu, granat za granatem. Co im granatów szkodować, jak dla nich ludzka jucha to tyle warta, ile jucha psia. Teraz pan się napij, chociaż pan łykni. Dzieciaków u mnie troje, drobnica jeszcze, gdyby nie ta krowina, to nic, tylko palce ssać z głodu. Poczekali oni, aż piasek opadł po tych wybuchach i zaczęli się zbliżać do tego dołu. Każdy z blaszanym baniakiem i chlust, chlust z baniaków na poszarpane ciała. A może nie wszystkich poszarpało na śmierć? Ale nikt się już nie dowie, czy na trupy chlustali, czy także na żywych. Zapalili, bo to była nafta albo coś takiego, i ogień buchnął. I chłopcy, co w tym dole, w ogniu zaczęli się smażyć. Czarny dym się zrobił nad całą Kumową Doliną. I masz już, panie, wszystko. Taką przygotowali śmierć naszemu magistrowi. A mleka to pan nie wypił. Czy jak takie wygrają wojnę, to Pan Bóg będzie miał do kogo gadać? Czy sprawiedliwość to musi być aż w niebie? Bukowski wyszedł z chałupy z pochyloną głową i zanim się opamiętał, był już daleko za Łopiennikiem. Ale nie w stronę domu szedł. W stronę Lublina. Nie widział ani ludzi, ani wozów, ani mijanych drzew, ani błota pod nogami. Aż mu nagle oddechu zabrakło, jakby go ktoś dopadł z tyłu i zaczął dusić. Teraz dopiero stanął, oparł się o drzewo piorunem przecięte, poczuł żyły na policzkach i zrobiło mu się trochę lżej.

Mógł już wracać do Łopiennika. Przez dwie godziny czekał na podwórzu przy aptece. Miał nadzieję, że przed zmrokiem powróci żona aptekarza, że będą mogli porozmawiać o Feliksie i że sił im do takiej rozmowy wystarczy. Chłopi idący szosą czapki zdejmowali, kłaniali się Bukowskiemu, chociaż ich nie znał. A może kłaniali się tej aptece? Dwie

godziny. Zobaczył wóz jadący w stronę Krasnegostawu i wybiegł na szosę. - Dokąd pan jedzie?

Do domu... - odpowiedział chłop. - To ja też w tym kierunku... - Wskoczył na wóz, zapadając się w pachnące siano.

Ryszard Liskowacki

Józef Dąbski

Płk mgr Adolf Bednarski
03.05.1925 - 03.10.2007

Wspomnienie



Adolf Bednarski przed swoim domem w Kiekrzu k. Poznania po awansie na stopień pułkownika w stanie spoczynku w wolnej Polsce

Płk mgr Adolf Bednarski urodził się 3 maja 1925 roku na Kresach Rzeczypospolitej - na Wołyniu, w rodzinie osadnika wojskowego. Jego ojciec Szczepan, pochodzący z ziemi krasnostawskiej, był legionistą. Za czynny udział w walkach o niepodległość Polski otrzymał na własność, na początku lat 20., ponad 40 hektarów ziemi. Ciężką pracą i dzięki mądrym decyzjom we

wdrażaniu nowoczesnych metod agrotechnicznych, gospodarstwo rozwijało się i przynosiło zyski, co zapewniało dobre warunki życia i w przyszłości - możliwość kształcenia dzieci: najstarszego syna Adolfa, a następnie syna Witolda i córki Haliny. Adolf, po ukończeniu szkoły powszechnej, rozpoczął naukę w gimnazjum w Równem, jednakże jej nie ukończył. Wybuch wojny w 1939 roku zniweczył wszystkie plany. Po wkroczeniu wojsk sowieckich na Wołyń, rozpoczęły się represje rodzin polskich, a zwłaszcza rodzin osadniczych byłych wojskowych. Rodzice Adolfa podejmują trudną, lecz jedyną dla uratowania życia decyzję. Nocą, w niezwykle niebezpiecznych warunkach, opuszczają swoje gospodarstwo. Wracają w rodzinne strony Szczepana w powiecie krasnostawskim. Dla rodziny Bednarskich rozpoczyna się bardzo trudny okres. Rodzice Adolfa podejmują różne prace w rolnictwie, a nawet w handlu, aby zarobić na utrzymanie swoje i małoletniej córki Halinki, natomiast Adolf zatrzymuje się u krewnych Dąbskich w Suchym Lipiu, zaś Witold zostaje na gospodarstwie stryja Bednarskiego w Wierzbicy. Taki to ciężki los spotkał rodzinę i w takich okolicznościach kształtowały się charaktery Adolfa, Witolda i Halinki.

Adolf, osiągnąwszy wiek 17 lat, był dobrze zbudowanym chłopcem o przyjemnej aparycji, a dodając bardzo dobre cechy charakteru jak serdeczność, uczynność oraz życzliwość, stał się - mówiąc językiem dzisiejszym - idolem krewnych i przyjaciół, których grono bardzo się rozszerzało. Jednak Adolfowi los pisał znacznie trudniejszą i bardziej niebezpieczną drogę życia. Jesienią 1942 roku wstąpił do Armii Krajowej. Otrzymał przydział do Oddziału „Zręba”, później „Podkowy” działających na terenie powiatu krasnostawskiego i zamojskiego, a następnie 27. Dywizji Wołyńskiej AK. Był żołnierzem zdyscyplinowanym i bardzo odważnym. Zimą 1942 roku i tylko nocami uczęszczał do odległych o ponad 6 km wiosek (ze względów konspiracyjnych miejsca były zmieniane) na kurs podoficerski. Podczas tych zajęć pobierał nie tylko naukę teoretyczną, ale także praktyczną. Wykładowcami byli zakonspirowani oficerowie rezerwy pochodzący z tego terenu. Dobre przygo-

townie, a także szczęście dane od Boga pozwoliły mu przeżyć wiele niebezpiecznych akcji. Zawsze miał przy sobie ryngraf Pani Jasnogórskiej, który otrzymał od rodziców. Walczył z Niemcami w nierównych walkach m.in. pod Izbicą, w okolicach Białki k. Krasnegostawu, w uwolnieniu więźniów osadzonych w Krasnymstawie, a także brał udział w akcji „Burza” mającej za zadanie wyzwolenie kraju przez AK.

W lipcu 1944 roku ziemia krasnostawska została uwolniona spod okupacji niemieckiej, jednakże walki na Lubelszczyźnie toczyły się nadal. W miejscowości Romanówek k. Rudnika w pow. Krasnostaw miała miejsce akcja NKWD przeciwko grupie powstałej z ocalałych byłych żołnierzy 27. Dywizji Wołyńskiej i partyzantów AK, którzy nie złożyli broni. W brawurowym kontrataku udało się wielu AK-owcom, w tym Adolfowi, wydostać z okrażeń NKWD. W nowej, dramatycznej sytuacji powstał dla Adolfa dylemat „co dalej?”, czy godzić się na prześladowania ubeków, aresztowanie i wywóz do łagrów sowieckich? Nie. Adolf wybrał inną drogę. Wstąpił na ochotnika do Wojska Polskiego. Pod koniec września 1944 roku był już w szeregach 1 Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki i został skierowany na front. Uczestniczył w walkach pod Warszawą. Na przedpolach Jabłonny, podczas natarcia na umocnienia niemieckie został ranny w udo. Po krótkiej rekonwalescencji, powraca pod Krasnostaw do zapasowego szwadronu dywizji kawalerii. Stąd powołany został na kurs do II Frontowej Oficerskiej Szkoły Piechoty w Lublinie. W styczniu 1945 roku otrzymał awans na stopień podporucznika. Po promocji dostał krótki urlop na spotkanie z rodziną. Przyjechał z dwoma kolegami do rodziców mieszkających w tym czasie w Kuszabach i do krewnych Dąbskich w Suchym Lipiu, po czym wrócił na front. Ci dwaj koledzy zginęli podczas forsowania Odry. Adolf, w lutym 1945 roku w składzie plutonu zwiadu 3. Pułku Piechoty, uczestniczył w końcowej fazie bitwy na Wale Pomorskim m.in. o miasto Gryfice. Brał udział w walkach o Berlin nad kanałem Hohenzollernów, o kolejne ulice w dzielnicy Charlottenburg, stację metra i Tiergarten. Za odwagę i poświęcenie otrzymał Krzyż Walecznych oraz medale, w tym „Za Berlin”.

Po kapitulacji Niemiec, powrócił do kraju. Nie wrócił do cywila. Pozostał w czynnej służbie wojskowej. Został przydzielony do Garnizonu Biała Podlaska. Następnie skierowano go do pracy w komendzie powiatowej organizacji Służba Polsce w Nowym Tomyślu. Tu poznał swoją przyszłą żonę Alicję, córkę zasłużonego przedwojennego starosty Nowego Tomyśla - bohatera w utrwalaniu polskości w tym bardzo „z niemczonym” mieście, a którego po wojnie ubowcy zamordowali tylko za to,

że był przedwojennym starostą. Adolf kochał bardzo rodziców i rodzeństwo. Postarał się więc o zapewnienie im godnych warunków bytowania. Ponownie w swoim życiu stali się osadnikami na wsi Runowo k. Rogoźna w woj. wielkopolskim.

Będąc w wojsku, podnosił swoje kwalifikacje oficerskie na kursach specjalistycznych. Pełnił różne funkcje dowódcze m.in. na kursach oficerów rezerwy i w Technicznej Szkole Lotniczej w Oleśnicy. Tu, niestety, w czasie zajęć praktycznych uległ wypadkowi, co było powodem zmiany miejsca służby i rozpoczęcia pracy w sztabie Dowództwa Lotnictwa Operacyjnego w Poznaniu. W Poznaniu bowiem mieszkala żona Adolfa z kilkuletnim synem Wojciechem.

Po przyjeździe do Poznania wydawało się, że wreszcie bohater walk partyzanckich spod Warszawy, z Wału Pomorskiego, Odry i Berlina, osiągnął zasłużony spokój i szczęście rodzinne. Tak się nie stało. W sztabie Dowództwa Operacyjnego odpowiednie służby dopatrzyły się przeszłości AK-owskiej majora Adolfa Bednarskiego, zamiast awansu otrzymał skierowanie na emeryturę. Była to krzywdząca i bardzo bolesna decyzja dla człowieka, który kochał wojsko i poświęcił dla niego najpiękniejsze lata swego życia.

Pod koniec służby wojskowej, Adolf podjął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Po zakończeniu studiów i aplikacji, pracował jako radca prawny w przedsiębiorstwach rolnych Wielkopolski. W krótkim czasie stał się znanym i cenionym specjalistą w kwestiach sporów majątkowych - tak przedsiębiorstw rolnych, jak i gospodarstw indywidualnych. Był także skutecznym mediatorem dla zwaśnionych stron. Polubił ten drugi cywilny zawód tak bardzo, że poświęcał potrzebującym swój czas prywatny, a nierzadko nie pobierał należnych honorariów. W ten sposób zdobył szacunek i wdzięczność pracowników firm rolnych - spółdzielczych i prywatnych. Mimo, że był związany zawodowo z pracą w rolnictwie nie zerwał kontaktów z Wojskiem Polskim. Był członkiem Koła Oficerów Rezerwy w Poznaniu. Należał do grona założycieli Koła Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych im. Żwirki i Wigury przy DWLOT w Poznaniu. Wchodził w skład członków Zarządu Koła i jego Komisji Rewizyjnej. Udzielał się aktywnie w środowisku członków Armii Krajowej. Był prezesem Środowiskowego Koła „Knieja” i członkiem sądu koleżeńskigo na okręg poznański. Był także związany z organizacją byłych absolwentów II Frontowej Oficerskiej Szkoły Piechoty w Lublinie. Uczestniczył aktywnie w dorocznych zjazdach kolegów w Lublinie, często pełniąc funkcje sekretarza zjazdu.

Pomimo doznanych szykan ze strony dowództwa Wojskowych Służb Informacyjnych doczekał szczęśliwie osobistego zadośćuczynienia po zmianach ustrojowych 1989 roku. W wolnej już Polsce przywrócone zostały godność i honor żołnierza Armii Krajowej. Po wielu latach zostały

nadane Adolfowi stopnie wojskowe, najpierw podpułkownika, a następnie w 2006 roku - stopień pułkownika. Otrzymał także Krzyż Zasługi, Krzyż Partyzanta i Krzyż Armii Krajowej.

Niestety, w ostatnich latach następowało szybkie pogorszenie stanu zdrowia. Dały o sobie znać niedostatek okresu wojennego, trudy życia partyzanckiego, a przede wszystkim żołnierska poniewierka na froncie w latach 1944-1945. Mimo troskliwej opieki ze strony żony Alicji i specjalistów ze Szpitala Wojskowego w Poznaniu, w ostatnich tygodniach w sierpniu i wrześniu nastąpiło gwałtowne pogorszenia zdrowia. 3 października 2007 roku serce Adolfa - pułkownika Wojska Polskiego, magistra prawa i radcy prawnego przestało bić.

Pogrzeb odbył się w Poznaniu zgodnie z ceremoniałem wojskowym stosownie do rangi, jaką zmarły posiadał. W pogrzebie również brały udział poczty sztandarowe AK oraz licznie przybyła rodzina, przyjaciele i znajomi. Mszę św. odprawiało dwóch księży, w tym jeden zaprzyjaźniony z rodziną synowej.

W imieniu byłych oficerów wojskowych i zarazem kolegów z wojska pożegnał zmarłego oraz złożył kondolencje żonie, synowi z żoną, siostrze z rodziną oraz krewnym i przyjaciółom - pułkownik dr nauk historycznych, syn ziemi lubelskiej - Zygmunt Bulzacki.

Józef Dąbski

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Losy Lipków w Krasnymstawie

W okresie przedwojennym do Krasnegostawu sprowadzili się Lipkowie. Przybyli tutaj: rodzeństwo - Stanisława, Apolonia, Katarzyna i Kazimierz Lipko oraz ich mama - Agnieszka z domu Kasprzyk, po pierwszym mężu Błaszczak, po drugim mężu Lipko.

Przed południem, 22 lipca 1944 roku w kościele pw. św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie odbył się chrzest Wiesława Zygmunta Powązki, syna Mariana i Apolonii z Lipków. Chrzestnymi dziecka byli Kazimierz Lipko i Irena Powązka. Tego samego dnia po południu, jak informują księgi parafii św. Franciszka Ksawerego, do kancelarii przyszło dwóch mieszkańców Krasnegostawu - 34-letni Marian Powązka i jego krewny, trzy lata starszy Jan Kokradzki. W ich obecności odbył się ślub 19-letniego Kazimierza Lipko z młodszą o rok, urodzoną w Żółkiewce Kazimierą Hec. Pan Młody, jak zostało napisane w akcie ślubu - ślusarz, pochodził z innej części Lubelszczyzny, a do Krasnegostawu przywędrował za swoimi siostrami: Stanisławą i Apolonią (Stanisława była żoną Jana Kokradzkiego, Apolonia - Mariana Powązki). Rodzona ich siostra Katarzyna również mieszkała w Krasnymstawie. Podobnie jak one, Kazimierz zdecydował się założyć rodzinę w Krasnymstawie. Starszy, przyrodni brat rodzeństwa, Wojciech Błaszczak mieszkał wówczas w Bodaczowie, a jego młodszy brat - Antoni przebywał w ochronie dla dzieci w Radecznicy.

Kazimierz Lipko opowiada o wydarzeniach z 22 lipca 1944 roku: „kiedy przyszliśmy ochrzcić Wiesława, ksiądz właśnie się pakował”. Tego dnia



Krasnystaw. Zakład fotograficzny A. Zielińskiego. Na zdjęciu siostry Apolonia i Stanisława Lipko z małżonkami (krewnymi) Marianem Powązką i Janem Kokradzkim, lata 40. XX w.

ogłoszono manifest PKWN w Chełmie, a w stronę Krasnegostawu kierowała się Armia Czerwona. „Szybko, zaraz po chrzcinach musiała odbyć się nasza msza ślubna” - dodaje, serwując w swoim mieszkaniu w Słupsku herbatę w eleganckich, w kolorze palonej cegły filiżankach. „Ksiądz, zaraz po naszym ślubie wyjechał z Krasnegostawu. My na kilka tygodni przenieśliśmy się do Gorzkowa”.

Filiżanki, z których popijamy herbatę, znają pewnie niejedną historię. Kazimierz Lipko, kilka lat po przyjeździe do Słupska z Krasnegostawu na tzw. „Ziemie Obiecane”, otworzył ze swoją drugą małżonką, ciocią Rysią, restaurację. Podejmował wielu gości, „szczególnie wystawne były bankiety urządzane na sylwestra lub okolicznościowe przyjęcia dla ludzi kultury i polityki” - wspomina. „W

kolejnych latach otworzyliśmy jeszcze jedną restaurację - w Uście". Wiem, że w Słupsku zamieszkali też Kokradzcy, Powązkowie oraz rodzina Heców. Uważnie słucham, ale nie mam odwagi, aby zapytać o mamę wujka Kazika - Agnieszkę Kasprzyk.

Za oknem sierpniowe słońce i wieża jednej z najstarszych gotyckich świątyń na Pomorzu Zachodnim. Oglądamy fotografie. Te twarze znam, jest to rodzeństwo Kazimierza Lipko: siostry i przyrodni bracia Wojciech i Antoni Błaszczakowie. Ich wszystkich kojarzę z mojego albumu rodzinnego. Mój pradziadek - Wojciech Błaszczak był małowówny, ale lubił żartować. „Widelcem może i ładnie, ale czasem i spadnie” - mówił, zasiadając do posiłku, i brał łyżkę. Podobnie jak moja mama, lubił stawiać pasjanse. „Kiedys przyszła kobieta ze wsi i prosiła go, aby wywróżył jej z kart” - wspomina wnuczka Wojciecha - „Widział w tych kartach chyba śmierć jej męża, ale nie powiedział jej tego. Kazał iść”.

W rodzinie nie wspominało się o Agnieszce Kasprzyk - mamie Wojciecha i Antoniego Błaszczaków oraz Stanisławy, Apolonii, Katarzyny i Kazimierza Lipków. Wujek Kazik, nestor rodu, przywołuje obrazy z dzieciństwa, które są dla mnie śladem po praprababci.

Kazimierz Lipko urodził się w Bodaczowie w 1924 roku. Był najmłodszym spośród czworga rodzonego i dwojga przyrodniego rodzeństwa. Gdy był mały, mama zabierała go do sanktuarium św. Antoniego w Radecznicy. „Miałem problemy z nogami, a woda w Radecznicy uzdrawiała. Moja mama obmywała mi nogi w tej wodzie”.

Ból nóg i kości odczuwał często też pradziadek Wojciech Błaszczak, starszy od Kazimierza 19 lat. Mama wspomina, że pracował przy budowie cukrowni w Klemensowie - codziennie pokonywał ponad 5 kilometrów drogi do



Uczennice ochronki dla dzieci w Radecznicy, wśród nich Katarzyna Lipko, po 1917 roku.

pracy. Wieczorem, po powrocie do domu, jego druga żona Marysia zdejmowała mu obuwie i rozcierała zmęczone stopy.

„Przychodziliśmy do dziadka, a on miał dla nas zawsze słodkie iryski” - wspomina mama. Ale niewiele potrafi powiedzieć o swojej prababce - matce Wojciecha i Kazimierza. Córka Wojciecha Błaszczaka, która obecnie mieszka na Pomorzu opowiada, że dzieci Agnieszki Kasprzyk, Antek i Katarzyna, przed II wojną światową mieszkały w ochronce dla dzieci w Radecznicy. Schronisko sieroce pw. św. Antoniego w Radecznicy, podobnie jak inne tego typu placówki, powstało w 1917 roku, aby pomagać biednym, osieroconym lub pokrzywdzonym podczas pierwszej wojny dzieciom. Opiekę nad dziećmi prowadziły siostry Felicjanki, wspomagał je Zamojski Komitet Ratunkowy oraz ordynat Maurycy Zamoyski wraz z małżonką. Siostry opiekowały się ponad sześćdziesięcioma dziećmi w różnym wieku. W latach 30., wśród nich była Katarzyna Lipko i Antoni Błaszczak. Pod opiekę sióstr zostawiła tutaj dzieci Agnieszka Kasprzyk - z uwagi na ciężkie warunki matki-wdowy, wychowującej szóstkę dzieci. Z ksiąg meldunkowych Bodaczowa dowiaduję się podstawowych informacji o matce rodzeństwa Błaszczaków i Lipków, wszak jest to wiedza niezbędna do kontynuowania drzewa genealogicznego...

Krasnystaw. Zakład fotograficzny A. Zielińskiego. Wojciech Błaszczak z przyrodniymi siostrami Apolonią i Katarzyną Lipkami, koniec lat 30. XX wieku.



Agnieszka Kasprzyk urodziła się w 1890 roku, w Kamionce, miejscowości należącej do parafii Krzeszów nad Sanem. Nic nie wiem o jej pierwszym mężu, Błaszczaku, którego nazwisko nosił mój pradziadek Wojciech i jego brat Antoni.

Kolejny ślad o Agnieszce pochodzi z 1924 roku. Wówczas jest wymieniana jako mieszkanka Bodaczowa. W latach 20. na świat przychodzą siostry - Stanisława i Apolonia, a w 1924 roku - wujek Kazimierz. W kronikach zapisano, że Piotr Lipko, mąż Agnieszki Kasprzyk i ojciec jej dzieci, zmarł w styczniu 1924 roku - trzy miesiące przed narodzinami syna Kazimierza. Z akt wynika, że dopiero wówczas Agnieszka zdecydowała się ochrzcić trójkę młodszych dzieci. O przyczynach wydarzeń wspomina wujek Kazimierz Lipko oraz córka Wojciecha Błaszczaka - „był niewierzący” - mówią.

Gdzie zatem odnotowano akt jego zgonu? Kiedy i gdzie zmarła Agnieszka Kasprzyk? Jeśli w 1950 roku w Krasnymstawie - tak jak wspomina Kazimierz Lipko - dlaczego nie odnotowano jej zgonu w aktach parafialnych?

Wspomnieniem czasów młodości wujka Kazimierza są kolejne zdjęcia. Na części z nich widnieje pieczęć „Zakład Fotograficzny A. Zielińskiego w Krasnymstawie” i daty: 1950, 1951. Wówczas siostry Apolonia i Stanisława pracowały już od ponad 15 lat w szpitalu tzw. „sejmikowym”. Ich siostra, młodsza o kilka lat Katarzyna znalazła zatrudnienie w aptece w Piaskach jako laborantka, ale mieszkała wraz z bratem i jego żoną w Krasnymstawie. Pod koniec lat 40., po powrocie z Niemiec Edwarda Powązki, Katarzyna związała się z nim. Edward był rodzonym bratem Mariana, kuzynem Jana Kokradzkiego i Katarzyny z Heców. Zatem rodzeństwo Lipków związało się z Kokradzkimi, Hecami i Powązkami, którzy byli rodziną.

Przeglądając księgi metrykalne parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, notuję nazwiska. Dużo jest Cichoszów, Kalmanów, Kargulów, Miszczaków i Żekrowskich. Nazwisko Lipko odnotowuję tylko w aktach dotyczących mojej rodziny. Kolejno w latach 1939, 1940, 1942 i 1944 rodziły się dzieci małżeństwa Mariana Powązki i Apolonii z Lipków. Rodzina mieszkała w Krasnymstawie do lat 50.



Krasnystaw. Zakład fotograficzny A. Zielińskiego. Kazimierz Lipko z żoną Kazimierą z Heców, pocz. lat 40. XX wieku.

Później wszyscy wyjechali do Słupska na tzw. Ziemie Odzyskane. „Jechaliśmy ze dwa tygodnie pociągiem” - wspomina wujek Kazik. „W międzyczasie dowiedzieliśmy się o nagłej śmierci naszej mamy Agnieszki Kasprzyk”. W Słupsku obecnie mieszkają dzieci, wnuki i prawnuki Lipków oraz rodziny trzech mężów i żony rodzeństwa Lipków z Krasnegostawu: Hecowie, Powązkowie i Kokradzcy. Niewiele mogą powiedzieć o okresie krasnostawskim swoich rodziców.

Czy zachowało się w Krasnymstawie wspomnienie o ludziach o nazwiskach Błaszczak i Lipko? Skąd przybył Piotr Lipko? Czy jego dzieci, oprócz zdjęć, pozostawiły wśród mieszkańców tego miasta jakieś wspomnienie?

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Lidia Jurkiewicz

Miejsce z opowieścią: Boruń

Ludzka pamięć odgrzebała, że był stary Watson i młody. Byli właścicielami majątku Boruń. Na wzniesieniu ukrytym wśród pól, lasów i stawów zostało rumowisko.

- Nie da się tego rozorać - mówią miejscowi rolnicy - Tu był kiedyś pałac z kamienia. Zniszczyli go w czasie I wojny światowej. Mieszkał tu stary Watson, potem przenieśli się do czworaków,

przerobili go na dwór. Tu, przy tej drodze!

Jadąc z Woli Siennickiej do Maciejowa, mijam Boruń. Jadę tą drogą, przy której stał dwór Watsona. Widzę gdzieś tam porozrzucone domy, które nie tworzą zwartej zabudowy. Między nimi rozciąga się szerokie pole. Zielone przestrzenie, a wśród nich wyrastające pojedyncze drzewa lub ich kępy zdradzają, że było tu siedlisko.

- Tak, to tu mieszkał Watson - mówi pan Bolesław Plata, mieszkaniec Borunia, którego działka przylega do wspomnianego terenu. - Kiedy przyjechałem tu mieszkać po wyzwoleniu, był tu



Boruń - dom państwa Kruszewskich

zadbany majątek, jeszcze całkiem się trzymał. Pamiętam Watsonową, po wojnie jeszcze trochę zarządzała. Dom, w którym mieszkała rodzina Watsonów to był długi, prosty, parterowy budynek. Murowany i pokryty gontem. W środku było dwanaście pokoi. Dookoła zabudowań rosły strzeliste topole, od drogi był sztachetowy płot z desek. Przed domem - ogromny klomb, rosły tam róże, lilie i piwonie. Do niego prowadziła aleja, a wzdłuż niej też były topole. Dróżki, szpaler krzewów, werandy, ławki drewniane - to pamiętam. Były też zabudowania gospodarcze: stodoła, dwie obory, jeden czworak, drugi czworak, a ten ostatni nazwali piątak, bo mieszkało w nim pięć rodzin. Zarządcą majątku był Harasim, Harasimka rządziła w kuchni. Watson miał woźnicę, kowala, stelmacha. W czworakach mieszkało kilkanaście rodzin. Woźnicą był Władek Śliwiński, kowalem Jan Śliwiński, a stelmachem - Tomasz Styk.

- Jak rozległy był majątek Watsona?

- Nie był to duży majątek. Rzeka Siennica oddzielała go od Kozieńca, a stawy od Zagrody. Pola ciągnęły się w górę, aż do Kułagówki, (nazwa miejsca pochodzi od nazwiska mieszkańców - rodziny Kułagów), tam się kończy Boruń.

Tam również jest granica gminy Siennica Różana i zaczyna się obszar gminy Kraśniczyn. Boruń przylega do południowej doliny rzeki Siennica i od tego miejsca teren ulega pofałdowaniu. To pierwsze wzniesienie mieszkańcy nazywają Piorunową Górą. Na niej osiadła wieś Kolonia Boruń. Im dalej na południe od Kolonii Boruńskiej, rzeźba terenu staje się bogatsza, bo to już Działy Grabowieckie - wschodni kraniec Wyżyny Lubelskiej. Ten naturalny region to garb górnoekredowy pokryty lessem, poprzecinany dolinami rzek i lessowymi wąwozami - tu zaczyna się Roztocze. Stojąc na Piorunowej Górze, jedną nogą jesteśmy już na Roztoczu, i widzimy dolinę Siennicy, za którą od północy rozciągają się Pagóry

Chełmskie - kolejny region Lubelszczyzny. Boruń oddziela te dwie różne krajobrazowo krainy.

- A jaki był tu kiedyś las!? - mówi Kazimierz Humaniuk, mieszkaniec Borunia. - Tu rosły takie puszczańskie sosny. Ich korony tak się spletały, że do lasu nie docierało światło. Po wyzwoleniu, kiedy nie było jeszcze władzy, wycięto go w pień. Znikął dzień po dniu. Potem odrósł, ale nie jest już to ten sam las.

Zostały miejsca, nazwy i ślady zabudowań, byli więc i ludzie, którzy je tworzyli. Draję dalej temat i pytam o nich, by zgłębić ich historię. Zbieram fragmenty opinii, opinii o młodym Watsonie: - Był to człowiek na miejscu, umiał rozmawiać z każdym, nie odmówił pomocy, nie gardził prostym człowiekiem - wypowiadają się moi rozmówcy. Apolonia Wolska opowiada, że woźnica Watsona zabierał od jej rodziny mleko do mleczarni.

- Było go niewiele, tylko od jednej krowy, ale tym mlekiem spłacił mi drzewo na cały dom, które wcześniej dał nam Watson ze swego lasu. A jakie festyny pomagał organizować we wsi; był prezesem Ochotniczej Straży Pożarnej w Siennicy Różanej.

- Z Watsonem miałem osobisty kontakt jako trzynastoletni chłopak - opowiada Bronisław Jurkiewicz - Robiłem wtedy z Żydem (Jankiel miał na imię) czystkę lasu w kozienieckim zagajniku. Wycięliśmy trochę cienkich sosen na opał. Trzeba je było jakoś przetransportować, więc wrzuciliśmy drzewo do rzeki, by popłynęło z nurtem. Ale najpierw poszedłem do Watsona, prosić o zgodę, by móc chodzić po jego groblach. Były wtedy świeżo usypane, więc nie wypadało ich rozsuwać, a trzeba było jakoś przejść po nich i popychać to drzewo. Drzwi otworzyła mi Harasimka, potem wyszedł Watson. Powiedziałem, w jakiej przychodzę sprawie. On grzecznie mnie wysłuchał i zgodził się bez zastanowienia. Dobry był z niego człowiek, ale z gospodarzeniem mu jakoś nie wychodziło. Wśród fernali panowała duża bieda, a i inwestycji żadnych nie było widać. W czasie okupacji majątek przejęli Niemcy. Zarządcą wtedy został Dawidowski, Ślęzak, który według niemieckiego porządku zaczyna gospodarzyć. Podczas wojny mówiło się o ruchu oporu na naszym terenie. Watson był oficerem Wojska Polskiego i angażuje się w tworzenie konspiracji. Z relacji Stefana Truskowskiego wiem, że w domu u Watsona odbyło się pierwsze spotkanie, które dotyczyło założenia siatki konspiracyjnej Armii Krajowej w Siennicy Różanej. W spotkaniu uczestniczyli: Watson, Stefan Truskowski i Marian Prus, który został przywódcą. Po niedługim czasie Niemcy już wzięli namiar na Watsona. Truskowski z wywiadu AK ostrzegł go, aby uciekał, lecz on nie chciał tego zrobić. Bał się o żonę i o córkę, by nie

zostały aresztowane. Któregoś dnia Watson dostał wezwanie od Niemców, by zgłosił się do urzędu starostwa w Krasnymstawie. Powióził go wtedy woźnica Władek Śliwiński. W drodze bryczkę zatrzymuje Truskowski, który uparcie namawia Watsona: - Nie jedź, uciekaj! Watson dopełnia obowiązku, stawia się przed Niemcami. Woźnica czeka i czeka, wieczorem wraca do domu, sam. Opowiadał, że widział, jak Watsona prowadzili żandarmi do więzienia w Krasnymstawie. Może był rok czterdziesty trzeci. Od tej pory słuch o Watsonie zaginął. Nikt nie wie, co się z nim stało.

Informację tę potwierdza Stanisław Położewicz, mieszkaniec Woli Siennickiej, były fornał majątku Boruń. - Ja służyłem u Krzywickich. Kiedy stary Watson zadłużył się, to część majątku odsprzedał Krzywickiemu. Jego gospodarstwo miało 75 mórg, leżało tuż przed granicą majątku. Wiem, że to właśnie tam odbyło się to pierwsze spotkanie konspiracyjne. Potem było ich więcej. Majątkiem zarządzał Stefan Lachman. Mówiono na to miejsce Lachmanówka. Tam ukrywał się również jakiś generał z trzydziestego dziewiątego roku, mówiono, że zza Bugu. Za okupacji widziałem jak Niemcy jechali w stronę Lachmanówki motocyklem trzykołowym i czarnym garbusem. Mieli żółte opaski, widocznie byli to gestapowcy. Potem wiem, że zabrali generała, trafił na zamek do Lublina. Zabrali też Krzywicką i Lachmana. Ci znaleźli się w obozie przejściowym w Izbicy. Młody Watson, (na imię miał Tomasz) wykupił Krzywicką i Lachmana. Niedługo po tym chorują na tyfus. Przyjechał wtedy doktor Paczyński (podobno ze Lwowa), który ukrywał się w sąsiednim majątku Toruń i leczył bezinteresownie ludzi. Nie podjął się leczenia. Chorzy byli zaszczepieni tyfusem przez Niemców. Nie dało się już nic zrobić. Za parę dni umarli. Tomasz Watson pomagał ludziom jak mógł. Jak Niemcy zabrali mu majątek, mnie przenieśli od Krzywickiego do dworu w centrum Borunia. Tomasz miał jedną córkę - Marysię, ale przysposobił drugą - sierotę po zmarłych rodzicach - fornałach. Była to Janina Stefaniak. Po wojnie Watsonowa wraz z Marysią i Janką miała sklep w Krasnymstawie, koło ratusza. Potem mówiono, że pracowała w Zakładach Jajczarskich w Lublinie. Z relacji pani Marii Suszek (córkę Władysława Śliwińskiego, byłego woźnicy Watsona) wynika, że Marysia mieszka we Wrocławiu.

- Była tu ze trzy lata temu, pochodziła, popatrzyła, ale co tu patrzeć, jak po majątku nie ma śladu. Myśmy odkupili od Watsonów dom, w którym mieszkali rodzice Watsonowej. Przybyli z Lublina i tu już osiedli. Po wojnie też wyjechali.

Jedyny materialny ślad, jaki został po majątku Tomasza Watsona pokazał mi pan Bolesław Plata.



- Zdjąłem tę tabliczkę z drzwi, jak przyszedłem tu mieszkać zaraz po wyzwoleniu, niedługo potem wszystko spłonęło. Pan Bolesław Plata odszukuje wśród skrzętnie przechowywanych domowych skarbów, mosiężną tabliczkę z napisem: *Mr. Watson Surgeon Royal N. British Dragoons* (Pan Watson chirurg Królewskiego Pułku Dragonów Północnej Brytanii).

Lidia Jurkiewicz

Jan Henryk Cichosz

Moja spowiedź

Pogubiłem klucze do wszystkich nieomkniętych drzwi. Okulary do odczytywania ważnych rzeczy
Adresy do miejsc pierwszych.
Niewysłane listy do tych, których już nie ma.
Zapomniałem wszystko to, co było dobrocią. Pamiętam wszystko to, czego nie powinno się pamiętać.
Zbyt często pozostawiam pytania bez odpowiedzi. Zabieram głos w sprawach mało ważnych.
Nie umiem powiedzieć: „Nie” nawet sobie. Zapisuję wszystko to, co jest być może błahę.
Zawracam Panu Bogu głowę, w chwili gdy jest zmęczony.

Więcej już nic nie pamiętam.

Mariusz Kargul

Pasając krowy i patrząc w zęby Pegaza

Wyobraźmy sobie taką sytuację - połowa lat 20. ubiegłego wieku, małe, senne miasteczko nad Wieprzem, które przypomina sobie o własnym istnieniu, w chwilach, kiedy napisze o nim jakiś podróżny albo poeta, jednym słowem - Krasnystaw (dawniej Szczekarzew). Na jednym z jego przedmiesć wieśniaczy żywot wie dzie Stanisław Bojarczuk (5 IV 1869 - 31 XII 1956). Z pozoru nic nie wyróżnia go z całej gromady. Jak wielu innych mieszkańców Rońska, gnieździ się z liczną rodziną w chacie pamiętającej najlepsze lata *La Belle Epoque*. Codziennie dogląda rachitycznego gospodarstwa, rzadko wypuszcza się dalej niż poza horyzont widoczny z wież parafialnego kościoła, chadza na pobliskie łąki pasać krowy, i są tylko dwie sprawy, które nie pasują do reszty układanki.

Pierwszą z nich jest podobizna Prusa, wisząca nad jego łóżkiem, wycięta zapewne jeszcze z jakiegoś XIX-wiecznego tygodnika, a drugą - niepohamowany pęd do czytania. Cokolwiek wpadnie Bojarczukowi w ręce musi być zaraz przeczytane i zanalizowane „zdrowym chłopskim rozumem”. Choć z tym zdrowiem też bywa różnie, bo - zdaniem wielu - prosty chłopina oszalał. Miał w 55. roku swego życia zająć się bliżej różańcem i ostatnią wolą, on zaczął nagle... pisać. Ale nie tam jakieś pisma do powiatu czy gminy, tylko - o zgrozo - sonety! Wstyd we wsi, Petrarka wywrócon w mogile!



Przez 30 lat, które mu jeszcze zostały, napisał tych sonetów coś koło tysiąca. A pisał na czym popadło. Zbierał każdy papier, który posiadał choć trochę wolnego miejsca. Pisał na marginesach gazet i drugih stronach ulotek, plakatów, obwieszczeń. Wśród nich znalazł się m.in. fragment „listy katyńskiej” opublikowanej przez Niemców w czasie wojny i spis mieszkańców chałupy sporządzony dla potrzeb lokalnych władz okupacyjnych. Używał zazwyczaj ołówka, atrament służył mu do przepisywania „na czysto” w kilku skromnych notesikach.

Bojarczuk nigdy nie zdobył formalnego wykształcenia, nawet w zakresie podstawowym. Przez dwie zimy uczęszczał do tzw. szkółki elementarnej, gdzie nauczył się jako tako pisać i czytać. Resztę zawdzięczał samemu sobie, stąd też jego rękopisy stanowią nie lada wyzwanie dla grafologów i językoznawców. Spróbujcie sami napisać wiersz na podeszwie buta, na byle czym!

Życie nie miało dla niego zbyt bogatej oferty, więc opcji „full service” szukał gdzie indziej. Wiedział, że jest dinozaurem literatury, że wchodzi na trakt dawno opuszczony przez innych. Sam się mianował anachronicznym dzieckiem XIX stulecia i z nutką pobłażliwej chłopskiej kpiny spoglądał na nowomodne trendy. Nie zawsze brany na serio, posadzany czasem o megalomanię, czuł jednak w jakiś sposób, że nie obcował tylko z bytlem, ale i Pegazem. Bo jak inaczej tłumaczyć słowa starszego pana z wąsem à la Antek Boryna, chadzającego w słomianym kapeluszu, o prostej lasce: *Jam mocarny, demonom swą moc przeciwstawię./ Nie mam współzawodnika tu, w Szczekarzewstawie/ a ślad mego istnienia w sonetach zostawię?*

Mariusz Kargul

Jan Henryk Cichosz

Autoportret

To ja. Ciągłe ten sam
w krótkich spodenkach,
który nie ma odwagi
zetrzeć zapisanej kredą
tablicy dzieciństwa w
szkole, której już dawno
nie ma...

Lucjan Cimek

Z dziejów igrzysk olimpijskich

W okresie nowożytnych igrzysk olimpijskich za główny wymóg uczestnictwa przyjęto, w skali ogólnej, zasadę udziału w miarę możliwości wszystkich narodów bez względu na ich status polityczny. Umożliwiało to start olimpijskim przedstawicielom niektórych narodów nie posiadających niepodległości przed 1914 r., jak Czechy, Węgry, Finlandia, Indie, Kanada, Australia, Nowa Zelandia i... Polska. Natomiast w skali jednostkowej przyjęto zasadę amatorstwa.

W 1912 r. miały się odbyć igrzyska olimpijskie w Sztokholmie. Szwedzki komitet organizacyjny rozesał jesienią 1911 r. program igrzysk, w którym przewidywał nadanie olimpijskich złotych medali za najwybitniejsze osiągnięcia w alpinizmie. Takie same medale zaproponowano dla myśliwych. Prawo zgłaszania kandydatów do nagród przysługiwało krajowym organizacjom alpinistycznym i myśliwskim. O przydzieleniu nagrody miały decydować dwie osobne komisje (sądy) – jedna dla alpinizmu, druga dla myślistwa.

Wszystkie pisma alpinistyczne na świecie, w tym i nasz polski „Taternik”, którego redaktorem naczelnym był Zygmunt Klemensiewicz, jeden z czołowych przedstawicieli sportowego nurtu w taternictwie, potępiły ten sposób oceniania osiągnięć alpinistycznych. Występowanie współzawodnictwa w alpinizmie i taternictwie było faktem stwierdzonym od wielu lat, jednakże wszyscy, nie negując współzawodnictwa jako czynnika podnoszącego poziom alpinizmu, stwierdzali jednocześnie, że celem alpinizmu nigdy nie może być tylko pragnienie uzyskania wyniku lepszego od drugiego człowieka; byłoby to przecież zaprzeczeniem istoty alpinizmu. Obawiano się, że wprowadzenie odznaczeń, oddziałujące na odwieczną w człowieku dążność do wyróżniania się, skieruje alpinizm na tory sportu zawodniczego i stadionowego, którego główną istotą jest wykazanie większej sprawności fizycznej jednego człowieka od drugiego. Byłoby to niezwykłym zubożeniem alpinizmu. Ponieważ do Sztokholmu nie wpłynął ani jeden wniosek, następne komitety olimpijskie już nie wracały do tego, kuriozalnego pomysłu.

Podobnie rzecz się miała z myślistwem. Główna kontrowersja w przyznawaniu złotego medalu wynikała ze stosowania broni palnej o coraz większej doskonałości technicznej, przyrządów optycznych oraz naukowej znajomości

zachowania się zwierzyny łownej. Zakłóca to swoistą, względną równowagę szans myśliwego i zwierzęcia, ponadto zwierzę zmuszone jest do przebywania na terenach coraz bardziej ograniczonych i coraz częściej niszczonech przez rozwój cywilizacji, a więc jego szanse ustawicznie się zmniejszają, podczas gdy myśliwego stale rosną i z tego względu nie ma tu prostej, sportowej zasady fair play. To wszystko czyni ze zwierzęcia w coraz większym stopniu ofiarę, a w żadnym wypadku równorzędnego przeciwnika do swojej gry „sportowej”, więc z tego pomysłu też zrezygnowano.

W olimpiadzie sztokholmskiej 1912 r. uczestniczyło 2 541 zawodników z 28 krajów. Największym wydarzeniem sportowym był start Amerykanina Jamesa Thorpe'a, zwycięzcy w pięcioboju i dziesięcioboju lekkoatletycznym, dyskwalifikowanego następnie za uprzednie starty w zawodowych drużynach baseballowych. Jego przypadek stanowił jedną z najgłośniejszych dyskwalifikacji w historii amatorstwa. Dopiero w 1982 r. decyzją Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego został pośmiertnie zrehabilitowany i przywrócono mu zdobyte medale.

Lucjan Cimek

Jan Henryk Cichosz

In blanco

Litera po literze coraz bliżej
gubię się w czasie, który szeleszcząc,
ucieka między palcami. Na przekór
logice i różnego rodzaju sztuczkom
wartym funta kłaków, pod lupą
raz jeszcze oglądam wszystkie
zapisane tematy, tak jakby to miało
być zbawieniem albo furtką do Wieczności
Po stokroć przeczytane mądre księgi tak
naprawdę niczego nie wyjaśniają i są
podobne do kuponu totolotka tuż przed
losowaniem. Jeśli już coś naprawdę
istnieje, to tylko Wiara, jak czek *In blanco*.

Leszek Janeczek

Katyń 2010 - zapis chwili

10.04.2010 sobota

Dzień zaczyna się słonecznie, wiosna. Mam zaplanowane roboty. Tadek dzwoni czy oglądam telewizję. Nie. Zapomniałem, że dziś uroczystości w Katyniu z udziałem polskiego prezydenta. Po dziewiątej włączam odbiornik. Niepewne, ale niepokojące wiadomości. Awaria samolotu na lotnisku w Smoleńsku. Nic pewnego. Awarie, wiadomo, zdarzyć się mogą. Pokazują zgromadzonych w Katyniu już na miejscu oczekujących prezydenta i jego świty. Sytuacja niepewności całkowitej nie trwa długo. Choć nie wiadomo dokładnie co się stało, na pasku pokazuje się informacja o możliwych 3 ofiarach, a wszystkich pasażerów miało lecieć 87. A co z prezydentem? Ale sytuacja jednej niepewności zmienia się w inną niewiadomą. Dawka suchych informacji wzrasta. Kilkanaście minut później napis: zginęło 87 osób, a 3 przeżyły. Cała Polska jakby wstrzymała oddech. Czy to możliwe, że tyle? Kto? Niedługo potem Reuters podał, że wszyscy pasażerowie zginęli. Na chwilę jeszcze przemknę o 3 rannych uratowanych, przebywających w szpitalu w Smoleńsku. Ludzie dzwonią do siebie, powiadamiając o tym, co się stało. Linie są przeciążone. Wszystko zaczyna dziać się na naszych oczach. Kamerzysta idzie i filmuje. Obraz drga. Rosyjskie służby mundurowe są na miejscu. Jakiś starszyna zakrywa palcami obiektyw kamery. Zaczyna być widoczne miejsce upadku samolotu. Las, błotniste, wypełnione brązową wodą doły podmokłego terenu. Samolot w częściach, dymi. Strażacy gaszą palące się miejsce, nie jest ich wielu. Żadnych służb medycznych. Kamera nie widzi żadnych ciał. Cisza. Nikt nie jęczy ranny, ani wołający pomocy. Wiadomości coraz pewniejsze i to najgorsze: nikt nie przeżył katastrofy. Tymczasem w Katyniu oczekujące rodziny po zabitych oficerach, wojsko, wielu gości czekają w napięciu. Poruszenie, a potem płacz. Jak to? Nie, to niemożliwe. Wszyscy?! Zginęli tu prawie w Katyniu? Przed godziną? Prezydent nie żyje?, ot tak po prostu? To jakiś koszmarny sen. Gubernator Smoleńska nie pozostawia nadziei. Nikt nie przeżył katastrofy polskiego samolotu wiozącego delegację prezydenta na uroczystości 70. rocznicy mordu w Katyniu. W TVP Info wyświetlona na czarno wiadomość: PREZYDENT NIE ŻYJE. Czy to pewne? Ile osób? Miało być 88. Za niedługi czas pokazują liczbę 132. Kto leciał tym samolotem? Pani Maria Kaczyńska na pewno. Pada nazwisko prezydenckiego brata. W Katyniu polskitłum zafalował.

Niektórzy ukryli twarze w dłoniach. Uroczystości nie będzie. Wydawało się, że ludzie nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Płaczą. Rzędy pustych krzesel, na nich biało-czerwone chorągiewki. Chór wojskowy zaczął śpiewać hymn i jakąś smutną pieśń. „Póki my żyjemy...” brzmi teraz szczególnie... Na pasku informacyjnego kanału płyną nazwiska: Stasiak, Szczygło, Szmajdziński, Gągor, Kaczorowski, Walentynowicz, Gosiewski, Zakrzęski, Putra, bp Płoski, Szymanek-Deresz, Jaruga-Nowacka, Wassermann, Kurtyka, Skrzypek, Przewoźnik...

Obecność tylu wybitnych osobistości na pokładzie tego samolotu zdaje się w naszych głowach być zabezpieczeniem samym w sobie. A to jeszcze nie wszyscy. Słyszymy to i widzimy, większość płacze, ale w naszych głowach zaczyna wydawać się to snem. Tusk wraca do Warszawy z Gdańska. Nadzwyczajne posiedzenie rządu. Szok. Tragedia narodowa. Nie, to nie do uwierzenia. Jest nasz montażysta z telewizji polskiej. Był niedaleko w hotelu, usłyszał lot i huk, i dwa nieduże wybuchy. Biegł z kamerą. Nikt nie wołał pomocy. Rosjanie zabrali mu kasętę. Karettek nie wzywano. Od razu wiadano, że nikt nie przeżył? Brat prezydenta nie jest już pokazywany na liście. Trudno uwierzyć w złowrogi napis: „Prezydent Lech Kaczyński nie żyje”. Tusk leci do Smoleńska. Ze strony rosyjskiej pojawia się informacja o przylocie Miedwiediewa i Putina na miejsce katastrofy. Jest już wieczór, premier Putin przyleciał sam. Widać w odruchu serca chcieli lecieć obaj. Byłoby to niezgodne z procedurami. Tusk doleci trochę później, musi jeszcze dojechać 100 km. W Polsce totalny szok. Ludzie płaczą. W kościołach modlą się za ofiary katastrofy. W Krasnymstawie chyba pierwsze flagi z kirem na kościele św. Franciszka. Z orędiem do polskiego narodu zwraca się prezydent Dmitrij Miedwiediew. Niesamowite. Rosyjski prezydent do Polaków. W dodatku ogłasza w Rosji żałobę w dniu 12 kwietnia. Komorowski przejmuje władzę w państwie. Jest noc. Tusk i Putin składają kwiaty przy szczątkach samolotu. Tusk klęczy, twarz jakby nieobecna. Putin przeżegnał się, nie wiedział, że Tusk uklęknie, lekko zwrócił się do naszego premiera. Ale gdy ten wstał, Putin położył mu rękę na plecach i zainicjował gest przytulenia Tuska. Polski premier odwzajemnił uścisk rosyjskiego premiera. Błyskają flesze. Moment historyczny i bardzo medialny. Gdzieś w zaimprovizowanym centrum dowodzenia siedzą obaj premierzy.

- Prijechali polskije druzja. Meldujcie jak sytuacja - Putin jest lekko zmęczony, ale widać, że i poruszony tragiczną sytuacją. Teraz on zwraca się do Polaków. Kilka zdań pełnych współczucia, szczerych. Zachowanie prezydenta i premiera absolutnie ludzkie, mało tego, całkowicie przyjacielskie, współczujące, delikatne. Gdy Tusk

odjeżdża, przed wejściem do samochodu, uściska się z Putinem na pożegnanie raz jeszcze. Te gesty, te rosyjskie słowa podobają się chyba wszystkim. Polska i Rosja z nami, w naszym nieszczęściu. I kto to sprawił? Prezydent Lech Kaczyński. Nikt by tego nie wymyślił, a jeżeli już, to nikt by w taki scenariusz nie uwierzył. Mnie zachowanie Rosjan bardzo się podoba. Tymczasem w Polsce już rano, przed pałacem prezydenckim zaczęto zapalać pierwsze znicze i przynosić kwiaty. Teraz, wieczorem jest tu morze ognia. Świat jest w szoku. Litwa ogłasza 3-dniową żałobę. Żałoba w Gruzji. Telewizje nasze niczego więcej nie pokazują, tylko miejsce nieszczęścia. Portrety tych, którzy zginęli, czarnobiałe, zdają się mówić dojmująco samą barwą. Jak kruche jest życie. Sekunda i przeniesli się do wieczności. Zastygli w swych uśmiechach. Wizerunki z dobrocią na zawsze. Jak kraj długi i szeroki ły, ły, ły, Większość jeszcze nie wierzy, płacze i czeka na obudzenie.

11.04.2010 - dzień po tragedii

Rosja znowu nas dziś zaskoczyła. Ogłoszono, że dziś lub wczoraj, zostanie w TV Rossija wyświetlony „Katyń” Wajdy. Rosjanie mogli go obejrzeć 2. 04 w kanale TV Kultura.

Powiedzieli u nich, że oficerów zabiło NKWD. Putin to rozkazał? Na emocjach? Czy świat będzie się teraz musiał o Katyniu dowiedzieć? Poprzez te ofiary. Tamtych ponad 4 tysiące w samym Katyniu, było jakby za mało dla sprawiedliwej pamięci. Dziś następni, których życie na trwałe zachowa pamięć tamtych. Elita ówczesna i elita obecna. Katyń wyciąga po nich ręce. Świeża polska krew, na tej już zastygłej.

Reakcja świata jest zadziwiająca. Nie dlatego, że zewsząd płyną kondolencje. Ale dlatego, że obce kraje z tego powodu wyznaczają u siebie żałobę. To więcej niż dyplomacja. Daleka Brazylia - 3 dni. Nawet egzotyczne Malediwy. Hugo Chávez szczerze współczuje. Nowy prezydent Janukowycz ogłasza żałobę na Ukrainie, Czesi i Słowacy chcą jej w dzień pogrzebu. Czeski prezydent Vaclav Klaus jest bliski płaczu: - Straciłem przyjaciela - mówi, z trudem hamując emocje. W Moskwie i Smoleńsku zabrakło białych i czerwonych kwiatów. Rosjanie, w odruchu serca kładą je na tym, co polskie, nawet na samochodach z naszą rejestracją. Prezydent Unii Europejskiej wyznaczył żałobę na poniedziałek. Wszystko rozpoczynać się będzie 2 minutami ciszy. Mecz w Hiszpanii Realu Madryt - minuta ciszy, gra tam Jerzy Dudek. Piłkarze, nie-Polacy przecież, założyli czarne opaski. Dudek skinięciem głowy i gestem ręki dziękując wszystkim. Kubica dziś z tego powodu nie wystąpił w grand prix. Gortat w Ameryce prosi

o modlitwę. Polska jest na ustach całego dosłownie świata. W czeskiej TV - 10 godzin programu. Polska płacze. Jarosław Kaczyński wczoraj wieczorem był w Smoleńsku, zidentyfikował swojego brata. To trzeba zauważyć, że ciało prezydenta rozpoznano jako jedno z pierwszych. Jeszcze ostatniego prezydenta na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego i Krzysztofa Putry. Dzisiaj trumna z prezydentem, odleci niebieską casą do Polski. Putin został zapewne w Smoleńsku. I co zadziwiające, to właśnie on żegnał naszego prezydenta na lotnisku. Przeżegnał się, rosyjska orkiestra wojskowa zagrała Mazurka Dąbrowskiego nad trumną, a potem dawny i zarazem obecny - hymn radziecki. To właśnie Putin pożegnał się z naszym prezydentem, z którym nigdy nie rozmawiał za życia, na rosyjskiej ziemi. Polscy żołnierze nieśli trumnę z ciałem spowitą polskim sztandarem, do samolotu. Za nią kroczył Putin i polski ambasador. Jakiś polski generał zapłakał. Wcześniej Rosjanie odbyli małą defiladę. Żołnierze mieli na głowach takie same czapki jak ten dowódca w Gniezdowie na ostatniej stacji do Katynia w 1940. Paradoks historii - Putin, jako najważniejszy z gości na lotnisku, żegnający martwego polskiego prezydenta. W Polsce o 12 zawyły syreny. W Krasnymstawie, na instytucjach - dużo flag z kirem. Wyły syreny, karetki pogotowia. Wczoraj o 17 odpawiono mszę. Na każdym nabożeństwie dziś się za nich modli. Cała Polska czeka na przyłot do kraju prezydenta. Wojskowi stawiają kanciastymi ruchami, na katafalku, trumnę z ciałem Pierwszego Obywatela Rzeczypospolitej. Pierwsza podeszła córka, brat, rodzina, Komorowski, Tusk, osobistości. Na trasie przejazdu - tysiące warszawiaków. Przejazd królewski. Rzucają kwiaty na karawan. W e-mailu ktoś napisał: opinia o panu prezydencie zmieniła się w ciągu jednej sekundy. Bez jednego jego słowa. Co teraz będzie z Polską. Kto będzie teraz bronił Polski? Część tych, którzy wyszli na ulice towarzyszyć konduktowi, chcą zagłuszyć wyrzuty sumienia, za to że oczerniali prezydenta. Rafał Ziemkiewicz mówił o tych, co ośmieszali, jak teraz wyglądają. Piotr Semka płacze: Polsko, otrząśnij się! Zaczynj szanować za życia, a nie tylko po śmierci! Prezydent, swoją śmiercią odmieni kraj?!!!

Nadają pieśń o małym rycerzu. Wyspowiadał się przed lotem, podał ktoś z duchownych.

12.04.2010

Następne państwa ogłaszają żałobę narodową: Estonia, Łotwa. Turcja, Czechy i Słowacja w dniu pogrzebu prezydenta. Kupuje większość gazet. „Gazeta Wyborcza” odbiega szatą graficzną od pozostałych. Nie ma pierwszej strony w czerni, jak miała do tej pory w zwyczaju.

Czy dlatego, że najwięcej Go oczerniała? W szpitalu na raporcie - minuta ciszy, u nas na oddziale też. Koleżanki ronią łzy, gdy rozmawiamy na ten temat. Wiadomo już kiedy będzie pogrzeb. Zidentyfikowano ciało Pani Prezydentowej. Jutro przyleci do Polski. Dziennikarze pytają polityków jak ma wyglądać przyszła kampania wyborcza. Niesiołowski, nic nie rozumiejąc, pyta: „a jak ma wyglądać?”. Nie rozumie, że teraz ludzie oczekują od nich czegoś innego, niż było do tej pory. Jeśli teraz się nie zmieni, zostanie po staremu. Aby ciała pochowano, zacznie się psie ujadanie, podgryzanie, plucie, jak zwykle, czego ludzie mają serdecznie dość.

13.04.2010 wtorek

Czwarty dzień żałoby. Dziś sprowadzono z Moskwy ciało Pani Prezydentowej. Przejazd ulicami Warszawy. Uroczystość miała być prywatna. Ale na lotnisku byli stary prymas, Glemp i nowy - Muszyński. Nie było ich chyba przy prezydencie. Na ulicach stali ludzie, nie tak dużo, dziś dzień pracy. Ale chcieli być. Zbyszek Bijata organizuje ludzi na pogrzeb. Zaraz się zapisujemy. Wyjazd do Warszawy autokarem, gdzieś o 7. W sobotę musimy na wesele. Tuż po południu sensacyjna wiadomość. Pogrzeb odbędzie się na Wawelu. Oboje tam mają spocząć. Rano jeszcze mówiono, że brat wybierze miejsce, spekulowano o rodzinnym grobie. W Krasnymstawie uroczystość w kościele św. Franciszka poświęcona Katyniowi. Wtedy - 70 lat temu. Na koniec na ekranie para prezydencka. Z kirem. W ogrodzie z drogą krzyżową posadzono dąb pamięci poświęcony policjantowi. Miedwiediew rozważa przyjazd na pogrzeb. A wcześniej deklarował przyjazd. Co się stało? Obama złożył dziś kondolencje naszemu ambasadorowi, a później na szczycie jądrowym polecił uczcić minutą ciszy, modlitwy, zadumy. „W takich dniach wszyscy jesteśmy Polakami” - powiedział. Minister Ewa Kopacz jest w Moskwie dla identyfikacji ciał, już drugi czy trzeci dzień. Dzisiaj brała udział w rosyjskiej naradzie rządowej z udziałem Putina. Zapytał ją w czym jeszcze pomóc. Ona bardzo pochwaliła organizację. I pomoc. Nie wyciągnięto jeszcze wszystkich ciał spod wraku samolotu. Las i bagno. Chyba 9 osób. Ciało lubelskiego posła, Edwarda Wojtasa nie zostało zidentyfikowane.

14.04.2010

Decyzja pochowania ciał prezydenckiej pary na Wawelu wzbudza kontrowersje. Redaktor powiedział: - Wytrzymaliśmy 3 dni żałoby i zaczęło się. Dzisiaj przyleciało samolotem z Moskwy 30 trumien z ciałami. Ustawiono je na lotnisku.

Rodziny podchodziły i przytulając się do nich, płakały. Jest tam ciało wicemarszałka Krzysztofa Putry, osierocił 8 dzieci.

W Krasnymstawie smutna wiadomość - zmarła nasza sąsiadka z klatki, z ulicy PCK, mieszkająca w Lublinie Renatka Kucharska. Miała 38 lat, osierociła 2 dzieci.

15.04.2010

Spory wokół pochówku pary prezydenckiej rozlały się. Ku zdziwieniu, Andrzej Wajda zabrał głos i jest przeciw. Abp Michalik apeluje o powstrzymanie sporów. Zagranica już to komentuje. Niemcy dziwią się. Na szczęście są kontrmanifestacje z hasłami „Kraków czeka”. Dziś przyleciały 34 ciała. Jest Maciej Płażyński, Szymanek-Deresz, gen Buk. Znowu straszny widok na lotnisku - taki sam jak wczoraj. Witający ofiary katastrofy Tusk. I ogromna jadąca przez Warszawę kawalkada wozów pogrzebowych. Wielkie przygotowania do uroczystości w Krakowie. Zapowiedziało przyjazd 41 delegacji. Prezydent Miedwiediew przyznał, będąc w Ameryce, że Katyń zrobili Rosjanie i Stalin. Potrzeba było tragedii i znowu polskiej ofiary dla sprawy. A nade wszystko postawa polskiego społeczeństwa jest zadziwiająca. Coraz większe tłumy cisną się do trumien prezydenckiej pary, wystawionych w pałacu prezydenckim. Wcześniej czekano 7-8 godzin, dziś potrzeba 18. Większość to młodzi. To potężny zastrzyk patriotyzmu na całe pokolenie. Po podniesieniu wraku samolotu znaleziono cały nienaruszony wieniec L. Kaczyńskiego przeznaczony na uroczystość. Teraz będzie zabrany na Wawel. Wczoraj podano, że w samolocie widziano przez 3-5 sekund, że katastrofa nastąpi. W Krasnymstawie na blokach z rzadka flagi. Ludzie po prostu ich nie mają. Organizowany wyjazd do Warszawy autokarem, zostanie przekierowany na Kraków.

16.04.2010

Pomógł chyba apel episkopatu o zaniechanie sporów o pochówek prezydenckiej pary na Wawelu. Trochę młodzieży skrzyknęło się w Krakowie SMS-ami i założywszy papierowe korony pokazało się w milczeniu. W krypcie prace idą pełną parą. Sarkofag buduje się z miodowego onyksu, sprowadzonego z Turcji. Ale nowe, nieoczekiwane zjawisko może popsuć uroczystości niedzielne. W Islandii wybuch wulkanu wyrzuca ogromne ilości popiołu, chmura ta rozlewa się nad Europą. W 12 państwach, w tym i Polsce, zamknęto przestrzeń powietrzną. Odwołano tysiące lotów. Buzek nie poleciał do papieża. Wraca samochodem do Polski.

Tymczasem udział w uroczystościach zapowie-działo 96 delegacji z całego świata. Chmura jest szkodliwa dla silników samolotów. Nikt nie chce rezygnować. Nikt oficjalnie nie odwołał swojego przyjazdu na pogrzeb. W mediach, szczególnie w radiu, mówi się o tych, co oczerniali prezydenta. Zwykli ludzie dziwią się, że to był taki wspaniały człowiek. Dlaczego przedstawiano go inaczej, a to kartofel, a to niski, a to żona podała kanapki w reklamówce. Dziś wszyscy zdają się tego żałować. Zadziwiająca jest postawa narodu. Ciągłe ogromna kolejka czeka do pałacu prezydenckiego, dzień i noc. Dorośli i dużo młodych, a nawet dzieci. Wszyscy bardzo żałują prezydenta. Dziś podano, że w Wilnie, Odessie, Tbilisi powstaną ulice lub place im. Kaczyńskiego. Prezydent Estonii jest na tyle zdeterminowany, że do Krakowa wybiera się samochodem. Wieczorem o 22 przyleciał z Moskwy samolot, może jedyny dziś w Polsce (choć pracowało lotnisko Rzeszów i początkowo Kraków). Przywieziono 8 ciał, w tym gen. Gągora, Gosiewskiego, Jarugę-Nowacką, Zakrzeńskiego. W Krasnymstawie posadzono dziś 5 kolejnych dębów katyńskich. Z inicjatywy szkoły 4, w ogrodzie biblijnym - 4. Koło więzienia - naczelnikowi Kłobukowskiemu. Dziś w Lublinie, na Majdanku odbył się pogrzeb krasnostawianki Renaty Piaseckiej z domu Kucharskiej, przeżyła zaledwie 38 lat. Osierociła 2 dzieci. Wielu krasnostawian brało w nim udział. Także proboszcz Skowron. Film Katyń pokazywano dziś w kongresie USA. Dość niespodziewanie szybko. Pokazują ostatnie sekundy lotu. Samolot zawadził skrzydłem o drzewo, gdy stracił skrzydło odwrócił się podwoziem do góry i tak runął. Dziś słyszałem pierwszy dowcip na temat katastrofy. Jakie jest najlepsze piwo w Smoleńsku? Zimny Lech. Okropne, ale tacy ludzie też są.

17.04.2010

SOBOTA. Ucichły głosy przeciw Wawelowi jako miejscu pochówku. W Krakowie pojawiły się anonimowe groźby o wybuchu petard i paleniu opon w czasie uroczystości. Pył z wulkanu wciąż zamyka lotniska. Odwołano dziś w Europie ok. 20 tys. lotów. Polacy doskonale zdają egzamin z jeszcze niedawno wyśmiewanego patriotyzmu. Tłum przed pałacem nie rzędzie, oczekiwanie może na 10 godzin. Wielu młodych rodziców z małymi dziećmi. Jakie pokolenie z nich dla Polski wyrośnie? Delegacje ze świata zgłosiło się ok. 100 na pogrzeb. Dosłownie cały świat. Ale dziś ukazało się odwołanie przylotu Baracka Obamy. Za nim jak po sznurku idą następne. Sarkozy, Merkel, król Szwecji, Barroso, szef NATO...

Dziś wieczorem przewieziono trumny z ciałami z pałacu do katedry, na całą noc, do rana. Czuwano przy nich cały czas.

18.04.2010 niedziela

Dzień pogrzebu. Rano o 7 wyprowadzenie trumien prezydenckich z katedry, abp Nycz. Kaczyńskiego nie było. Jadą 2 karawany ulicami Warszawy, koło ratusza, Muzeum Powstania Warszawskiego. Wszędzie stoją ludzie, bija brawo i rzucają kwiaty na samochody. Na lotnisku samolot casa zabiera je na pokład. Gdy wzbijał się w górę, pomachał na pożegnanie skrzydłami. Ostatni raz stolica pożegnała prezydencką parę. Najpierw podano o odwołaniu 8 delegacji, to było wczoraj. Dzisiaj już 29, parę godzin później - 40, a jeszcze dalej - prawie 50. Rosja nie odwołuje. W Krakowie na trasie przejazdu z Balic do Bazyliki Mariackiej tłumy rzucały kwiaty pod koła i na samochody-karawany. Na rynku tłum coraz większy. Drobiazgowo każdy jest przeszukiwany. Głowy państw zasiadają w stallach. Miedwiediew, jako jeden z ostatnich, wcześniej spotkał się z polską delegacją. Zaprosił Komorowskiego na obchody w Moskwie. Ten zaproszenie przyjął. Ostatni był Janukowycz. Ale jeszcze później, bardzo zdeterminowany prezydent Gruzji, Saakaszwili. Najpierw wylądował w Rzymie. Spóźnił się, było już chyba po mszy, ale poszedł na Wawel. Z Europy Zachodniej właściwie Jerzy Buzek, jeśli nie liczyć Niemców: prezydenta Kellera z ministrem spraw zagranicznych G. Westerwelle. Pogrzeb chyba królewski. Telewizje z całego świata relacjonowały go. Pojawiła się Europa Środkowowschodnia. To jak symbol. Prezydent Klaus z Czech powiedział, że to niewybaczalne. Nikt z Brukseli nie przyjechał. Tu cieszą się z deklaracji tych, co mieli przyjechać. To tak jak by byli, w rzeczywistości - ich ambasadorowie. Miedwiediewa w katedrze już nie było, pojechał na lotnisko. Dał wywiad. Nikt z zagranicznych nie przemawiał. Komorowski w wystąpieniu jakby chciał jak najmniej powiedzieć o prezydencie. Gdy skończył odezwało się kilka braw i zamilkło. Po nim - Janusz Śniadek, szef Solidarności. Emocjonalnie i rzeczowo. Ciepło. Zwrócił się do Prezydenta, i jednocześnie mówił o Nim. Gromkie brawa. Kontrastowało to z ich brakiem u Komorowskiego. Wałęsa w ogóle tu nie przyjechał. Chrześcijanin, z wizerunkiem Matki Boskiej w klapie, a zapiekłość aż po grób. Był wczoraj w Warszawie i powiedział, że nic więcej nie ma do dodania w tej sprawie. Dziś był, nigdyś oficjalny ateista, prezydent Kwaśniewski. Taka właśnie jest dzisiejsza Polska. Dawni przyjaciele, są teraz wrogami. Ci, co byli po przeciwnych stronach,

zda się, że są razem. Największe zdziwienie, a jednocześnie podziw wzbudził przylot cesną, chyba na małych wysokościach, delegacji z dalekiego Maroka. W egzotycznym białym stroju - galabiji, czerwonym toczku na głowie. Czy był to prezydent? Jak nie z tego świata, dał nauczkę wielkim przywódcom cywilizacji śródziemnomorskiej, Zachodniej Europy. Mimo woli, na myśl przychodzą słowa Józefa Piłsudskiego: *Zachód jest mocno parszywieńki*. Para prezydencka spoczęła obok pierwszego Naczelnika państwa. Na dziedzińcu wawelskim delegacje zagraniczne wpisują się do księgi kondolencyjnej i składają wyrazy współczucia. Pierwsza w rządzie oczekuje wnuczka państwa Kaczyńskich. Jeden z prezydentów pocałował ją w rączkę. Dzień się kończył. Na Wawelu słowa, gesty, uściski... Białoczerwone flagi z czarnymi wstążkami zakryła noc.

19.04.2010

Dziś można powiedzieć: wszystko minęło. Gazety pełne relacji z pogrzebu, pięknych szat graficznych pierwszych okładek. Tylko Urbanowe „Nie” jak zwykle bluźniercze i obce. „Gazeta Wyborcza” - takie same strony niby-żałobne. Ale dzisiaj dzień pełen pogrzebów, chyba ośmiu. A ten najważniejszy - Ryszarda Kaczorowskiego. Ostatniego prezydenta na uchodźstwie. Wałęsa był obecny. Msza żałobna w archikatedrze św. Jana. Potem przejazd ulicami Warszawy do świątyni Opatrzności Bożej. Ludzie są na ulicach. Nie tak dużo jak wczoraj. Rzucają kwiaty na karawan. A jeszcze 10 dni temu, na dzień przed katastrofą był tutaj, oglądał grób przyjaciela ks. Peszkowskiego. I powiedział, że na miejsce tutaj trzeba sobie zasłużyć. Potrzeba było półtora tygodnia, aby tu spoczął. Wprost niewiarygodne. W TV - dyskusje jak potoczy się dalej polskie życie polityczne. Klucz do tego jest w ręku Jarosława Kaczyńskiego. Czy wróci do dawnej retoryki?, to byłoby najgorsze. Ale czyż on nie ma wyczucia, a przynajmniej doradców? Gdzieś podskórnie, obok nadal wdzięczności do Rosjan, spekuluje się o przyczynach katastrofy. Czy tylko wina pilota? Na lotnisku nie było wszystkich żarówek, uzupełniono je po katastrofie. Kontrolerzy - czy nie byli aby pijani? Słyszano jakoby jakieś trzy strzały. Przed lasem był wąż, pilot myślał, że jest wyżej. Nie wezwano ani jednej karetki. Nadal wisi wiele flag ozdobionych kirem.

Leszek Janeczek

Henryk Radej

* * *

*Pamięci Ofiar w Lesie Katyńskim
z 1940 i 2010 roku.*

Polsko, w porze kwitnienia fiołków
ja już płakać nie umiem,
gdy widzę jak z pokorą przyjmujesz
i do piersi tulisz
kolejny zrzut białoczerwonych trumien.

Warszawo, w tych dniach uskrzydłona
kiedy nocami tętnią ulice,
musiałaś zmienić pałac, Belweder i halę
w cmentarne pole swych dzieci
zabitych za wschodnią granicą.

Dziś sam już nie wiem komu wierzyć,
wciąż mnożą słowa i gesty puste,
pozamieniali maski na gipsowe twarze
głusi na Prawdę,
gdy tyle pytań ciśnie się na usta.

Wybacz mi, Polsko, że mogę tylko
klęknąć w modlitwie za Sprawę,
niby na warcie przy duchów pochodzie
co wiję się krwawo
z Lasów Katyńskich na Wawel.

Chełm, 15 kwietnia 2010 r.

Edward Krzysztof Rogalski

Panie Prezydencie

Mgła pod Smoleńskiem
Z wyciem lokomotywy w tle
Rosi białoczerwone pnie
Panie Prezydencie...

Uśmiech Pana
Nie pasuje STYLISTOM
Od filmu, mody i finansów
EURO-IDEALNE autorytety wiedzą
Kogo ukażą nieomylnie oczy kamer
Panie Prezydencie...

Świątelka drgają
W coraz bardziej gęstniejącej mgle
Na ulicach, placach i miękkim mchu
Znicze drogę znaczą
A paragrafy i komisje
Jak pył wulkaniczny
Powoli zakrywają dłonie
Z pojednania gestem
Panie Prezydencie...

Szczecin, kwiecień-maj A.D. 2010

Elżbieta Szadura-Urbańska

Warszawa w dniach przemiany

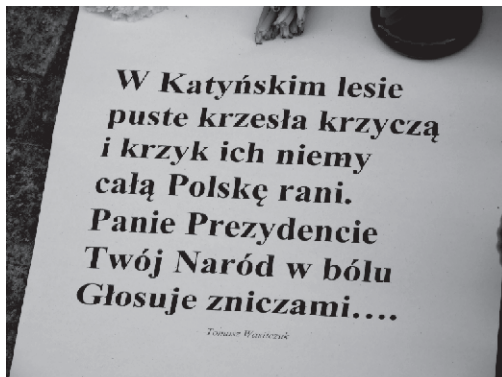
Odtworzyć emocje sprzed kilku tygodni, wrócić do tych dni w Warszawie po 10 kwietnia 2010 roku. To trudne zadanie. Szczególnie trudne, gdyż teraz tamte odczucia są poddawane analizie, są oceniane. Tak wiele powiedziano już o ich niestosowności. Postawiono w nawias autentyczność wzruszenia ludzi stojących przed Pałacem Prezydenckim, nie kwestionując przy tym szczerości bólu obcych polityków. Jak się bronić? Mówić, że jestem Polką? Powiedzą, że uderzam w fałszywe tony nacjonalizmu, że chcę dzielić. Mówić, że przeżyłam poczucie wspólnoty? Powiedzą, że da się to wytłumaczyć, stosując wykładnię psychologii tłumy. Więc powiem, że bardziej niż Polką czułam się wówczas obywatelką tego kraju, że tam nie było tłumy, tylko poszczególni ludzie, nie było zbiorowych egzaltacji. Były łzy, modlitwy, refleksja każdego z nas i dojmujące odczucie, że do tych ludzi stojących obok jest nam bliżej niż kiedykolwiek. Było potęgujące się z dnia na dzień odczucie duchowej przemiany. Nie obarczajcie więc mnie swoimi przemyśleniami, że to nietrwałe, fałszywe i przemijające. Mówcie za siebie. Oprócz emocji, których wpływu na moją, naszą przyszłość jeszcze nie znam - pozostanie pamięć tamtych dni. Ja zapamiętam je tak:

- Chyba stało się coś poważnego! Przełączam kanały i widzę zdezorientowanych dziennikarzy - kilka minut po dziewiątej w sobotni poranek 10 kwietnia zadzwoniła do mnie przyjaciółka. Niedowierzanie. Jeszcze przed ogłoszeniem oficjalnych komunikatów sąsiedzi wychodzą na ulicę. Dopytujemy siebie nawzajem, dzwoniemy, płaczemy i rzucamy się sobie w ramiona. Ktoś mówi, że jego znajomy miał tam jechać. Ktoś kogoś znał, ktoś nie jest pewien czy ciocia pojechała pociągiem czy poleciała z Prezydentem. Już ktoś do stojących na ulicy podaje przez otwarte okno nazwiska czytane przez dziennikarza. Przy każdym nazwisku znów jęk bólu i strach - O Boże, on też! - Co teraz będzie? - Co teraz będzie? - Co będzie z nami?

Ktoś próbuje wzniecić iskierkę nadziei - trzy osoby przeżyły, są w ciężkim stanie. Iskierka szybko gaśnie.

Jeszcze tego dnia, około południa przed Pałacem Prezydenckim. Przede mną było już wielu. Kwiaty, znicze i krzątający się, skupieni, poważni harcerze. Potem, o 18 msza w Archikatedrze św. Jana Chrzciciela. Tłum wypełnia Kanoninę, wylewa się na plac Zamkowy. Poza modlitwami, jedynie stłumione, przyciszone roz-

mowy. Całun żałoby przykrył miasto. Mieszkańcy w oknach i na balkonach wywiesili flagi przewiązane kirem. Na naszej ulicy zrobili to wszyscy.



Warszawa już od sobotniego wieczora naznaczona punktami zniczy i kwiatów. Przed sejmem, przed Domem Polonii, przed kościołami, pomnikami, przed budynkiem politechniki (bo tam ta młoda stewardessa, słyszała pani?), przed sądami, budynkami IPN, przed prywatnymi domami. Wśród zniczy, wetknięte wierszyki, życzenia, zdjęcia. Nie wstydzimy się łez.

Niedzielnny ranek. Sen nie przyniósł ukojenia i jak obuchem okłada nieodwracalnością wczorajszego dnia. Przełączanie kanałów telewizyjnych, niekończące się rozmowy telefoniczne i rozmowy z przypadkowymi przechodniami. Zastanawianie się, gdzie przywitać kondukt żałobny z Ciałem Prezydenta. Pan w kwiaciarni, w której często kupuję kwiaty, nawet nie pytając, bukiet czerwono-białych tulipanów przewiązuje czarną wstążeczką. Kto dzisiaj kupowałby kwiaty z innej okazji? Pójść na Krakowskie Przedmieście, czy gdzieś wzdłuż trasy przejazdu? Może gdzieś będzie mniej ludzi? Nie ma takiego odcinka trasy. Tuż przy Filtrach, na Raszyńskiej ludzie stoją w kilku rzędach. Spontanicznie ustawiliśmy się podług wzrostu, dzieci najbliżej jezdni. Stoimy ponad godzinę, w skupieniu, zatopieni w sobie. Powoli wylaniają się prowadzące kondukt motocykle. Niektórzy przykleją, inni robią znak krzyża w powietrzu, jeszcze inni spuszczają głowy. Na trumnę spada deszcz kwiatów. Znikoma część z nich dotrze do Pałacu Prezydenckiego. Reszta tworzy kwiatny dywan, za chwilę zmiażdżony kołami pojazdów. Kondukt zamyka duża, może dwuosobowa grupa ubranych na czarno rowerzystów i motocyklistów. Na jezdni zostają krwawe plamy czerwonych tulipanów. Zwlekamy z powrotem do domu.

A potem będzie tak przez kolejne dni. Nie zapomnimy o nikim. Nawet po zakończeniu oficjalnej żałoby, kiedy ostatnie trumny z ciałami

wrócili do Polski, znajdziemy czas aby stanąć na ulicach, na trasie przejazdu konduktu.



Foto. Krzysztof Mironski

Panią Marię Kaczyńską żegnam z kolegami z pracy. Pojechaliśmy bliżej lotniska. Na pustym odcinku Żwirki i Wigury wydawało się, że nie będzie dużo ludzi. Przez pierwsze minuty stoimy w małych grupkach. A potem z pobliskich biurków wylewa się masa ludzi. Idą, idą i idą, szczerlnie wypełniają każdy skrawek miejsca wzdłuż ulicy. I tak samo w środę wieczorem. Naokoło estakady przy Wawelskiej mnóstwo mieszkańców pobliskich domów. Znów flagi, kwiaty, znicze. Kawalkada trzydziestu trumien w cieniu zapadającego zmierzchu sprawia dojmujące wrażenie, budzi grozę. Ludzie dzielą się tymi odczuciami. Starsza pani z białą-czerwoną opaską (wygląda jak by ta opaska była z powstania warszawskiego) ucisza rozmowy, drżącą ręką wyciąga różaniec i rozpoczyna modlitwę. Przyłączamy się.

- Nie trzeba było czekać aż przywiozą Marię Kaczyńską, trzeba było stanąć już w niedzielę - nasza młodsza koleżanka z pracy ma żal, że nie posłuchaliśmy jej w poniedziałek rano. Dzisiaj zamknęliśmy biuro i wszyscy przyjechaliśmy tutaj. Postoimy w kolejce do Pałacu Prezydenckiego tylko trochę, nie możemy stać aż 14 godzin. Wiemy, że zaraz odejdziemy, ale trudno rozstać się z tymi, którzy przed nami i za nami. Chcemy tutaj być, to w jakiś niewytłumaczalny sposób koi smutek, dodaje otuchy. Podobnie jak wizyty na Krakowskim Przedmieściu w nocy. Nie sposób oddać wyjątkowości tego, co się dzieje. Ktoś mówi: - Nie wszyscy przyszli w szczerych intencjach, niektórzy tylko po to, aby podstawić twarz do kamer, szukają sensacji. - Bóg z nimi - spokojne puentuje rudowłosa dziewczyna.

Kolejna wizyta na Krakowskim. Już ustawiono barierki. Podajemy znicze harcerkom. Obserwuję pewną scenkę i przez moment wydaje mi się, że to kadr z filmu „Jutro idziemy do kina”, że

to jakaś scena z przedwojennej Polski. Otóż wysoki młodzieniec w mundurze harcerza RP podchodzi do stojącego za barierką małżeństwa i młodej dziewczyny. Wita się z nimi szarmancko, całuje kobietę w rękę. Prowadzi wyszukaną i kurtuazyjną rozmowę, następnie przeprasza, gdyż wzywają go obowiązki. Prosi jednak, aby pozwolili swojej córce poczekać na koniec jego dyżuru. Obiecuje odprowadzić dziewczynę do domu.

Dzwoni kolega spod Belwederu. Oddał hołd prezydentowi Kaczorowskiemu. Stał „tylko” cztery godziny. W kolejny dzień, idąc do pracy zapalam lampkę przy zdjęciu Janusza Kurtyki przy IPN-ie na Marszałkowskiej. Obok mnie zatrzymuje się elegancka, starsza pani. Odchodzi, mocno ściskając moje ramię. I jeszcze sobotnia msza na placu Piłsudskiego. Z budynku szkoły opodal hotelu Victoria wysypuje się tłum harcerzy. Przyjechali tutaj z całej Polski, jutro pojadą do Krakowa. Ktoś podaje nam okolicznościowe wydania gazet i nekrologi. Stoimy blisko parku Saskiego, przed nami ołtarz i 96 czarno-białych fotografii. Znów wysłuchujemy na pamięć już znanych nazwisk ze smoleńskiej listy. Wzruszamy się, kiedy Krzysztof Kolberger czyta wiersz Czesława Miłosza „W mojej ojczyźnie”. Przekazujemy sobie znak pokoju inaczej niż podczas zwyczajnej mszy i okazuje się, że wszyscy znamy intonowane przy ołtarzu pieśni.



Foto. Krzysztof Mironski

- Widziałem was na placu Piłsudskiego, też tam byłem - znajomy dzwoni wieczorem, a mnie przebiega przez głowę, że on przecież jest niewierzący. Jakby czytał w moich myślach:

- To nie były tylko uroczystości religijne, to była manifestacja narodowa.

- Ale co to jest naród? - rozpoczynają się długie Polaków rozmowy, często prowadzone przed klawiaturą komputera.

- Naród to również nasza historia i nasi przodkowie. Naród to idea - przekonujemy siebie nawzajem.

Elżbieta Szadura-Urbańska

Arkadiusz Sann

Sołżenicyna magnum opus

Przez wiele lat społeczeństwa krajów tzw. demokracji ludowej żyły w błogim przekonaniu, że oto nastały czasy nieustannej szczęśliwości, w których to czasach, podług patetycznych zapewnień pierwszych sekretarzy, żyje się ludziom lepiej i dostatniej. Przodowała w tej znakomicie zmontowanej propagandzie Rosja Radziecka, z założenia państwo bezklasowe, w którym sprawują rządy ludzie pracy. W tego typu społeczeństwie, według zapewnień propagandy sowieckiej, nie mogło być mowy o jakichkolwiek skrzywieniach politycznych, a jeśli takowe się zdarzały, były to z pewnością elementy obce lub zmanipulowane przez obcą propagandę. I kto wie, jak długo miliony tych ludzi radzieckich żyłoby w tym wyidealizowanym przekonaniu, gdyby nie pewien człowiek, który uznał za swe powołanie dać świadectwo prawdzie. Nazywał się Aleksander Isajewicz Sołżenicyn i to on właśnie odważył się ujawnić prawdziwe oblicze *Sowieckowo Sojuza*. Nie zaszkodzi w tym miejscu przypomnieć kim był i co takiego napisał, że w 1970 roku przyznano mu prestiżową Nagrodę Nobla.

Urodził się 11 grudnia 1918 roku w Kisłowodzku. Studiował matematykę, filozofię, literaturę i historię. W czasie II wojny światowej walczył w oddziale artylerii w stopniu kapitana. Wyróżniony Orderem Wojny Ojczyźnianej i Orderem Czerwonej Gwiazdy. Aresztowany w lutym 1945 roku w Elblągu po tym, jak NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) przechwycił jego list do przyjaciela, w którym Sołżenicyn krytykował sposób prowadzenia wojny przez władzę radziecką. Oskarżony o antyradziecką agitację, na mocy okrytego złą sławą artykułu 58. skazany został na 8 lat wychowawczego obozu pracy. Karę odsiadywał w Nowej Jerozolimie pod Moskwą, w Marfinie i Ekibastuzie. Zwolniony w 1953 roku, osiadł w wiosce Kok-Terek (Kazachstan) na tzw. „wieczne osiedlenie”. Po zdiagnozowanym wkrótce u pisarza raku żołądka, lekarze dawali mu co najwyżej trzy miesiące życia. Tymczasem choroba ustąpiła bez wyraźnych przyczyn, co Sołżenicyn uznał za Boży zamysł. W 1956 roku został zrehabilitowany, i jako nauczyciel, podjął pracę w Riazaniu.

W okresie chruszczowskiej odwilży udało mu się po długich i zmuśnionych zabiegach i protekcjach opublikować debiutancką powieść *Jeden dzień Iwana Denisowicza* (1962), za co otrzymał Nagrodę Leninowską. Wraz z nastaniem rządów L. Breżniewa, dla Sołżenicyna jako pisarza nastały ciężkie czasy - w 1965 roku KGB (Komitet Bezpieczeństwa Państwowego) skonfiskował jego

zakonspirowane archiwum; pisarz otrzymał zakaz publikacji w całym kraju, a w prasie rozpisywano się szeroko o jego żydowskim pochodzeniu i rzekomej współpracy z gestapo w czasie ostatniej wojny. Tymczasem w 1970 roku Sołżenicynowi przyznana została Nagroda Nobla za całokształt twórczości (do tego czasu zdążył opublikować *Krąg pierwszy i Oddział chorych na raka*); wbrew pozorom, nie przyniosło to pisarzowi uznania w kraju, wręcz przeciwnie - w 1973 roku wszechwładny KGB skonfiskował pisarzowi rękopis *Archipelagu Gułag*. Fakt ten skłonił noblistę do nawiązania współpracy z wydawnictwem YMCA Press, co wkrótce zaowocowało wydaniem paryskim *Archipelagu...* W tym samym mniej więcej czasie Sołżenicyn publikuje na Zachodzie *List do wodzów Związku Radzieckiego*. Wszystko to sprawia, że radziecki noblista, po krótkim aresztowaniu zostaje wydalony ze Związku Radzieckiego. Tym samym rozpoczyna się jego kolejny życiowy rozdział - emigracja.

Krótko przebywa w Szwajcarii (Zurych), a następnie wyjeżdża do USA, gdzie osiedla się w Cavendish (w stanie Vermont); tam rozpoczyna pracę nad wielotomową epopeją historyczną *Czerwone koło* (ostatecznie nieukończoną). Skryty, odizolowany od emigracji rosyjskiej, nazywany przez prasę zachodnią „samotnikiem z Vermont”.

Po gorbaczowskiej pierestrojce Rosja przypomniła sobie nagle o Sołżenicynie, przywracając mu w 1989 roku obywatelstwo. Od tego czasu musiało upłynąć jeszcze pięć lat, nim nowo mianowany obywatel Rosji zdecydował się powrócić do swojej ojczyzny. Rząd rosyjski podarował mu posiadłość pod Moskwą, co pozwoliło pisarzowi włączyć się dość prędko w życie społeczne i literackie. W 1997 roku wybrany został na członka Rosyjskiej Akademii Nauk. Aktywny (odczyty, publikacje, występy w TV...) aż do 2008 roku, kiedy to w wyniku zawału serca umiera 3 sierpnia.

Archipelag Gułag jest najbardziej znanym i czytanim dziełem Sołżenicyna w Polsce i na świecie. Celowo używam słowa „dzieło”, a nie powieść, bo *Archipelagu...* powieścią nazwać nie można; to raczej gigantyczne opracowanie sytuacji tzw. zeków i warunków, w jakich żyli w obozach karnych na terenie Rosji Sowieckiej od Czukotki po Krym. Mówiąc bardziej precyzyjnie, jest to anatomia stalinowskiego terroru i bestialstwa. Sołżenicyn był pierwszym pisarzem rosyjskim, który ukazał wszystkie mechanizmy, jakie występowały w obozach karno-wychowawczych na terenie Związku Radzieckiego w latach 1918-1956.

Kto przebrnie przez cały *Archipelag...* ten zrozumie, dlaczego pisarz otrzymał Nagrodę Nobla. Są w tym dziele poruszane niemal wszystkie aspekty - psychologiczne, społeczne, polityczne,

ekonomiczne, etyczne... Każde omawiane zagadnienie jest rozbierane na części pierwsze i skrupulatnie opisywane i analizowane. Opisane są z niezwykłą dokładnością poszczególne grupy więźniów - knajacy (kryminaliści), zeki (polityczni), którzy z kolei dzielili się na poszczególne frakcje i ugrupowania. Warunki, w jakich żyli, gdzie i jak pracowali, co jedli, jak potrafili przechytrzyć strażników, za jakie „przewinienia” zostali skazani, co myśleli, jak się zmieniali, jak się poniżali za kromkę chleba (pajkę), jak umierali... - o tym wszystkim mówi *Archipelag*...

Nic przeto dziwnego, że dzieło to (wydawane pierwotnie na Zachodzie w latach 1974-1991) wstrząsnęło Europą. Nie wiem, na ile *Archipelag*... przyczynił się w Rosji do zrzucenia jarzma totalitaryzmu; moim skromnym zdaniem miał on pod tym względem ogromne znaczenie. Dzieło to jest świadectwem wydarzeń długo i skrzętnie ukrywanych przez władze sowieckie. Z biegiem lat stało się przestrogą i ostrzeżeniem dla następnych pokoleń.

Arkadiusz Sann



Aleksander Solżenicyn - *Archipelag GUŁag 1918-1956*, przeł. Jerzy Pomianowski (Michał Kaniowski), Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2009, objętość - część I-II - 566 str., część III-IV - 616 str., część V-VII - 542 str.

*Zawsze twierdziłem, że los to zły kawał.
Josif Brodski*

Irena Iwańczyk

Cisza
mojego pustego
domku
po rodzicach
jest tak wielka
że nie daje otworzyć
drzwi
A kiedy pokonam
jej opór
trzeszczą otwierane
zamki
pękają welony
pajęczyn
a odgłos kroków
odbija się echem
w rozlanej pustce

Gdy usiądę
w uszach dzwoni
lęk i tęsknota

Rozpalam cierpienie
zamykam w pudełka
klisze podartych spojrzeń

We wrzątku nocy
topię hydrę
okadzam mirrą Twoją głowę
mamrocze słowa znane
z zaklęć czarownic
i czekam
z liną cierpliwości
na szyi
czasu



Irena Iwańczyk,
Mistyka życia,
Polihymnia,
Lublin 2009, ss.100

Krzysztof Nizioł

Tarnogórskie wspomnienia

Pamięć ludzka jest ulotna. Przebieg zdarzeń, w których uczestniczyliśmy, bądź byliśmy ich świadkami, rozmywa czas. Pamięć o ludziach umiera wraz z ludźmi. Zatem obowiązkiem kolejnych pokoleń winna być troska i zabieganie o to, by wydarzenia z przeszłości nie utonęły w mrokach zapomnienia. [...] W przeszłości bowiem szukamy własnych korzeni, w nich odnajdujemy tożsamość i więzy pokoleniowe. Tymi słowami Alicja Malczewska-Mosek w książce *Zatrzymać czas w kadrze pamięci* rozpoczyna swą retrospektywną podróż w strony rodzinne.

Autorka, urodzona w roku 1933 w Tarnogórze, dzieciństwo i lata młodości spędziła w rodzinnej miejscowości, z krótką przerwą na czas nauki w Gimnazjum i Liceum ss. Urszulanek w Lublinie. Jako 24-letnia absolwentka KUL, w roku 1957 zdecydowała się - na zaproszenie przyjaciół - na wyjazd do Gdyni, po to, by - jak sama pisze - *budować swój nowy świat i odnaleźć swe miejsce na ziemi.*

W pierwszej części książki, autorka, na tle ważnych wydarzeń dla historii Polski, przedstawia w ogólnym zarysie historię Tarnogóry, od założenia miasta w roku 1548, aż do wybuchu II wojny światowej. Poznajemy zmienne losy lokalnej społeczności, jej wzloty, upadki i zaangażowanie mieszkańców w działania niepodległościowe.

Część druga to opowieść o szczęśliwym dzieciństwie przerwanych nagle i brutalnie przez wybuch II wojny światowej. Oglądamy, widziane oczami dziecka straszne obrazy wojennej i okupacyjnej rzeczywistości. Aresztowanie przez hitlerowskich okupantów i śmierć ojca (prawdopodobnie został rozstrzelany w zbiorowej egzekucji w Kumowej Dolinie koło Chełma), aresztowanie i wywiezienie matki do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu to tylko niektóre tragiczne wydarzenia z życia autorki, z którymi musiała poradzić sobie ona sama i jej rodzina. Jakby tego było mało, ośmioletnia wówczas Alicja była również świadkiem eksterminacji izybskich Żydów, przeprowadzanej z niesłychanym okrucieństwem przez osławiony duet Engels - Klemm.

Nowa rzeczywistość i nowa władza, która obejmuje rządy po wyzwoleniu, niestety również nie oszczędzają autorki, jej rodziny, jak i innych mieszkańców Tarnogóry. Za działalność w czasie okupacji w organizacjach niepodległościowych, które dla nowej władzy są niewygodne, wielu mieszkańców Tarnogóry i okolicznych miejscowości zostaje aresztowanych i wywiezionych do pracy w łagrach na Uralu.

Jak pisze autorka: *Kilku z nich wróciło w 1945 r., inni później albo wcale. Prawda szeptała o tych wydarzeniach znana była niemal wszystkim. Ale bezpieczniej było o tym nie mówić.*

Książka Alicji Malczewskiej-Mosek to kolejna z wydanych w ostatnich latach prac opisujących lokalną historię widzianą oczami naocznego świadka.

Krzysztof Nizioł



Alicja Malczewska-Mosek, *Zatrzymać czas w kadrze pamięci*, „Archeus”, Gdynia 2009, ss. 128.

Nasi przyjaciele:

Wojtek Mięzał,
Marek Kiciński,
Marian Sawa,
Mieczysław Żebrowski



Alfred Przybysz - grafika

Kazimierz Bolesław Malinowski

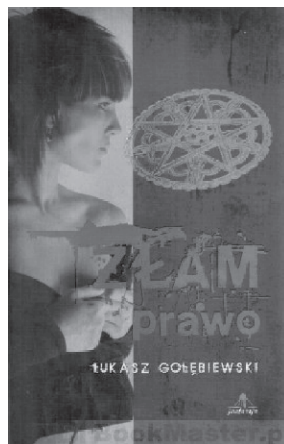
Donergaloda

Łukasz Gołębiowski pisze powieści ze sfer pankowych. Gdyż jest pankiem wciąż not dead, i szczyli się tem. Jego książki *Xenna moja miłość*, *Melanże z żyletą* czy *Disorder i ja* miały pewną dozę uroku wynikającego z utrwalenia obyczajowych obrazków dokumentujących nielekki żywot pankowy, tj. pety, ochleje, upalenia, promiskuityzm oraz elementy infantylniej kontestacji, wyrażającej się w używaniu specyficznych dla tej subkultury gadżetów materialnych i mentalnych. Literatura jakichś specjalnie wysokich lotów nigdy to nie była, ale czasem zdarzał się niemal zabawny humor, jakieś ładne zdanie, no - nie była to grafomania w sensie ścisłym. Powiem wam, to daje radę rozeznaczyć, kiedy autor pisze, bo ma coś do oznajmienia, co wydaje mu się istotne i interesujące, więc oznajmienia warte, a kiedy dusi bo z jakichś innych powodów wydaje mu się, że musi. Ten mus, natręctwo pisania, nazywa się grafomanią.

I tu dochodzimy do omówienia nowej książki Gołębiowskiego, ma ona tytuł *Złam prawo*. Nim o niej zacznę, chciałbym wyrazić podziw dla świetnego znaku graficznego wydawnictwa Jirafa Roja, które daną książkę wypuściło na świat. Zarys czerwonej żyrafy w charakterystycznym rozkroku u wodopoju. Jeden z zajeblistych logotypów jakie znam. Chciałbym polecić dalej superlatywami, ale tym samym ich zapas wyczerpałem. Bo *Złam prawo* to kiepska powieść kryminalna. Czy jest coś w literaturze smutniejszego? Gołębiowski jako dokumentalista obyczajowy może być. To mu jednakże nie wystarcza, tęskni za fabularnymi emocjami z dopalaczem. Póki trzyma się ziemi jest do wytrzymania, bo w miarę wiarygodny. Ale jak rozwija fabularne skrzydła by poderwać się do lotu - jest gorzej. Koledzy z Żoliborza, szczenięce lata, bardzo pięknie. *Nasze żoliborskie podwórko* przy Krasińskiego, z piękną powstańczą, a także socjalistyczną tradycją, wyznaczało przestrzeń naszych zabaw i naszych mitologii. [...] *Robiliśmy nocne wypadki na Cmentarz Powązkowski w poszukiwaniu duchów i strasziliśmy pijaków na sadach Żoliborskich w charakterze wyskakujących zza drzew upiórów. Pyskaci, zadziorni, spragnieni wrażeń. Marzyliśmy, by zostać bandytami, a na razie bawiliśmy się w Indian, przywiązując chudą siostrę Arka i Alka grubym powrozem do drzewa i strasząc wzniesieniem stosu.* [...] Kolejne etapy rozwoju: *sklejałem model krążownika „Aurora”. Z odtwarzacza kasetowego lecał piosenki nagrane z Listy Przebojów Programu Trzeciego: „Pałac” Maanam, „Ten wasz świat” Oddziału Zamkniętego, „Zwierzenia kontestatora” TSA.* [...] *U Lola pierwszy raz usłyszałem punk rocka, źle nagrane na kasetach Stilon-Gorzów koncerty zespołów: Xenna, SS-20, WC, Corpus X, Deuter, Tilt czy Bikini. Pierwsze fascynacje pucią*

lotu w niezwykłości sensacyjne - kolega powieszony na trzepaku, napiętnowany pentagramem, wypatroszony na nim kot. I już nie będzie ucieczki od kulawej intrygi. Bo autor założył sobie, że tego właśnie czytelnikowi trzeba, tego łaknie, więc na wstępie obiecuje solennie: - *Obiecuję, że dalej będzie to, co lubicie najbardziej, czyli jazda bez trzymanki, świntuszenie bez ograniczeń, zero autocenzury.* No więc wszystkie łakocie w kolejnych partiach muszą być dostarczone zgodnie z umową - szatan, narkotyki, seks analny, prostytutki, bo [...] *Samo słowo „grzecznie” mnie brzydzi.* Deklaruje bowiem autor pożądanie niezwykłości, fascynuje go *ból zmieszany z rozkoszą, ślina z krwią, sperma z kałem, piękno z najgorszą ohydą.* Spodziewa się, że tego z drzeniem niecierpliwości oczekuje target jego książki, no więc skwapliwie dostarcza, jak potrafi, obiecanego towaru. I są tacy, co wiedzą, jak tego rodzaju staf klientowi, markowej jakości, dać, lecz tu go nie dostaniemy. Chciałoby się rzecz skwitować słowami Wokulskiego skierowanymi do amanta Starskiego: - *Niech pana to nie gniewa, panie Starski, co powiem [...]* *Pan się myli co do siebie... W panu jest tyle demona, ile trucizny w zapalcie...* Intryga nie podkreśla ciekawości, w kryminale to poważna usterka, co więcej, zdarzają się poślizgi w harlekinowy kicz: [...] *pociągnąłem ją ku sobie, przyłgnęła uległa i ufną, z iskrami miłości w oczach, a może to były tylko odbite ogniki świec?* [...] *mieliśmy się złączyć, oddać sobie w ofierze miłości, stać się jednym ciałem i jedną duszą [...]*. To, co autor próbuje przedstawić jako dojrzewanie do grzechu, jest tylko relacją z pograżania się w kosztowny infantylny banalny paskudności. W tym sensie ta opowieść to konkretny horror. *Byliśmy spragnionymi akceptacji dziećmiakami.* Rozwinięcie tej myśli mogłoby dać autorowi szansę na napisanie dobrej powieści, a tak, mamy jakąś opowiastkę z mentalnych kręgów Dody i Nergala.

Kazimierz Bolesław Malinowski



Łukasz Gołębiowski,
Złam prawo, Jirafa
Roj, Warszawa 2010,
ss 206.

Zbigniew Strzałkowski

 dąc w głąb słowa

Materiał poezji jest słowo. Umiejętność posługiwania się nim świadczy o kunszcie opanowania warsztatu artystycznego. Osiąga się ją po latach uprawiania poezji wzbogaconą o idee, które mają nadal głęboki sens opisywanej rzeczywistości.

Taki tok rozwoju poetyckiego jest charakterystyczny dla Piotra Kupczaka, autora dwóch wydanych tomików poezji: „Nieba otwarte” (Lublin 2003) i „Ukołysz przesnieniem” (Tarnogród 2005). Oba są oparte o lirykę osobistą, pełną refleksyjnych odniesień, często wzbogaconą eschatologicznymi motywami poszerzającymi obraz rzeczywistości - ludzką niedolą, zwątpieniem, samotnością.

Rzeźbienie słów, metafor, ukryta warstwa metafizycznych odniesień, formowały własny świat poety, pełen prostoty opisu krajobrazu, ludzkich przeżyć, dźwięków, niemal bajecznych zwrotów:

Sepiowy wiatr
pogłaskałbym
kędziory falowane
w liściach gorących
wynucić
na wskroś
oczarowanie

Cała poezja autora opiera się na skrótach słów, ich zderzeniu się ze sobą, wzbogacając dodatkowo ich treść paradoksalną swobodą. Jedną z podstawowych cech konstrukcji wierszy jest bogactwo języka podkreślające ich liryczność, melodyjność i delikatność kontemplacji.

Jako teolog z wykształcenia, Kupczak porusza także tematy religijne: znaczenie Boga i mistyki w życiu człowieka oraz franciszkańskiego postrzegania piękna przyrody.

W najnowszych wierszach, publikowanych w „Kwartalniku Tarnogrodzkim”, biłgorajskich „Aspektach”, oraz „Nestorze” kryje się wewnętrzny niepokój moralny oraz niepewność, czy słowo potrafi unieść ciężar przeżyć, czy „to wszystko we mnie jest/ w duszy wolnej tkwi”. Głęboka refleksja opiera się o metafizyczne odniesienia i filozoficzną koncepcję świata: odkrywanie Boga jako Absolutu.

Materia języka jest formowana według założeń ideowych, a także budowania nowatorskich form języka poezji. Autor pamięta, że SŁOWO jest ojczyzną wyobraźni:

Najważniejsze
to słowo
niewypowiedziane
wkłute w granit
dłutem języka
niewykaleczone
otwarcie

w stosownym zdaniu
sprawy

Nielatwo jest wyjść poza granice doświadczeń kultury języka, stworzyć własny arsenał słowotwórstwa i nie zagubić się w schemacie skomplikowanych odniesień poetyckich. Na szczęście, autor ostrożnie porusza się na tym polu, nadając słowom ekspresję ruchową wymagającą myślenia intelektualnego i przestrzegając dyscypliny kompozycyjnej.

Z wielką satysfakcją wchodziłem w głąb poezji Kupczaka, odkrywając w niej lekkość formy, szukanie świeżości słowa, pełnej podtekstów mogących budzić w czytelniku niezgodę na ich znaczenie. Inspirują one do wnikliwego odczytania przemyśleń poety, który boryka się z własnym sumieniem, poszukując zagubionych wartości etycznych we współczesnym świecie, by uratować w sobie człowieczeństwo:

Siedzę odarty
przez siebie z człowieka
w pełnym aniołów
domu bez okien.

Czyż nie jest to liryka mistyczna, przesłanie wiary, tajemnica *sacrum* ukryta w rzeźbie słów, poezja zaskakujących porównań, w których kryje się życie poety i jego marzenia? Poezja to przestrzeń wolności, w której, niczym w ogrodzie naszych marzeń, jesteśmy wiecznością.

Oczekiwany, kolejny tom poezji Piotra Kupczaka z pewnością będzie się różnił, tak w treści, jak i w formie, od poprzednich tomików, które były próbą stworzenia własnego języka poetyckiego, języka słów zderzających się ze sobą, niekiedy zbyt gwałtownie. To doświadczenie kazało poecie zrezygnować, chociaż niezupełnie, z ekwilibrystyki językowej na rzecz jasnego modelu percepcji słownej, na której opiera się prostota konstrukcji wiersza.

Zbigniew Strzałkowski

Piotr Kupczak

Królowa jednej nocy

Cóż noc
dzień
kwiat jeden
dla świata
piwo i film
dzielony pokoik

jutro nie sen
próżne butelki
happy end
twój uśmiech
rozkwiata królowo

Piotr Kupczak**We mnie**

To we mnie jest
ten oczu gest
chłopięcy uśmiech serca
nieskrywany w cień

To we mnie jest
tych oczu treść
zrąb mnogich dróg
po których nie zawsze możesz iść
na piersi klucze do mieszkania
kiedy w niebie gniew

We mnie twój głos
melodia zwierzeń
łyżeczką wybierana
z rubinowych ust

We mnie twych oczu
w zenicie błysk
co cicho trwa
wrześniowy sad
list nigdy nie pisany
wylęcany spotkaniami

We mnie ta noc
plejada spamiętanych zdjęć
pachnący powiew pól
babczyny z masłem chleb
pajęczyn ironizujący śmiech
a w pełni nocy tej
do objęć łatwe
twoje ramiona w deszcz

To wszystko we mnie jest
w duszy wolnej tkwi

A kto wie gdzie
król imion Bóg
jedyne wszechświat cudów
sens dziecięcych stóp

Mariusz Kargul

Podróże z grozą w bagażniku i dreszczem po kościach

W chacie Stefana Dardy panuje od rana niezłe zamieszanie. Wszystko z powodu złotu bohaterów jego powieści. Sam gospodarz krząta się po całym obejściu, by nikomu nie zabrakło miejsca, i każdy mógł poczuć się jak u siebie w domu. Jest już Marek Leśniewski, który mówi, że podobno Baśka szuka go po całym Lublinie i Wrocławiu, ale on jej przecież tłumaczył, że to nie ma sensu, bo i tak w Wielki Piątek spotkają się w Wyřbach. To już nie jego wina, że niektóre ślamazary zbaczają w Słoneczną Dolinę, nie wiadomo czego tam szukając, a potem wieje od nich starzyzną. Podobnie jak z narwanym starszym Kowalikiem. Wyślij chłopca po samogona, to zwlecze ci wygon. Wygoń po filety z kurczaka, zrobi ci z puszczyka. Basia zresztą już dawno zastrzygła sobie, że ma to i owo do powiedzenia Leśniewskiemu, więc może być ostro.

Nie sztuka zaludniać swe powieści wieloma bohaterami. Trzeba umieć potem się nimi zaopiekować. Zdarza się bowiem, że opuszczone przez autora „dzieci” błakają się potem długo i bez celu po bezdrożach literatury. Nikt im szklanki wody nie poda, nie mówiąc już o krwi w przypadku wampirów. A na gościńcach słychać jeno skowyt i zgrzytanie zecerów. Bohater, nawet najbardziej negatywny, swoje prawa posiada. Może kiedyś się całkiem zdenerwować i założyć taki na przykład związek zawodowy. Ależ wtedy autorowi będzie tyso i nie do śmiechu! Nie grozi to na szczęście Stefanowi Dardzie.

Tam u niego, na zapiecku, siedzą sobie i grzeją kości imaginacyjne persony, które akurat długie zimowe wieczory rozprawiają o dziwach świata tego. I nie tego także. Podają sobie z ust do ust opowieść, jaki to ich pan jest dobry i szlachetny, bo po pierwsze je wymyślił, a po drugie, bezczelnie nie wyrzucił do kosza, kiedy upłynął okres karencji grozy. To się chwali. Ci, którzy zadowolili się na dobre w „Słonecznej Dolinie” wiodą dyskurs ze starymi znajomymi z „Domu na wyřbach”. Mają dzięki temu okazję do prześledzenia drogi, jaką pokonał ich „papcio” między zdaniem: „Spojrzenie zza płotu niemal paliło plecy” i zdaniem: „Kołysanki nuconej cienkim, dziewczęcym głosikiem...”. A co też tam się będzie jeszcze w „Starzyźnie” wyprawiało, ojej!

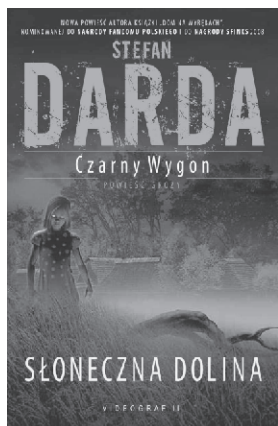
Stefan Darda na początku kariery literackiej jawił się przecież swoim bohaterom jako bardzo utalentowany i pracowity młody człowiek, który dosiadł Pegaza, chwycił na siodło Muzę i teraz nie wie za bardzo, co z tym fantem zrobić. Kobyłka, czyli Pegaz u płotu, Muza czyli wena za drzwiami, bo pisarz nie przyjmuje jej istnienia do wiadomości, i rób co chcesz. No, ale się jednak debiutant zaparł i wydał. Widać rzemiosło przypadło mu do gustu, bo nie osiadł na laurach po pierwszym sukcesie, a już

myśl świeżą i koncept rączy, jał przekuwać w sukces drugi, którym rychło stała się „Słoneczna Dolina”. Czarno na białym widać, tak jak czarny może być tylko „Wygon”, że lubycki podłotek zdążył obrosnąć w literackie piórka. Już nie „autor książki” a „pisarz”, nie nowicjusz w terminie a sprawny fehmistrz słowa. Coś tam musiało się kiedyś stać nad jego kołyską, coś co z czasem przebiło skorupę powszedniej codzienności, wypełniania służbowych poleceń, stawiania się na czas i obowiązku wezwania. I to cały czas rośnie, rozpiera powoli zastane formy. Autor coraz bardziej lawiruje ku niezbadanym a jakże kuszącym regionom znaczonej literackim znojem, bólem tworzenia, ale i nagrodami dostępnymi tylko nielicznym.

A to jest straszny zew i wyzwanie. Zew krwi i zapach prochu. Wyzwanie, które autor rzuca sam sobie, mocując się z własną słabością, ograniczeniami, wątpliwościami. To rękawica, którą rzuca sobie w przyłbice, to miecz wsparty o tarczę, koń nad brzegiem jeziora, stopa w strzemienu, ręka na łące. A nieopodal skromny starszy pan - czas - z biletem w jedną stronę i przepustką do raju albo niebytu. Weź tu człowieku mądry bądź i pisz książki! Może tak lepiej wypłatać się z tego, póki fama nie poszła w świat, a dzieci nie krzyczą twego imienia po ulicach?

Koń jednak to rozumie, delikatnie stuka kopytem w czoło autora i każe pakować mu swoją doczesność na siodło i ruszać na podbój wieczności. Stąd nie ma odwrotu. Bolejesz, więc pisz! Piszesz, więc boleć! Płacz, ale nie puszczaj pióra z ręki! Głoduj i żuj skrawek pergaminu, ale nie pękaj, boś nie byle łyk, co za miskę grochu gotów sprzedać ostatnią parę gaci strachowi na wróble! Jeszcze ręka sprawna, ciało gibkie, umysł jasny i wolny. Płodź nowych bohaterów, zaludniaj nimi krainy z jawy, pogranicza i snu! Nie bacz na łaskę krytyki, ta na pstrym koniu jeździ, łaknij uznania czytelnika! Z niego wszak żyjesz i w nim żyć będziesz.

Mariusz Kargul



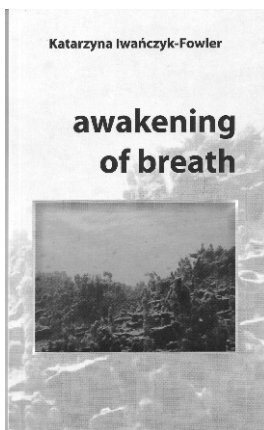
Stefan Darda, „Czarny Wygon. Słoneczna Dolina” (powieść grozy), Wyd. Videograf II, Chorzów 2010, ss. 269.

Katarzyna Iwańczyk-Fowler

nadzieja co przychodzi
za pieniądze jak prostytutka
rankiem podciąga majtki
i uśmiecha się bezzębnym uśmiechem
matka córka żona
podglądają przez dziurkę od klucza

rozglądam się dookoła
i nie znajduję niczego
oprócz nicości
która zagrzebuje się jak robak
w moim sercu
dziurawym
miłość przecieka na podłogę

tylko najwięksi poeci
krwawią w świetle księżyca
tylko najwięksi są samotni
wyjąc do księżyca
w bezsenne noce
tylko najwięksi noszą nieuleczalny smutek
w oczach
wiedzę nieuniknionej klęski
bycia kimś kim nie możesz być



Katarzyna Iwańczyk-Fowler, *Przebudzenie oddechu / Awakening of breath*, Polihymnia, Lublin 2009, ss. 79

Kazimierz Bolesław Malinowski

Drag nach Osten

Kto dziecięciem będąc, oglądał „Czterech pancernych” i Klossa ten wszystko, co trzeba wie. Natomiast od czasu, kiedyśmy zrzucili bolszewickie jarzmo i przystąpili do UE zarysowują się tendencje do pewnych korekt, drobnych zmian ujęcia problematyki WW2. Idzie o to, żeby druga, dotąd zakneblowana strona mogła wyartykułować swój aneks. No bo przecież nikt rozsądny nie będzie twierdził, że proces w Norymberdze dał Niemcom tę szansę, za dużo było wtedy emocji, a one nie służą sprawiedliwości. A teraz nowa szansa jest, Bundeswehra otwiera w Dreźnie, jakże ciężko doświadczonym w czas wojny, wielkie muzeum wojskowości, w Berku powstaje inne muzeum - wypędzonych, Widoczny Znak. Słowem - Niemcy dojrzeli, chcą się z nami pojednać, ludność Generalnego Gubernatorstwa na to zasługuje. Zgoda buduje, niezgoda rujnuje.

Kiedyśmy już przeczytali u Hermana Hessego o mistycznej *Podróży na Wschód*, warto by omówić relacje z podróży jak najbardziej konkretnej w tym właśnie kierunku, którą odbyli najlepsi synowie Rzeszy i narodów sprzymierzonych, w wieku poborowym, w latach 41-45 ubiegłego stulecia. Czas na cierpliwe wysłuchanie ich narracji. Wspomnienia. Oto Helmuth Nowak - *Walczyłem pod Kurskiem oraz Walczyłem pod Kijowem*. Guy Sajer - *Zapomniany żołnierz*, Leon Degrelle - *Front wschodni 1941-1945*. To było, to se ne vrati. A co mogłoby być? Literaturę faktu skontrapunktujemy dotyczącą zagadnienia fikcją historyczną Otto Basila - *Brunatną rapsodią* i Roberta Harrisa - *Vaterlandem*. Warto dodać, że motyw zwycięstwa Osi w WW2 jest motywem często przewijającym się w historical fiction, by wspomnieć choćby *Człowieka z Wysokiego Zamku* Dicka, *Wszystkich zdolnych do noszenia broni* Łazarczuka czy *Szturm przez Gruzję* Stirlinga. *Deutsche Soldaten siegen in allen Fiktionfronten!*

Chwilowo jednak przejdźmy do memuarów. Helmut pisze: *Wyczerpany, ranny i niemal oday z uczuć wróć do mojego rodzinnego Lipska, miasta poetów i uczonych. Wyjeżdżałem stamtąd, zdawałoby się przed milionami lat, przepelnięny marzeniami o podporządkowaniu całego świata. Boże, broń nas przed marzeniami, które się spełniają! Stałem się dumnym żołnierzem najlepszej armii, jaka kiedykolwiek istniała w dziejach. Jako oficer niepokonanego Wehrmachtu, jako prawdziwy zdobywca, przeszedłem połowę Europy. Maszerowałem przez Czechosłowację, Danię, Belgię, Luksemburg, Francję, Rumunię i moją ukochaną Grecję. By na koniec grzęznąć w rosyjskich mokradłach, błądzić w rosyjskiej głuszy,*

*ginać marnie na niekończących się rosyjskich równinach. No więc właśnie - Rosja. Tu się zaczęły przykrości. Tu jebnął się ów śmiały plan uporządkowania Europy. Bo, powiedzmy sobie otwarcie - wierutną bzdurą jest teza, że początkiem zjednoczenia Europy była Europejska Wspólnota Węgla i Stali. Degrelle: *bo Europa zjednoczona, dla której walczyliśmy, jest jedyną możliwością przeżycia - i być może ostatnią - starego, wspaniałego kontynentu, przystani łagodności i ludzkiego zapału, kontynentu, który został podzielony, rozdrobniony, śmiertelnie rozdarty... Być może nadejdzie dzień, w którym pożałujemy, że obrońcy i twórcy Europy ponieśli w 1945 roku porażkę. Taktyczną. I tylko pewna formuła europejskiego zjednoczenia. Ale geopolityka rządzi się swoimi prawami, i co się odwlekało to nie uciekło. Nowak się martwi, na zapas: *Samo słowo „Niemiec” napawające mnie rzeczywistą dumą, w ciągu ostatnich kilku lat stało się w świecie niemal obelgą. Z pewnością ma to związek z masową, prymitywną, nieprzyjacielską propagandą kierowaną do milionowych rzesz odbiorców. Cóż, gorzyc tych słów jest zrozumiała, bo były pisane pod wpływem przygnębienia po nieudanej misji pokojowej 39-45. Młodzi Europejczycy dali z siebie wówczas wszystko. Degrelle: *Dokonałi natychmiastowego wyboru pomiędzy tysiącletnią Europą a zagrożeniem sowieckim, przerażającą niwelacją, zalewem przez kłębiące się dzikie plemiona. Powstała młodzież z czterech stron świata. Do walki o Europę stanęli jasnowłosi giganci ze Skandynawii i krajów bałtyckich, długowłosi węgierscy marzyciele, krępi i śniadzi Rumuni, potężni Chorwaci w fioletowych opończach, sentymentalni fanteści z Włoch, Hiszpanie o czarnych oczach, kpiarscy Francuzi, Duńczycy, Holendrzy, Szwajcarzy. Stawiły się wszystkie narody. Stawili się, rzecz jasna, jak Leon, w szeregach Waffen SS (a Polacy, gdzie Polacy?, zamiast się stawić, się stawiali). No tak, nowoczesna Europa powtarza filogenetyczne fazy rozwoju swojego antycznego greckiego embrionu. Ateny, Sparta i reszta Hellady plus kolonie, wieczne rozbicie, kłótnie domowe, mobilizacja tylko wobec potężnego przeciwnika z zewnątrz. Marsz Aleksandra, Ottona, Napoleona. I oto pojawiają się azjatycko-bolszewickie hordy, i wybawienie, wódz z wąsikami, który potrafi zjednoczyć przeciw nim państwa-miasta. Kierunek - Wschód. Mistyczny, nieobjęty, NIEUPORZĄDKOWANY, i Europa, ze swoim higienicznym natręctwem, potrzebująca Lebensraumu jak powietrza. Wojownicze chłopaki czują w powietrzu przygodę życia. Odradzająca się wielka Rzesza Niemiecka, oparta na doskonałym fundamencie socjalnym, rozciągająca się od Morza Północnego do Morza Czarnego i Wołgi stanowiłaby tak wielką potęgę, byłaby tak atrakcyjna, oferując dwudziestu narodom stłocz-****

nym na Starym Kontynencie tak wielkie możliwości rozwoju, że jej terytoria bez wątpienia stałyby się punktem wyjścia dla utworzenia federacji europejskiej, której pragnął Napoleon, o której myślał Renan, którą prorokował Wiktor Hugo. Degrelle był dowódcą Legionu Walońskiego SS. Ale co?, jakieś dąsy?, Waffen SS nie brzmi dobrze? Jesteś ofiarą prymitywnej nieprzyjacielskiej propagandy? A Gincio Grass, socjaldemokratyczny pocziwina, który tak ładnie w *Blaszany bębenku* opisywał obronę polskiej poczty gdańskiej, to kurde gdzie służył? Ba! Na ochotnika zgłosił się. Zakładając mundur miał 17-tkę, tyle co Sajer, co swoje odsłużył w sławnej dywizji Grossdeutschland. Błędy młodości, powiedzmy.

No więc wszystko szło dobrze, aż do kontaktu z dzikimi plemionami, pokurczonymi słowiańskimi podludźmi. Już Polacy robili problemy, brak paneuropejskiej kumacji, a sowieccy łachmaniarze to w ogóle Azja. Ze szmajserem wśród zwierząt. W czerwcu 41 to było euforyzujące safari. Od 42. - berek! Teraz armię Herrnvolku gonią Untermenschen! Bo wspomnienia Degrella, Nowaka i Sajera są właściwie kroniką przestawnego lania. Poważne kłopoty zaczęły się już zimą 41. Mamy trójęgłos, o tym jak kulturtragerzy zostali źle potraktowani przez tę półdziką swołocz oraz niełaskawą przyrodę. A każdy głos w swoim rodzaju. Degrelle to ideowy naziol, usytuowany blisko najwyższego żłobu, Standartenführer SS, fanatyczny fan Adolfa. *A ja widziałem tylko oczy Hitlera, czułem tylko, że jego dłonie ściskają moją prawicę, słyszałem tylko głos, nieco chrapliwy, który witał mnie i powtarzał: „Bardzo się o pana niepokoiłem...”* Wzruszony zauważa jak wodzowskie: *Plecy lekko się przygarbiły od ciągłego pochylania się nad mapami i od dźwigania ciężarów całego świata.* Język opowieści Leona D. jest barwny, ale miejscami nieznośnie bombastycznie egzaltowany. Opisy bitewne przypominają batalistykę tolkienowską. Siły jasności, piękni i czysti wojownicy dobrej sprawy eksterminują szkaradne, parchate i nie-okrzesane masy durnowatych orków. *Wyglądali jak bagienne potwory: oblepieni błotem, zarośnięci, o płaskich i czerwonych policzkach, szczyrzyli w uśmiechu żółte zęby. Potem połykali cokolwiek i zasypiali gdziekolwiek, jak zwierzęta, pochrapując, mrucząc i roztaczając przyprawiający o mdłości smród potu i mokrych ubrań.* Czytając to, poczułem się sportretowany. Oto ścierają się w śmiertelnej walce dwie zasady - prężny duch Zachodniej Europy, germański geniusz organizacyjny i techniczny ze swoim umiłowaniem porządku i higieny, oraz siły chaosu, słowiańsko-azjatycka stajnia Augiasza ze swoim śmierzącym wielorasowym bydłem. Jedzie Leon stylem reportażowym ze sporą dozą krępkiego żołnierskiego humoru, czę-

sto ocierającego się o makabreskę, a za chwilę przechodzi niemal, poważnie mówię, w poetycką prozę i wtedy można odnieść wrażenie, że to jakiś figiel psychopaty. A mimo tego, i - paradoksalnie - może właśnie również dzięki temu, to kawał dobrej literatury. I tylko kubełek wody z lodem po tym szampanie, raz za razem, ta spontaniczna pogarda dla niechlujnych tubylczych małpoludów. Pocziwiy, inteligentny, rubaszny, romantyczny ideowcze, czy w naiwności swojej nie kumasze, że mówisz jednym głosem z kolegami z Einsatzgruppen, którzy na tyłach twoich oddziałów ustawiają tych podludzi tysiącami nad głębokimi dołami? W tym momencie kretynizm etyczny tak mocno oddziałuje na estetykę formy, że ją uszkadza. Geniuszowi do twarzy z szaleństwem, ale nie matolectwem. Kwestionując człowieczeństwo innych ludzkich istot, przekreślasz swoje własne. Ferszteen zi? *Dzieciaki podobne do małpek na katarynkach [...].* Ty postawny, zachodnioeuropejski, dobrze wykształcony, z dużego miasta skurwysynu... Dlaczego dziwisz się, że opór okrzepł, kiedy małpki lepiej poznały twoją ofertę? Parada oddziałów SS Wallonien w Brukseli, kwiecień 44: *Mój transporter zatrzymał się przed kolumnadą Giełdy. Posadziłem na pancerzu poruszoną gromadkę moich dzieci. Czułem w dłoniach ich gorące malutkie rączki.* To były te inne dzieci. Nie () podobne do małpek na katarynkach. W postłowie do polskiego wydania pt. *Rycerski epos Leona Degrella'a* Paweł Wieczorkiewicz napisał: *Na zderzeniu dwóch postaw - zaangażowanego uczestnika i beznamietnego obserwatora-portrecisty - polega wielkość tej książki, która zostałaby z pewnością obsypana najwyższymi literackimi trofeami z należną jej literacką Nagrodą Nobla, gdyby tylko posiadała słuszne konotacje ideowe.* Przesada! Korpus SS musi się zadowolić rzetelniej zasłużonym nobelkiem Grassa.

Nowak dla odmiany, jest sentymentalnym drobnomieszczkańskim cwaniaczkiem, mikronapoleonikiem. Pisarz z dolnej póły interesującego archiwum. Typ gawędziarza, który przecenia swoją rolę w wydarzeniach. Wszystko wie lepiej od sztabu, krytykuje Wodza (ex post, niechby coś pisał na froncie!), sam zawsze by zrobił lepiej. Cholernie chce zdobyć Krzyż Rycerski, ale choć kilka przynajmniej razy nań zasłużył, ciąży nad nim fatum. *Ja zostałem odznaczony dwukrotnie Krzyżem Żelaznym, a biorąc pod uwagę olbrzymie znaczenie właśnie rozpoczętej ofensywy, miałem nadzieję, że tym razem zasłuży na Krzyż Rycerski. [...] Może to właśnie było przyczyną, że tylu lotników mogło się pochwalić Krzyżem Rycerskim, niemal nieosiągalnym dla zwykłego żołnierza wojsk lądowych. [...] Za ten husarski wyczyn [...] pułkownik Messner podał mnie do odznaczenia Krzyżem Rycerskim. Ostatecznie jednak go nie dostałem.*

Nie chcą go też awansować, bo jest praktykującym katolikiem i ma słowiańskie, pech!, nazwisko. Zdarzyło mu się, rannemu po ewakuacji, leżeć w warszawskim szpitalu. Zateśknął za posługą duchową. Ordynator mu tłumaczy: *Polacy nienawidzą nas jak zarazy [...] dlatego zabrania się wzywania do pacjentów polskich duchownych. [...] Polacy są niepoprawnymi romantykami - zobaczą rannego oficera, a jutro gotowi wznieść tu powstanie. [...] Dopóki budzimy w nich respekt, jest dobrze. Gdy młody Polak zobaczy niedomagającego porucznika, natychmiast go zaatakują, by zabrać mu pistolet. Wreszcie skołowali mu niemieckiego księdza, ale jakiegoś lewego: Łata pobytu w Polsce sprawiły, że wydawał się być bardziej Polakiem niż Niemcem. Zaczął mi opowiadać o wszechmogącym Bogu, który w jego opowieści stawał się dziwną mieszaniną wielu ras i kultur, po trosze Rzymianinem, a po trosze Polakiem, Niemcem, a nawet Żydem. Żydem! O, mein Gott! (Spokojnie. Brunatna rapsodia, Otto Basil - Instytutowi Indogermańskiej Historii Duchowej w Monachium po długoletnich badaniach udało się uzyskać niewątpliwy dowód, że Frauja-Chrystus był blondynem i miał niebieskie oczy. Wywodził się z trackich książąt, którzy w okresie wojen między diadokami zostali uprowadzeni na Wschód w charakterze zakładników). Dalej, Nowak, niezadowolony z posługi duchowej: Gdy tylko ksiądz poprosił mnie, bym pomodlił się z nim, a potem wypowiadał, grzecznie podziękowałem i odmówiłem. Nie chciało mi się powierzać moich najskrytszych tajemnic jakiemuś dziwakowi [...]. Potrzebowałem niemieckiego księdza. Surowego, a przy tym godnego zaufania kapłana, przed którym czułbym respekt. Gott mit uns, und sie sind Deutsch! Helmuth, podleczoney, wraca na Ostfront do roboty, stara się jak wszyscy i nic. Więc w powietrzu wisi jakiś skandal, zwycięstwo, które było w zasięgu ręki oddala się: Przegrana na pewno nie ucieszy nikogo na świecie, ale na twarzach Niemców widywałem oprócz oznak zmęczenia i wściekłości, także wyraz najgłębszej krzywdy: Jak mógł nas pokonać taki prymityw? Dlaczego Pan Bóg pozwolił na to, żeby wygrali z nami podludzie? Nowak jest porucznikiem (oberleutnant) rycerskiego Wehrmachtu, krzywym okiem patrzy na ważniaków z SS, dąsa się, że psują Niemcom imidż - Zwłaszcza jednostki SS już od pierwszych dni wojny na Wschodzie postępowały ze szczególną bezwzględnością. Ale sam przyznaje: Nie wystarczyło pokonać Rosjan. Jeśli chcieliśmy zwyciężyć, to musieliśmy ich bezlitośnie wytępić.*

Guy Sajer, *Alzatzczyk. Zapomnianego żołnierza* wydał w 1967, w Paryżu. Ojciec - Francuz, mama - Niemka, na wojnie był zwykłym szeregowcem. Został wcielony do Wehrmachtu jako

17-letni młodzieniec. Trafił na wschodni front w 42. zimą. To był czas likwidacji stalingradzkiego kotła. Trafił do elitarniej dywizji Grossdeutschland. Przeszedł cały szlak od kopa do kopa, Kursk, odwrót za Dniepr, Rumunia, Prusy Wschodnie, Pomorze, Kilonia. Jego wspomnienia są najbardziej literacko dojrzałe. Bowiem dojrzało na wojnie, o ile można o tym na podstawie książki sądzić, również człowieczeństwo Sajera. Zero bohaterskiej tromtadracji. Elementy wrażliwości we wnikliwej obserwacji psyche ludzi poddanych ekstremalnemu stresom. Ładne opisanie anatomii braterstwa broni jako intensywnie przeżywanej przyjaźni na ostrej krawędzi życia i umierania. On nie spotykał się z Hitlerem, ani nie ślinił się na myśl o cukrowej feldmarszałkowskiej buławie. Trzyma się przytomnie konkretnego. Jeden z niewielu ustępów kiedy pozwala sobie na bardziej ogólne dywagacje, uroczno, he he - bezpretensjonalne: *Handlarze godni stryczka! Nie mogąc już sprzedawać czarnuchów, wynaleźli prawie tak samo dochodowy interes, sprzedając teraz białych czarnuchom! [...] Może to kiedyś obróci się przeciw nim? Nigdy nic nie wiadomo. Hitler i Mussolini mieli inny styl. Potrafili przeciwstawić się dawnym konwenansom i potentatom wszelkiej maści: przemysłowcom, masonom, Żydom, klechom. W tamtych czasach wszystkie te płaszczące się gnuśne indywidua umierały ze strachu, patrząc na swoją kiesę, z której dyrygent Hitler czerpał pełnymi garściami. Oczywiście skreślał ich ze złości, kiedy widzieli, jak wszystkie te pieniądze trwonione są na budowę wielkiej opery. [...] Cały czas mają pietra. Są teraz zdani na łaskę pierwszego lepszego dyrygenta, czarnego albo żółtego, który może z nimi zatańczyć inaczej. Lecz taniec ten nie będzie europejski, a oni nie będą tego w stanie pojąć.*

Zaryzykowałbym porównanie prozy Sajera do dokonania literackich Ernsta Jungera. Ten sam, nieprostactkimi środkami ukazany patos poświęcenia i koleżeństwa, gorzki, sceptyczny, ale gorący patriotyzm. Podobnie przekonująca relacja z rozpaczliwej próby zachowania człowieczeństwa w sytuacji, kiedy jest to właściwie niemożliwe. Z nim mógłbym się napić, ale odchodzi mi ochota kiedy czytam: *Lindberg chichocze. Przypomina ostatni wypad z Lensenem, Pferhamem i Solmą. Czwórka kumpli osaczyła w stodole czterdziestoletnią Polkę. Paniusia użyczała swoich wdzięków przez cztery godziny, jakie im pozostały do końca czasu wolnego. Jej mąż pojawił się akurat, kiedy byliśmy „w trakcie”! - rechocze Solma. - Facet śmiał się razem z nami: „Mamuśka już trochę stara i dla mnie, i dla was!” - mówił. Potem opróżniliśmy z Polakiem gąsior alkoholu. Facet był szczęśliwy, że mógł się z nami napić. On sam jest bardziej powściągliwy. Zakochał się szczeniącą*

miłością na kilkudniowej przepustce w Berku. *Ciągle jestem zakochany w Pauli; często do niej piszę. [...] Ale nie tylko o to chodzi. W takich sytuacjach czuję się nieswojo. Coś mnie odrzuca. Jak tylko zobaczę nagie ciało, boję się, że za chwilę zobaczę wypływające z niego wnętrzości. Ach, miłosne podboje na froncie wschodnim! Degrelle o tym nie pisze. Czasem tylko łypnie łaskawym okiem na jakąś jędrną humanoidalną autochtonkę. Rycerz SS zachowuje milczenie w kwestii erosu. Jakież echa: *W kotle nie było bandaży. Żeby zdobyć coś, czym można by opatrywać rany, sanitariusze musieli zdzierać z chłopów wojskowe kałesony, prezenty od Don Juanów z niemieckiej armii.* Nowak znowu - bardzo jest kochliwy. W Paryżu poszedł do burdelu spróbować jak to jest. Ohyda, nigdy więcej - skonstatował. W Heimacie uwiódł córkę dowódcy, zrobił dziecko kuzynce, której nieobecny mąż walczył w Deutsche Afrika Korps. Potem był skłonny do romansu z rosyjską fryzjerką na tyłach, ale okazała się szpionem. Znow go koledzy zaciągnęli do frontowego burdelu. Tam obiecał sobie, że da dziewczynie spokojną noc. Położył się w mundurze do wyra i kłoda. Po francusku wiersze sobie mówili, Apollinaire'a. Opowiedziała mu swoją historię. Wreszcie nie wytrzymała i przeszła do szturm - *Jaki jesteś miły - szepnęła rozespana. Przycisnęła się do mnie jeszcze mocniej i zaczęła mię pieścić. - Naprawdę mnie nie chcesz? Naprawdę? Cóż było robić. Potem chciał znow wrócić do tej dziewczyny, do tego burdelu. - Ale z ciebie naiwniak, Helmi - stwierdził z uśmiechem. - Co ty tam o tym wiesz? Nie zapytałeś? Nie przyszło ci to do głowy? Gdy tam byliśmy, te dziewczyny kończyły właśnie turnus. - No to co? Co to znaczy? Nie będzie ich tam, będą gdzie indziej, gdzieś je wreszcie znajdziemy. - Chłopcze złoty - westchnął mój przyjaciel - Ty naprawdę niczego się nie domyślasz. [...] Gdy tylko odbębnią te swoje sześć miesięcy, nigdzie już nie zostają przeniesione. Wezmą im wszystkie te piękne suknie, które najpierw im dali, załadują do ciężarówek i odwożą kawałek za miasto... - Niel - krzyknąłem, ale przyjaciel mówił bezlitośnie dalej. Piękny temat na żołnierską piosenkę, konkurencję dla *Lili Marleene* - Gdzie jesteś dziewczyno z frontowego burdelu? Tęsknię i pragnę być znow z tobą.**

Chłopcze złoty, ty naprawdę się niczego nie domyślasz. Naprawdę? To osobny temat. Generalnie, o dobrą samoocenę moralną dzielnych żołnierzy niezwykłego Wehr musiał dbać SS. W zamian czarna niewdzięczność. Nowak: *Ci z SS lubią wciągać armię we wszystkie swoje brudy.* Ale na wojnie, jak to na wojnie, czasem zdarzy się wypadek przy pracy i relatywnie uczciwemu wehrmachtowcowi. Po antypartyzanckiej leśnej akcji,

Nowak idzie w krzaki zrobić klocek. Pada strzał. - *Rozwalcie granatami tę przeklętą norę - krzyknąłem do żołnierzy. [...] - Odnieśliśmy kolejne wiekopomne zwycięstwo - obwieścił Wenck, gdy było już po wszystkim. - W tej dziurze skrywało się siedem kobiet i jedenaścioro małych brzdąców.* Czasem zdarzy się parę wypadków pod rząd, i już czarny PR przykleja się jak w/w klocek. Bardzo przykre historie z radzieckimi jeńcami. Bardzo przykre. Na pierwszej linii nie było najgorzej. Sajer i kumple wymieniają się z jeńcami, niemieckie Juno za machorkę - egzotyka. Śmiechy, napięcie puszcza. *Zapomnieliśmy o rzekomej nienawiści, jaka nas dzieliła. [...] Czy jutro będziemy musieli rozstrzelać tych ludzi? To niemożliwe! Teraz to już nie jest możliwe.* Wy nie, inni wezmą na siebie ten ciężki obowiązek. Heinrich Himmler: *Większość z was wie, jak wygląda sto rzuconych obok siebie trupów. Albo pięćset. Albo tysiąc. Patrząc na to i - nie licząc kilku wyjątków, spowodowanych zwyczajną ludzką słabością - pozostać przyzwoitym człowiekiem - to właśnie sprawiło, że staliśmy się twardzi. Ale ta chwalebna stronica naszej historii nie może i nigdy nie zostanie zapisana. Tajna mowa do wyższych oficerów SS. Poznań, 4 października 1943.* Tym cytatem rozpoczyna jeden z rozdziałów swojej powieści *Vaterland* Robert Harris. Powieść fantastyczna, cytat autentyczny. W trakcie cytowanej mowy wierny Heini pytał retorycznie - *Stanęliśmy przed pytaniem: a co z kobietami i dziećmi?*

Nie, zaraz, odpocznijmy chwilkę nim pojedziemy z tą tematyką od której trudno dyszeć. Luźne dygresje. Ciąg swobodnych skojarzeń. W kotle pod Czerkasami było gorąco. Leon De uwijał się jak bączek, zagrzewając swoich Walończyków do wytrwania. Dużo zajęć, mało snu. *Walczyłem z sennością przy pomocy „Pervitiny”, narkotyku, jaki dawano pilotom, żeby nie zasypiali podczas lotów. [...] Powietrze zrobiło się ostre. Przy pomocy kilku „Pervitin” w końcu dojdziemy do zwycięstwa!* Ach, Pervitina, nazistowski spid, amfeczka, przecież dr Morell, przyboczny lekarz Wodza, dodawał mu ją do słynnych wzmacniających koktajli witaminowych w szprycy. Kłuł go, mchm. Ba! Pijawki przystawiał. A one nakarmione tą szlachetną krwią nieoczekiwanie zdechły. Możecie to sprawdzić w jego dziennikach odnalezionych przez pana Davida Irvinga, jest polskie wydanie. Ten cholerny Morell zrobił z Wodza pod względem saturacji farmakolo istnego Majkela Dżeksona. To są fakty. Wódz miewał kolki i zaparcia. W ogóle kłopoty z przewodem. Morell zalecił mu kiedyś lewatywę, to było chyba już po Kursku. Tu pojawił się problem zasadniczy. Kto wykona zabieg. Brzuszek boli, Rzesza walczy. To chyba jasne, że ten, kto by włożył Wodzowi rurkę do dziurki musiałby zaraz potem

zginać. Racja stanu. Ale On potrafił podejmować śmiało decyzje. Zażądał od doktora naładowanej gruchy i poszedł do klo. Sam. Silny człowiek jest najsilniejszy, kiedy jest sam, zwykł powtarzać za Nietzschem. Potem przez adiutanta dał doktorowi cynę, że wszystko wporzon. Wała! Nic nie było wporzon. Wszystko było niewporzon! Dobra, jedźmy dalej.

No więc tematem przewodnim Vaterlandu jest tzw. kłamstwo oświęcimskie, polegające na tym, że nikt nic o Auschwitz nie wie. No może niezupełnie nikt, i na tym polega problem. Jest w tej alternatywnej rzeczywistości rok 1964, Dojczland wygrał WW2, spuściwszy w decydującym momencie atomówkę, którą zdążył ośwodzić, na miasto Londyn. Teraz normalizacja, stabilizacja, tylko na Uralu chroniczne starcia ze wspieraną przez USA ruską partyzantką. Ale dążące się dotąd Stany dojrzały do odprężenia, prezydent Joseph Kennedy ma złożyć staremu Führerowi wizytę w Berku. Bohaterem opowieści jest Xavier March, były załogant U-boota, obecnie 42-latek, funkcjonariusz Kriminalpolizei, Sturmbannführer SS. Wzywają go nad rzeczukę Hewelę do topielca, beznogiego starucha, bezjednonogiego. Namierzył go podczas porannego dżogingu SS-Schutze Friedrich Jost, dekadenski młodzieniec. Tak! Dekadent w SS, czasy się zmieniają. *W minionym roku March widywał wielu ludzi podobnych do Josta. Z każdym rokiem było ich coraz więcej. Buntujących się przeciw rodzicom. Kwestionujących obowiązki wobec państwa. Słuchających amerykańskich radiostacji. Wymieniających między sobą niewyraźnie odbite kopie zakazanych książek: Güntera Grassa i Grahama Greena, Georga Orwella i J.D. Salinger.* Nastąpiło więc niejaki rozprężenie żelaznej wojennej dyscypliny. March wertuje Berliner Tageblatt: *Recenzja muzyczna: autor z pasją atakował „szkodliwe negroidalne wycie” młodej angielskiej grupy z Liverpoolu, koncertującej w wypełnionej młodzieżą sali w Hamburgu. W dniu urodzin Führera (to już 75 lat!) Herbert von Karajan poprowadzi w Royal Albert Hall w Londynie uroczyste wykonanie Dziewiątej Symfonii Beethovena - hymnu zjednoczonej Europy. [...] Wojska niemieckie rozbijają grupy terrorystyczne Iwana. Hewela płynie z wolna, ale akcja zaczyna nabierać tempa. March ustala tożsamość kadawera, to nie byle kto, Alter Kampfer, uczestnik puczu monachijskiego, Josef Buhler. Przyciśnięty Jost zaczyna sypać - widział kogoś nad rzeczuką opodal trupka, i poznał twarz, nazicelebrity Globusa, Odilo Globocnika. Co łączyło Buhlera i Globusa? Ano właśnie. Teraz i mnie zaczynają paluszki nad klawikordem śwędieć, żeby wam zdradzić, co parę dni temu odkryłem.*

Niedługo po wkroczeniu Dojczów do Lublina, mojego rodzinnego miasta, w październiku 39., ale niech Harris nam to powie: *Globus był dowódcą policji i SS w Lublinie. Budował obozy śmierci. - Nie wiedziałem. - Gestapowiec rzucił kartki na stół notatki, tak jakby były na nich zarazki. - Nic o tym nie wiedziałem. - Ależ oczywiście, że wiedziałeś! Wiedziałeś za każdym razem, kiedy ktoś żartował o „wyjeździe na Wschód”. No i teraz clou - dowiedziałem się, że Odi zajmował willę na ulicy Boczna Lubomelskiej 8, parędziesiąt metrów od kamienicy, gdzie z rodziną parę lat mieszkałem. Ha! A z mojego domu rodzinnego na ul. Zemborzyckiej widać było w oddali obóz na Majdanku, oczko w głowie Odila. To stamtąd w czasie okupacji wiało tym ciężkim dymem, że okna trzeba było latem jak na zimę uszczelniać. Zanieczyszczenie środowiska! On, Globus był temu, jako odpowiedzialny za akcję „Reinhard”, winien. I teraz młodzi detektywi, powiedzcie mi, co Globus ukrywał w powieści R. Harrisa? Że po kolei likwidował świadków. Sprawa wagi państwowej. To byli uczestnicy międzyministerialnej konferencji w Wansee, gdzie zaplanowano koordynację Endlösung der Judenfrage. Jeśli info i dokumenty o tym, co tam postanowiono, a potem wykonano, przeciekłyby do ciekawskich, to spotkanie na szczycie prezydenta USA i Wodza Wielkiej Rzeszy mogłoby nie dojść do skutku. - *Na przykład tutaj: co to jest „cyklon B”? - krystaliczny cyjanowodor. Przedtem używali tlenku węgla. Jeszcze przedtem pocisków. Reszta się zgadza, ale cyklon to nie był krystaliczny cyjanowodor, krystaliczny gaz? Bzdura. Cyjanowodor był absorbowany w granulach ziemi okrzemkowej. To wiem, bo moja mama pracowała w Stacji Kwarantanny i Ochrony Roślin. Znalazłem kiedyś w jej książkach niemiecką broszurę z lat 30. o gazowaniu wołka zbożowego w pryzmach ziarna, pod brezentowymi plandekami. Potem odkryli nowe zastosowania tego insektycydu. Różne rzeczy odkrywali. Zajełbiecie innowacyjny naród. Pierwsza rakiet balistyczna, pierwszy odrzutowiec bojowy. Pierwsza telewizja przemysłowa, kablówka, w Peenemünde. Gazyfikacja, jak Redbull, dodała im skrzydeł. Wprowadzili bardzo rygorystyczne prawo zobowiązujące do humanitarnego traktowania zwierząt. Szeroko zakrojony program sterylizacji osób obciążonych genetycznie. Eutanazji umysłowo chorych. Zawsze na czele postępu! Pierwsi odkryli szkodliwość nikotyny ze szlągów. No niech mi kto powie, że nie byli najnowocześniejszym państwem Europy. Potem nastąpiła istna lawina nowych odkryć geograficzno-historycznych, w tym i to, że Lublin jest prapoczątkiem niemieckiego państwa i w 42., żeby uczcić rocznicę, poczta Generalnego Gubernatorstwa wydała zna-**

czek „Lublin Deutsche Stadt 1342-1942” z pięknym widoczkiem starówki. A ja natomiast odkryłem, że od stycznia 2010 roku Polska jest częścią państwa europejskiego, którego regulacje prawne są nadrzędne wobec krajowych, a u Niemców nie. *Skręcił w prawo przy Parlamencie Europejskim. Reflektory oświetlały flagi dwunastu państw członkowskich. Sztandar ze swastyką był dwa razy większy od innych.* Ten Angol Harris jest najwyraźniej eurosceptykiem. Jednak najpotężniejszym gmachem stolicy Wielkich Niemiec jest inna budowla: *Na samym końcu rzeki światła stał, wynurzając się z mgły niczym szary pancernik Wielki Pałac Rzeszy, z kopułą skrytą w sunących nisko chmurach.* Przewodniczka opowiada turystom, osadnikom przybyłym z zaludnionych germańską populacją wschodnich terenów: *Wielki Pałac Rzeszy jest największą budowlą świata. Wznosi się ponad ćwierć kilometra w górę i zdarzają się dni, tak jak dzisiejszy, kiedy jego szczyt tonie w chmurach. Sama kopuła ma średnicę stu czterdziestu metrów i kopuła Bazyliki Świętego Piotra w Rzymie zmieściłaby się w niej szesnaście razy.* Bo wy, otumanieni prymitywną nieprzyjacielską propagandą kierowaną do milionowych rzesz odbiorców myślicie, że Wódz był demonem zniszczenia. Brednie! On przede wszystkim chciał budować. Ileż to godzin spędził z Albertem Speerem nad architektonicznymi planami! Owszem, sporo udało się zrobić - nową Kancelarię Rzeszy, monumentalne trybuny w Norymberdze, znamy je z pięknego filmu niezapomnianej Leni Riefenstahl *Triumf woli*, ale to był tylko wstęp do dzieła które dopiero miało powstać. Albert obszernie opisuje tę pasję Wodza w swoich memuarach. Zrobił mu nawet makietki Linzu i nowego centrum Berlina. W trudnych chwilach Wódz znajdował, pochylając się nad nimi, pocieszenie i siły do wytrwania. Po ciężkich bombardowaniach stolicy znajdował ich dobrą stronę - niwelacja terenów pod przyszłą, godną imperium zabudowę. Niemiecki optymizm na przekór wszystkiemu! Na tych gruzach miała właśnie stanąć wielka jak góra Hala Germanii, u Harrisa nazwana Pałacem Rzeszy.

Agdzie są w tej alternatywnej historii Harrisa Polacy? Głównie za Uralem, ale też w pracy na np. zmywaku: *Na drugim piętrze komendy przy Werderscher Markt nie było nikogo oprócz polskiej sprzątaczkii. [...] Widział tylko potężny tyłek oparty o podeszwy czarnych kaloszy i czerwoną szarfę we włosach, które kołysały się kiedy szorowała podłogę. Polka śpiewała cicho w swoim ojczystym języku. Słyszając, że się zbliża, umilkła i obróciła głowę do ściany.* Pracują też w ogródkach. Co to za sprawa? Pewnie jakaś żona oficera i Polak przysłany z Generalnej Guberni do pracy w ogrodzie. Najczęściej był to właśnie Polak, marzycielski, sentymentalny Polak, uwodzący panią

domu, której mąż walczył na froncie. [...] Zgodnie z uchwaloną w roku 1935 Ustawą o Czystości Rasy, oboje popełnili przestępstwo seksualne. [...] Dwa lata w Ravensbrück dla żony. Degradacja dla męża. Dwadzieścia pięć lat dla Polaka, jeśli będzie miał szczęście; jeśli nie - kara śmierci. No, jakieś granice liberalizacja mieć musi. U Otto Basila w *Brunatnej rapsodii* laska, którą podrywa bohater pierwszego planu, członek NaziSoc Zrzeszenia Różdżkarstwa giromanta Albin Totila Holtrigel, jest zniecierpliwiona: *Proszę się przyjrzyć temu sflaczałemu SS, temu łagodnemu Gestapo, tej tłustej, nadętej, zgrzybiałej SD! Te rutynowe tortury! Te idylle w obozach dla podludzi! Wszędzie skażenie rasy! Ale Albin tak naprawdę opętany jest namiętnością do innej zupełnie Frau, kobiety jak marzenie, wspaniałej aryjskiej dominy Ulli von Eyck, byłej komendantki obozu koncentracyjnego dla kobiet „Dora”, a obecnie aktorce z rolą w sitomie „Niemiecki dom”. Cóż, kiedy jest poza zasięgiem jego różdżki! Stetryczała Rzesza nudzi się, co gorsza - Epidemia samobójcza utrzymywana przez władze w ścisłej tajemnicy - karane było nawet użycie eufemistycznego określenia „śmierć z wyboru” - nawiedziła nie tylko Rzeszę, lecz również cały zjednoczony przez Führera świat cywilizacji zachodniej.* Następuje moment krytyczny dla zwycięskiej Rzeszy, która władzą nad globem podzieliła się z Japonią, oto umiera ukochany Holtrigela znajdzie. W świecie Basila naziideologia po WW2 zgrawitowała zupełnie ku germańskiej mitologii, plus mistyka rasy panów i elementy tego, co można by chyba określić jako NaziNewAge. Nic nowego ani nawet dziwnego. Jest w książce Cezarego Michalskiego *Powrót człowieka bez właściwości* obszerna analiza tego fenomenu w nadzwyczaj interesującym eseju pt. *Ezoteryczne źródła nazizmu*. Rasistowska mistyka krwi i ziemi przełożona na dyrektywę Generalplan Ost to nie było jakieś nagłe zaćmienie. Michalski, na podstawie solidnej bazy faktograficznej, rekonstruuje decydujący wpływ elitarnych ariozoficznych stowarzyszeń „Vril” i „Thule” na formowanie się ideologii przywódczej kadry NSDAP i samego Hitlera. Propagacja tej ideologii przygotowała masy Niemców do zaakceptowania nowego duchowego paradygmatu. Efekty tego przesilenia można przyrównać do Reformacji, znów Niemcy na czele zmian!, ale tym razem dziedzictwo judeochrześcijaństwa zostało ostatecznie odrzucone. Adolf był prorokiem, który wprowadził ludzkość w Erę Wodnika. Vegetarianin, miłośnik przyrody, artystyczna dusza, często zasięgający astrologicznych porad. Basil poszedł tym tropem w fantastycznej rekonstrukcji Rzeszy przyszłości. Lecz oto Führer już leży i się nie rusza: *Zgodnie ze staronordyckim obrzędem, zmarłego obłeczono w*

„*walhjamr*”, pośmiertną koszulę; na nią założono zwyczajny mundur [...]. Jego skromna trumna spoczywa nie na lawecie, ale na pancerzu historycznego czołgu Tygrys. Ostatni hold oddają mu wszyscy wierni przywódcy zjednoczonej pod niemiecką hegemonią Europy i reszty aryjskiego świata. Tłumy, zaraz, ktoś znajomy, tak! - Członkowie Wielkiej Rady Burgundii, na ich czele kanclerz Leon Degrelle. [...] ...w tych godzinach refleksji, gdy trzeba się nam żegnać z Adolfem Wielkim, gdy rzecz idzie o trwanie Rzeszy i cywilizacji zachodniej, gdy z głębi Azji ruszyły nikiemne hordy podludzi pałających niespotykaną w historii żądzą krwi [...] Wciąż okrzyki: „*Europo, zbudź się, Japonio, zdychaj!*”. Albowiem wojna z Japsami już się zaczęła, trwa, zrazu nieśmiała wymiana ciosów atomowych. Albin postanawia jechać ku swej dominie, przez narastający chaos, tłumy uchodźców na drogach, zbrojne starcia pretendentów do władzy po Adolfie Wielkim, stada podludzi, którzy korzystając ze sposobności czmychnęły z obozów i rozrabiają. Jest wśród nich nasz rodak. Od kilku dni grasował w Dolnej Saksonii pewien kapo z UmL-u [Untermenschlager przyp. K.B.M.], Polak, którego własna drużyna nazwała „pałownikiem”. Ow podczłowiek kazał już wbić na pal setki, a może nawet tysiące ofiar. Albin napotyka jakieś łagodne człekopodobne czworonogi modlące się po czesku. Początkowo zaskoczony ich widokiem, po chwili zapłynie co widzi. *Hollriegl* słyszał już i czytał, że biologowie i neurochirurdzy w UmL-ach rozpoczęli fantastyczne próby, których dalekosiężnym celem było cofnięcie człowieka, a ściślej mówiąc, pewnego gatunku ludzi, do stadium rozwojowego zwierzęcia. Podróż trwa, mrok gęstnieje, entropia wzrasta, robi się coraz radioaktywniej. Establiszment spyła mostami powietrznymi do baz-przetwarzalni za kołem polarnym. Albin ze swoją komendantką wśliznął się do obozu filtracyjnego, czeka na przerzut, a tymczasem go filtrują, pada seria testowych pytań: *Jaką nazwę nosił szósty zjazd partii?*, *Kto w Reichsgruppe Industrie jest obecnie odpowiedzialny za hutnictwo żelaza?*, itd., w tym jedno takie, po którym sam wyrwam się do odpowiedzi: *Kto rozwiązał problem żydowski w Lublinie?* Globus! Globus! Wszystkie fabularne i żelazne drogi z Ostfrontu do Heimatu wodą przez stację Lublin! I Nowak, i Sajer na przepustki jadą via pradawny germański Lublin. Tylko Leon, gruba ryba, lata samolotami. Sajer ma w Lublinie pecha, w czasie przesiadki żandarmeria cofa wszystkim urlopowanym przepustki. - Powrotem! Front się sypie. Tu ciekawostka - nie tylko u bolszewików tyłowe oddziały zaporowe miały rozkaz strzelania do cofających się bez rozkazu. - *Panowie, nasza sytuacja z godziny na godzinę staje się coraz bardziej skomplikowana - rozpoczął naradę pułkownik Kettner. [...] Mam obowiązek przekazać*

wam, że *Führer* rozkazał formacjom SS otworzyć ogień do każdej jednostki, która bez rozkazu opuści swoje pozycje. Opisy destrukcji Wielkiej Rzeszy z pamiętników coraz bardziej przypominają te widziane oczami basileńskiego NS różdżkarza *Hollriegla*. Dywanowe naloty na miasta przybierają na sile. *Banditen* podnoszą głowę. Zamachy na niemieckie dzieło odbudowy stają się coraz częstsze i coraz bardziej bezczelne. Wojna z terrorem! *Gonitwy* po lasach. *Pacyfikacyjki*. Jedną z nich sugestywnie opisuje Sajer. *Partisanen* atakują wysunięty niemiecki posterunek. Zmotoryzowany oddział *Hauptmanna* *Wesriedau*, pod którego komendą służy, śpieszy z odsieczą. Po udanej akcji narasta napięcie między żołnierzami a zgromadzoną ludnością. *Mieliśmy sucho w ustach, słuchaliśmy coraz gwałtowniejszych złorzeczeń całych rodzin, płacących teraz za to, czego zawsze powinni unikać. Czekaliśmy tylko na komendę, by otworzyć ogień na ten nędzny motłoch. Widziałem, jak najbliżej stojący kolega brudnymi, trzęsącymi się rękami ścisną nerwowo broń. Inny nie mógł powstrzymać nerwowego drgania twarzy, Zakończyliśmy robotę i wzbierała w nas wściekłość. Nagle jakiś wysoki szczupły mężczyzna zbliżył się śpiesznym krokiem, rozdzielając obie grupy. Był to *Wesriedau*. Oficer był błydy z oburzenia. Zatrzymał się pięć metrów od Rosjan, po czym spojrzał na nich tak straszliwym wzrokiem, że nastąpiła cisza. Podczas długiej kampanii *Wesriedau* miał okazję nauczyć się rosyjskiego. Cóż za dar, doktor *Dolittle* mówi językiem zwierząt! Zasugerował Rosjanom, by pochowali swoich z takim samym szacunkiem, jakiego wymagał od swoich podwładnych. Uspokoili ich, mówiąc, że dla nich wojna niedługo się skończy. - Nigdy się nie spodziewał - przyznał - że wojna zmusi go do strzelania do uzbójczej ludności cywilnej otumanionej przez propagandę. Przeprósł za to, co musiał zrobić. Wreszcie śmiertelnie poważnym tonem oświadczył, że nie znieśli kolejnych obelg i ma nadzieję bezpiecznie przeprowadzić swoich pozostałych ludzi. W przeciwnym wypadku cała wieś zostanie pociągnięta do odpowiedzialności. Słowa kapitana podziałały jak balsam. Nieoczekiwanie zapanował spokój. Martwi zostali pogrzebani, zawożenia uciły. Każdy z tych chłopaków w *stahlhelmach* mógłby powiedzieć śmiertelnie poważnym tonem *Bogusiowi Lindzie* - co ty, stary, wiesz o zabijaniu!? No, i na tym WW2 mogłaby się skończyć, ale niestety. Do *Vaterlandu* coraz bliżej. Tu u Sajera znajdują się fragmenty, które by bardzo podnieciły panią *Ericę Sztajnbachową*. *Gehenna Ostpreussen und Pommern*. Zima, nieprzebrane tłumy uchodźców, naszych uchodźców! Zaczyna się Wielkie Odwetowe Radzieckie Dymanko. Stosunki tego rodzaju *Ustawy Norymberskie* określały jako *Rassenschande*, zhańbienie rasy. Robotnikom przymusowym dawali za to czapę, no, ale czasy się*

zmieniły. *Jej mąż pojawił się akurat, kiedy byliśmy „w trakcie”!* - rechocze Solma. - *Facet śmiał się razem z nami: „Mamuśka już trochę stara i dla mnie, i dla was!” - mówił.* I po tym wszystkim przychodzi nam żyć w tzw. wspólnym europejskim domu. Dziadek Bolesław z Bychawy zdążył mi opowiedzieć o okupacji. O płonących gospodarstwach, o nocnym łomotaniu do drzwi, o rozwałkowanych rodzinach. O żydowskim rodzeństwie, chłopaku i dziewczynie, które skitłał w skrytce pod stodołą. O kwaterowaniu leśnych oddziałów. Pokazał mi podrzewiałego, małego jak zabawka, Mausera. Ilu Niemców dziadku zabiłeś? - pytał podrostek naogładany „Czterema pancernymi” i Klossem. Żadnego Kaziczku, odpowiedział mi smutnie uśmiechnięty, rozumiejąc, że sprawia mi zawód.

Nu, sen mara, Bóg wiara. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Ale znów jesteśmy w granicach niemieckiej strefy wpływów, i niektórzy, co bardziej podejrzliwi podludzie pytają, co z tą Mitteleuropą? Multikulti? Nie wszystkim jest do śmiechu, kiedy publicznie mundurowi Niemcy za wszarż wywlekają z samolotu polskiego pośła krzyczącego „Ratunku, biją mnie Niemcy!”, bo katanę powiesił, tam gdzie nie trzeba. Kiedy się dowiadują, że Jugendamty zabraniają mówić po polsku podczas widzeń dzieciom z mieszanych polsko-niemieckich małżeństw. Luftwaffe znów, w 1999, pojawiła się nad Belgradem. Bundestag zezwolił na użycie Bundeswehry w akcjach bojowych poza granicami Rajchu. Niemcy mają trzecie zaszczytne miejsce w światowym eksporcie broni. Ale, znaczy się, sobie nie zostawiają, czyli nie jest źle. Rura między strategicznymi obecnie partnerami pod Bałtykiem, azaliż nam nie ufają? Erica powiernica się sroży. Skin niemiecki czasem Polakowi dołoży. A weźcie popatrzcie na znaczek Opla. Tam, w kółeczku jest ciągle ta runa sowelu w kształcie błyskawiczki. Mimo wszystko, lepsze jedno horyzontalne S niż dwa w pionie.

Guy Sajer

Zapomniany żołnierz (przekład z francuskiego - Jan Kortas) Gdański Kantor Wydawniczy, Gdańsk 2009

Leon Degrelle

Front wschodni 1941- 1945 (przekład z francuskiego - Dorota Tararako-Grzesiak) Wydawnictwo Arkadiusz Wingert, Międzyzdroje 2002

Helmuth Nowak

Walczyłem pod Kurskiem (przekład z czeskiego - Izabella Dębicka) Wydawnictwo Arkadiusz Wingert, Międzyzdroje-Kraków 2009

Walczyłem pod Kijowem (przekład z czeskiego - Izabella Dębicka) Wydawnictwo Arkadiusz Wingert, Międzyzdroje-Kraków 2009

Otto Basil

Brunatna Rapsodia (przekład z niemieckiego - Ryszard Wojnarowski) Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1993

Robert Harris

Vaterland (przekład z angielskiego - Andrzej Szulc) Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 2008

Guy Sajer: *Zboże rośnie tylko w okolicy wiosek, natomiast wielkie jak departamenty obszary pokrywa dzika trawa i szary albo czerwony pył. W wielu miejscach rosną gęste, chyba dziewicze lasy. Zdążyliśmy się już przyzwyczaić do tych niezmierzonych obszarów, stanowiących dla nas ewentualne pole walki. Reakcja nastąpi dopiero później, Ten, komu uda się powrócić do rodzinnego kraju, dusić się będzie w ograniczonej przestrzeni, gdzie horyzont jest na wyciągnięcie ręki, a krajobraz przeładowany budowlami użyteczności publicznej, strzelającymi w niebo kamiennymi konstrukcjami o wątpliwej wartości estetycznej. Reakcja nastąpi wtedy, gdy ci, dotychczas przyrównujący ziemię do niezmierzonego nieboskłonu, nie będą wiedzieli, gdzie złożyć swój tyłek na trawie należącej zawsze do kogoś.*

Kazimierz Bolesław Malinowski



Alfred Przybysz - grafika

Marek Szymaniak

Dom bez Boga

Łłoto, siarczysty mróz i śnieg po kolana - taką pocztówką wita nas Polska Ludowa Smarzowskiego. Jest rok 1982, stan wojenny w pełni. Rozkład, zgnilizna moralna społeczeństwa ciągle postępują, choć wydaje się, że gorzej już być nie może. A jednak. Człowiek w miejscu, gdzie brak mu prosto wskazanego dobra, łatwo ztraca się w złu. Topi się w nim, niczym w bagnie.

Film w reżyserii Wojciecha Smarzowskiego obrazuje nam historię wielokrotnego morderstwa i choć akcja toczy się jednocześnie na dwóch planach, to wciąż jesteśmy gdzieś w Bieszczadach. Gdzie dokładnie? Nie wiadomo - może nigdzie, a może wszędzie.

Pierwszy plan to rok 1982. Milicjanci prowadzą wizję lokalną w miejscu zbrodni. Głównym oskarżonym jest niejaki Edward Środoń. Panuje chaos. Funkcjonariusze walczą z mrozem, pijąc do upadłego wódkę. Prokurator, który miał prowadzić śledztwo, leży pijany w służbowej nysce. Oskarżonego, a także jedyne żywego świadka tamtych wydarzeń, wydaje się nikt, poza widzem, nie słuchać. Nawet jedyny sprawiedliwy, apolityczny milicjant, porucznik Mróz, błądzi gdzieś myślami obciążonymi osobistymi i moralnymi problemami. Całe śledztwo wydaje się absurdem. Wygodny dla władzy i milicji winny już jest, teraz pozostaje tylko odpowiednie ułożenie morderczej układanki.

Drugi plan to wspomnienia Środonia z tamtej feralnej nocy sprzed czterech lat. Bohater, po śmierci żony postanawia przenieść się z Pomorza w inne miejsce aby dalej od tragicznych wspomnień. Choć już niemłody, chce wszystko zacząć od nowa. W drodze do pegeeru, gdzie ma dostać pracę zootechnika, zatrzymuje się w przypadkowym obejściu małżeństwa Dziabasów. On jest dużo starszy, ona jest jego drugą żoną. Jest jeszcze syn jedynek, który jest okolicznym bandziorem i marnotrawcą majątku ojca.

Dochodzi do libacji. Z początkowej skromnej gościnności, poprzez alkoholowe bratanie się bohaterów, dochodzi do snucia pijackich marzeń i planów. Wspólny interes, który ma pomnożyć pieniądze Dziabasa, schowane pod podłogą i ołożone na poloneza dla syna. W alkoholowym amoku dochodzi jednak do zbrodni, za którą teraz ma odpowiedzieć Środoń, choć - jak sądzi - nikogo nie zabił. Tylko, że nikt nie wierzy w jego wersję wydarzeń. Bo tak jest wygodnie i milicjantom, i władzy, która zamykając, a może i skazując na karę śmierci jedyne oskarżonego, ukreśli łeb innej aferze powoli wypływającej na wierzch.

W „Domie złym” zobaczymy wielu rozpoznawalnych aktorów. Wielu z nich znamy tylko z telewizyjnych seriali, czy słabych komercyjnych produkcji. Teraz mamy okazję odkryć ich z drugiej strony, dużo lepszej. Gra wyśmienitego Mariana Dzięziela, jako Dziabasa, jest tak naturalna i przerażająca, że widz ma ochotę uciec, by tylko nie patrzeć na jego pijaną mordę. Nie chce wierzyć, że takie sceny przecież rozgrywały i nadal rozgrywają się w wielu polskich domach. Arkadiusz Kubik w roli Środonia, wypada doskonale, szczególnie w scenach wspomnień z Pomorza i wizji lokalnej, gdzie osiąga perfekcję aktora dramatycznego.

Prostym, statycznym ujęciem szeroko ukazującym plan akcji towarzyszy niezwykła, przerażająca ścieżka dźwiękowa. Ciężkie, z pozoru toporne dźwięki budzą przerażenie, lęk do tego stopnia, że u widzów pojawiają się dreszcze i gęsia skórka.

Film, który został doceniony przez widzów i zdobył m.in. nagrodę publiczności w najważniejszym Polskim Festiwalu Filmowym w Gdyni, zachwyca i porusza odbiorcę brzydota, nędzą, upadkiem i złem. Wszechogarniającym złem, czai się na każdym kroku. „Dom zły” bowiem nie jest tytułem przypadkowym. Jest to miejsce, gdzie człowiek ztraca pojęcie dobra i prawdy. Miejsce, w którym zło przenika i zniewala każdego, kto się w nim nieszczęśliwie znajdzie. Ostateczne rozliczenie Smarzowskiego z PRL-em jest wstrząsające. Tak jakby reżyser chciał wyrzucić z siebie całe piekło tamtych czasów. Cały absurd, zniewolenie, pogardę dla jednostki, wreszcie zdemoralizowanie, rozbicie i zdesperowanie, które przecież stworzył człowiek. Ten sam, którego także teraz każdy z nas mija na ulicy. Mroczne rozliczenie, którego możemy nie widzieć na co dzień wciąż jest przecież w nas.

Marek Szymaniak



„Dom zły”,
reż. Wojciech
Smarzowski,
kryminał/thriller,
105 min, premiera:
kino (Polska)
27 XI 2009.

Henryk Radej

Polański nadal kręci

Znów dały znać o sobie „niebezpieczne związki literatury i filmu”. Polański stworzył swój ostatni film w oparciu o książkę Roberta Harrisa pt. „The Ghost” (polskie tłumaczenie „Ghostwriter”), co nie jest niczym nowym, bo on „od wieków” lubi adaptacje robione według własnego pomysłu. Tak było m.in. w przypadku „Rosemary's Baby”, „Chinatown” i „Pianisty”. Niezależnie od literatury, filmy były świetne i zgarniały Oscary. Tym razem reżyser dopieszczał swój ostatni film w szwajcarskiej willi, mając elektroniczną obrożę więzienną na nodze - jeśli wierzyć mediom, a po paru dniach obraz pokazywany był już na festiwalu w Berlinie i kilku krajach.

Pojechałem i ja do dobrego kina w Lublinie i obejrzałem. Różne pretensje - łącznie z obyczajowymi - można mieć do Polańskiego, ale filmy to on na pewno umie robić. Jedne są lepsze, drugie gorsze, ale poniżej pewnego poziomu nigdy nie schodzi. Podobnie jest z tym filmem. Każdy z elementów składowych „Autora Widmo” jest niemal doskonały, ale jak się te klocki złoży razem, to widać zbyt grube szwy, które miejscami się rozłączają. Zwracają uwagę świetne zdjęcia Pawła Edelmana i postać premiera w trochę autoironicznej kreacji Pierce'a Brosnana. Oczywiście, świetna jest rola tytułowego *ghostwritera* w wykonaniu Ewana McGregora. I to się gładko ogląda przez ponad dwie godziny. Raz jest się z bohaterami w Londynie, to znów w New Yorku albo na wyspie odizolowanej od świata.

A świat ten - to nasz współczesny, sterroryzowany i całkiem malutki, opłacany przez wszechobecne media, multimedia, telefony komórkowe i Internet. Cała intryga jest polityczna, trochę psychologiczna i naszpikowana agentami różnych tajnych służb. Najwięcej obrywa się od Polańskiego amerykańskiej CIA. Ech, gdyby tak Polański na starość zaczął mówić i pokazywać wszystko, co wie w tym temacie, dopiero byłoby to interesujące. Zważywszy na jego pochodzenie, amerykańską przeszłość, tragedię z Sharon Tate i inne „ciekawe” znajomości, byłby to hit murowany. Jednak z różnych (wiadomych) względów tak się zapewne nie stanie.

Pisarz Harris bazuje w swojej książce głównie na medialnych doniesieniach; Polański idzie nieco dalej - sugeruje, że coś więcej wie na temat „jak kręci się współczesny świat” i jakie interesy są w nim najważniejsze. Opowiedziana historia jest trochę banalna, ale filmowo nieźle „podkrecona”. Chwilami zbliża się w sposób całkiem racjonalny do „spiskowej teorii dziejów”, jakoby wszelka władza i tzw. wolność wyboru były

sterowane globalnie na potrzeby wybranych. Główny bohater ginie - giną obaj bohaterowie, którzy docierają do prawdy.

Co tak naprawdę o współczesnym świecie w kilka lat po tragedii WTC, w trakcie działań wojennych w Iraku i Afganistanie oraz na Bliskim Wschodzie chcieli nam powiedzieć Harris i Polański? Kto tu jest prawdziwym terrorystą, a kto ofiarą? Kto za tym wszystkim stoi? Czy tzw. Nowy Porządek Świata (New World Order) to bajka dla mas? Jaki scenariusz dla świata pisze na corocznych spotkaniach tajny klub Bilderbergów? Warto poszukać odpowiedzi choćby przez *Google*, które ważną rolę odgrywają także w tym filmie. Nie od dziś mam wątpliwości, że moja kartka wyborcza wrzucana co jakiś czas do urny cokolwiek znaczy, bo praktycznie nie dokonuję żadnego wyboru. Ten wybór dokonał się już dawno poza moją osobą!

W filmie jest taka scena-metafora: ogrodnik zamiata liście i kiedy już prawie uporał się z robotą, nagły podmuch wywiewa z powrotem efekt jego żmudnej pracy na uprzątnięty taras. Syzyfowa praca - rzecz można, a może wiatr historii? W finale filmu wiatr roznosi po ulicy rękopis książki z wyjawioną prawdą o bohaterach i ich tajnych uwikłaniach. Nikt już tego nie pozbiera. Wiara w obiektywną prawdę o świecie została utracona. Kłamstwo powtarzane przez media stało się metodą tzw. „walki ze złem” i przypisuje sobie szlachetne intencje.

Polański znów kręci! Chociaż akurat w tej bajce nie wszystko jest zmyślane. A taki niby prosty i z pozoru jednoznaczny film. Tylko z pozoru!

Henryk Radej

„Autor Widmo” (The Ghost Writer), reż. R. Polański; Francja/Niemcy/Wielka Brytania 2010.



Alfred Przybysz - grafika

Marek Szymaniak

D druga rzeczywistość

„Rewers”, debiutancki obraz Borysa Lankosza, zachwyił nie tylko festiwalową publiczność, ale i jury, które przyznały mu tytuł najlepszego filmu 2009 roku. Co jest takiego w tym filmie, że gromadzi w kinie kilka pokoleń Polaków? Jest to z pewnością prawda o czasie stalinizmu pokazana w oryginalny sposób, ale także historia trzech kobiet, których losy, zachowania i doświadczenia pozwalają nam spojrzeć na tamten czas z dystansem, czasem uśmiechem. Pokazując równoległą rzeczywistość, o której często zapominamy.

Film Lankosza ma wiele z kina noir, które w Polsce nie ma, przynajmniej ostatnio, wielu odpowiedników. W „Rewersie” zobaczymy wszystko, co charakterystyczne dla tego gatunku, a więc obraz kręcony na czarno-białej taśmie, rzeczywistość przenikniętą tajemnicą i mroczną atmosferą oraz stylowo scharakteryzowane postacie w czarnych kapeluszach i długich płaszczach. To wszystko w uhonorowanym jedenastoma nagrodami filmie tworzy nietypową jakość - scalenie wielu gatunków: od dramatu przez film gangsterski po czarną komedię. Celowy zabieg reżysera z łatwością wprowadza widza w wydarzenia sprzed blisko 60 laty.

Opowieść o trzech kobietach, które pod jednym dachem przeżywają różne etapy swojego życia. Najstarsza - babcia, zagrana przez Annę Polony, to kobieta, której życie nie oszczędzało. Przeżyła dwie wojny, dlatego dziś może na wszystko patrzeć z dystansem. Z jej ust usłyszymy najwięcej ironicznych uwag odnośnie sytuacji, w której znalazła się cała rodzina. Trafne uwagi nie tylko bawią widza, ale i pokazują, że życiowe doświadczenie, kolejne nawet traumatyczne wydarzenia, są dla nas lekcją.

Jej córka, grana przez Krystynę Jandę, to kobieta po pięćdziesiątce, wychowana w trudnych czasach przedwojennych. Jest zachowawcza, pragnie za wszelką cenę zapewnić bezpieczeństwo i spokój rodzinie, a także, co jest środkiem do tego celu, znaleźć męża Sabinie - najmłodszej z kobiet w domu. W jej rolę wcieliła się Agata Buzek. Sabina dobija do trzydziestki i wciąż nie może odnaleźć się w życiu. Pracuje w wydawnictwie, w dziale poezji. Jej koleżanki z pracy, dawno już zamężne i dzieciate, patrzą na jej zagubienie niekiedy z politowaniem, niekiedy z zazdrością wolności i wielkiej miłości, która w końcu pojawia się w życiu Sabiny.

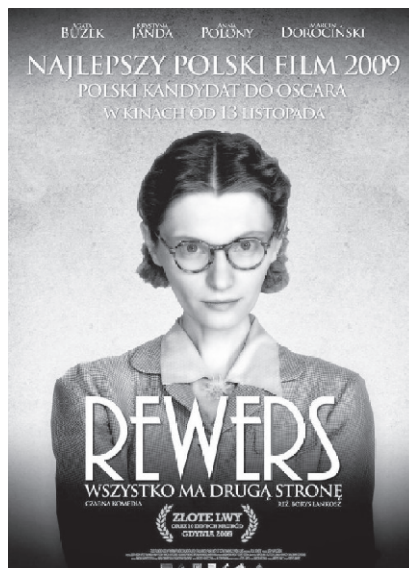
Z wielkim uczuciem przychodzi też wielki dramat młodej bohaterki. Tajemniczy, przystojny mężczyzna, w tej roli Marcin Dorociński, to facet idealny - prawdziwy PRL-owski macho. Gdy miłość dziewczyny wydaje się rozkwitać pełnią barw, ukazuje się rewers, druga bezwzględna twarz narzeczonego. Jest on bowiem agentem UB, który zdaje się całą miłość odegrał tylko po to, aby wykonać zadanie narzucone mu przez partię.

Tutaj zaczyna się dramat młodej kobiety, który przez splot przypadkowych, emocjonalnych decyzji zamienia się w farsę. Absurd sytuacji wydaje się świetnie oddawać prawdę o stalinowskich czasach w Polsce. Dystans do tych dramatycznych dla wielu czasów udziela się nam poprzez konwencję czarnej komedii. To ujęcie w przewrotny sposób pozwala nam spojrzeć na to, co było wtedy złe, gorzkie i ponure.

Sukces tego filmu to nie tylko ciekawie i oryginalnie opowiedziana historia, ale przede wszystkim gra aktorska. Trzy kobiety - Anna Polony, Krystyna Janda, Agata Buzek - oraz Marcin Dorociński w roli ubeka tworzą prawdziwy aktorski zespół. Drużyna, która została dobrana nieprzypadkowo, udowadnia, że gra na planie filmowym może być jednocześnie zawodowym wyzwaniem i świetną zabawą. A dla widza wyrafinowaną rozrywką.

Marek Szymaniak

„Rewers”, reż. Borys Lankosz, thriller/komedia, 101 min, premiera: kino (Polska) 13 XI 2009.



Henryk Radej

Antypatia do Hypatii

Zanim nie obejrzałem tego filmu, o Hypatii nie wiedziałem nic. A teraz wiem. Wniosek więc z tego taki, że film ten czegoś uczy. Ale czego? Tylko naiwni nabiorą się, szukając obiektywnej prawdy w filmie fabularnym. A tak być nie powinno. Widz powinien wyraźnie widzieć (i wiedzieć) co wynika z prawdy historycznej, a co jest wymysłem artystycznym twórców dzieła. W przeciwnym wypadku mamy do czynienia z manipulacją albo świadomym kłamstwem reżysera. Gdyby nie moja dociekliwość po projekcji, tkwiłbym nadal w mojej naiwności i sympatii do Hypatii. Teraz wiem, że pomimo podziwu dla fachowej roboty filmowej, „Agora” zasługuje na moją antypatię, bo świadomie wprowadza widza w błąd, epatując świetnymi zdjęciami, scenografią i aktorstwem.

Obraz wpisuje się swoim poziomem produkcji w krąg znakomitych filmów historycznych takich jak: „Gladiator” (też kręcony na Malcie), „Królestwo niebieskie” czy „Aleksander”. Wszystkie one przedstawiają odległe historie z czasów Imperium Rzymskiego lub wczesnego Średniowiecza. Dorzuciłbym tu jeszcze nasz polski „Quo vadis” J. Hoffmana, chociaż ten nie dorównuje im swoją sierniężnością języka filmowego. Jednak odniesienia te narzucają się same. O ile „Quo vadis” traktuje o władcach Rzymu i męczeństwie pierwszych chrześcijan, to „Agora” przedstawia okrucieństwo tychże w stosunku do Żydów i pogan, którzy nie zaakceptowali chrześcijaństwa po jego zalegalizowaniu w Imperium Rzymskim. Całość opowiedziana jest w formie ideologicznego melodramatu, okraszonego naukowymi teoriami z astronomii, matematyki i filozofii, atrakcyjnie głoszonymi przez główną bohaterkę, Hypatię i jej ojca. Chwilami miałem wrażenie, że oglądam Kopernika w tunice, bo oto pod koniec filmu dociera ona do teorii heliocentrycznej. I tu mnie tknęło, że reżyser mocno przegina, stwarzając pozory prawdy historycznej na ponad tysiąc lat przed naszym astronomem z Torunia.

Wszystko dzieje się pod koniec IV wieku naszej ery w egipskiej Aleksandrii podbitej przez Rzymian, która pyszni się jeszcze monumentalizmem epoki faraonów. Trochę surrealistycznie wyglądają tu pierwsze świątynie chrześcijańskie z bogactwem staroegipskich fresków i rzeźb. Siedziba władz prefekta także naznaczona jest eklektyzmem z piętnem niedawnej przeszłości. Natomiast filmowe utożsamienie pogańskiej świątyni boga Serapisa z obiektem słynnej Biblioteki Aleksandryjskiej i spalenie jej w

filmie przez tłum rozjuszonych chrześcijan z krzyżami w jednej ręce i mieczami w drugiej jest ewidentnym nadużyciem scenarzysty. Na pewno takie sceny nie wzbudzają sympatii widza. Płoną bezcenne zwoje papirusów, niszczone są przyrządy naukowe, zabijani przedstawiciele światłej (ale laickiej!) nauki. Nad miastem - oprócz dymów - wznosi się triumfalny okrzyk „alleluja!”. Żydzi, jako wyznawcy judaizmu też są podstępnie kamienowani w amfiteatrze podczas święta szabasu. Ci okazują się być nie lepsi od chrześcijan, bo odważają się im tym samym w kościele. W rezultacie, oglądamy pogrom Żydów zrealizowany z całym okrucieństwem, przypominający jako żywo sceny z likwidacji getta krakowskiego z filmu „Lista Schindlera” S. Spielberga. Jeśli dołożymy jeszcze do tego stos palonych ciał zabitych Żydów, mamy na ekranie reportaż z pierwszego w dziejach holokaustu, wieszczący XX-wieczne krematoria. To nic, że fabularyzowany, ale jakie robi wrażenie! A chrześcijanie w nim to prawdziwe bestie, siejący spustoszenie cywilizacyjne na stulecia do przodu.

Zaiste, żyła taka Hypatia w IV wieku w Aleksandrii, ale nie bawiła się w astronoma - wolała matematyczne i filozoficzne łamańce. Faktycznie, zginęła w dojrzałym wieku, ale nie w kościele, lecz zamordowana na ulicy w ferworze walk ideowo-politycznych. Z tamtych czasów bardziej znany jest fakt samosądu dokonanego w Aleksandrii przez fanatycznych pogan na świętym Marku Ewangelście i ukamienowanie dwóch nielubianych biskupów, niż nauki wolnomyślicielskiej Hypatii. To Arabowie po zdobyciu Egiptu zadali ostateczny cios aleksandryjskiej nauce i kulturze (a nie chrześcijanie), argumentując, że literatura sprzeczna z Koranem jest szkodliwa, a zgodna z Koranem - zbyteczna.

Trudno prorokować, jaki byłby los cywilizacji śródziemnomorskiej, gdyby nie postępująca dominacja chrześcijaństwa. Dziś żaden poważny historyk nie uważa Ewangelii za truciznę, która zabiła antyczną cywilizację, nie obciąża Kościoła winą za upadek kultury i polityczne zdziczenie wieków późniejszych. Porównuje się go raczej do Arki, która ocalała od zagłady znaczną część śródziemnomorskiego dziedzictwa ludzkości. Czyżby nie wiedział o tym reżyser „Agory”?

Henryk Radej

„Agora”, reż. A. Amenábar; Hiszpania 2009; wyst. m.in.: Rachel Weisz, Oscar Isaac, Michel Lonsdale; czas: 126 min.

27 maja, podczas Festiwalu Sztuk Krasnych, miał miejsce finał III Konkursu Literackiego im. Stanisława Bojarczuka „O sonecianą skibkę”. Laureatami zostali: Teresa Sobestjańczuk ze Świdnika (nagroda II), Tadeusz Charmuszko z Suwałk (nagroda III) i Agata Kołtun - uczennica Zespołu Szkół nr 5 w Krasnymstawie (wyróżnienie).

Teresa Sobestjańczuk

Fotoplastykon

W rejestrach pamięci czas topnieje
wspomnienia zbędnym balastem
w spektaklu życia
sentymentalne bzdurni
zamierzenia zakończone triumfem
i te kończące się fiaskiem
czas niewinności i naiwności
szczęście co nigdy się nie powtarza
bo każde trzeba przeżywać na nowo
niedotykane wymiary
gąszcz półmyśli
fałszywe słowa
na oszalałej karuzeli emocji
obietnice nadziei
przyszłości skracające dystans
w pejzażach snów ścieżki marzeń
w fotoplastykonie wyobraźni
życie łańcuchem zdarzeń

Tadeusz Charmuszko

Pejzaż wiejski

Na skrzydłach tu wracam
a przecież

tabuny nieokiełzanych rumaków
zmały do stada
wróble rozćwierkanych

Chłopski romantyzm kruszeje
bezlitośnie
pozostawiając na miedzy
martwe skanseny

Po ciepłe pieca i przytulności łąki
została chłodna kalkulacja
wymierzona w grudkę ziemi

Na skrzydłach tu wracam
a przecież

Tylko rozpacz czajek
jest odwieczna
aż serce boli

Agata Kołtun

Przemyślenia

Jestem
Jak w przejrzystym zwierciadle
Odbite ślady

By móc odczytać historię
Zapisaną bez atramentu

Jestem
Wśród bytu życia i śmierci
Szczęścia smutku

By nieść serce
Ku sądnym ołtarzom

Jestem
Byłam
Będę

By nieść radość
Mimo bezsensu

By znieść ogień nadziei



Alfred Przybysz - grafika

Ewa Magdziarz

„Rozmowy” w MDKF „Iluzjon”

MDKF „Iluzjon”, działający przy II LO im. C. K. Norwida i KDK od marca 2000 r., zorganizował po raz ósmy Powiatowy Konkurs Filmowy „Spotkanie z X Muzą - bliżej marzeń”. Finał 8. edycji konkursu odbył się 30 marca 2010 r. w sali widowiskowej Krasnostawskiego Domu Kultury. Polska Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych po raz kolejny ufundowała dla laureatów nagrodę specjalną - akredytację na 11. Letnią Akademię Filmową w Zwierzyńcu.

Konkurs filmowy o zasięgu powiatowym poprzedziły dwie edycje konkursu wewnątrzszkolnego (2001, 2002). Przedsięwzięcie to służy popularyzowaniu idei DKF oraz szerzeniu kultury filmowej wśród uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych powiatu krasnostawskiego. Od piątej edycji konkurs jest realizowany w ramach zadania **Edukacja filmowa prowadzona przez MDKF „Iluzjon”** finansowanego ze środków Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej i Starostwa Powiatowego w Krasnymstawie.

W celu przygotowania uczniów do konkursu MDKF zorganizował warsztaty filmowe „Rozmowy”. Pierwszą część, która odbyła się 3 lutego w II LO, prowadził dr Marian Janusz Kawałko. Temat spotkania to „Wielokulturowość i przeszłość - bogactwem naszego regionu”. Druga część warsztatów odbyła się 10 lutego w Muzeum Regionalnym w Krasnymstawie. Uczniowie, pod kierunkiem Renaty Kiciak i Marty Zorskiej pracowali nad przewodnikiem filmowym po ziemi krasnostawskiej. Materiał wypracowany na zajęciach w muzeum prezentowany był na warsztatach 3 marca. Na tym spotkaniu Sławomir Kozyrski zapoznał także uczniów z zasadami tworzenia plakatów filmowych, podstawami reżyserii i pracy z aktorem. 10 marca odbyła się 4. część warsztatów, w czasie których uczestnicy konkursu mieli możliwość porozmawiania ze Sławkiem Kozyrskim o projektach prac. Natomiast Artur Kiciak pokazał, że operator jest współtwórcą filmu. Nakręcono również kolejne sceny do filmu „Nie o tytuł tu chodzi”.

VIII Powiatowy Konkurs Filmowy odbył się w trzech kategoriach: praca filmowa/fotograficzna, plakat filmowy i logo MDKF „Iluzjon”. Honorowy patronat objęli: starosta krasnostawski Janusz Szpak oraz wiceprzewodniczący Rady PF DKF Piotr Kotowski. Plakaty i projekty logo oceniali: Sławomir Kozyrski - pracownik TVP Lublin - przewodniczący jury, Joanna Szufnara - nauczycielka II LO i Tadeusz Kiciński - pracownik

starostwa powiatowego; prace filmowe/fotograficzne oceniali: Piotr Kotowski - przewodniczący jury, Sławomir Kozyrski - TVP Lublin i Stanisław Kłiszcz - pracownik KDK.

Zaproponowane kategorie konkursowe spotkały się z dużym zainteresowaniem uczniów wspomaganych przez nauczycieli-opiekunów. Szkoły, z których nadesłano 79 prac, to: gimnazja nr 1, 3 i 4 w Krasnymstawie, gimnazja w Małochwieju Dużym, Siennicy Nadolnej, Rejowcu, Zakręciu, Izbicy, Łopienniku Górnym, Siedliskach oraz I LO, Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2, Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy i II LO w Krasnymstawie.

Po prezentacji prac filmowych i fotograficznych odbył się pokaz zwiastuna filmu „Nie o tytuł tu chodzi” nakręconego na warsztatach „Amator 2009” i „Rozmowy”. Następnie Sławomir Kozyrski analizował prace konkursowe w kategorii plakat filmowy.

W kategorii praca filmowa/fotograficzna jury przyznało pierwszą nagrodę Karolowi Domańskiemu z Gimnazjum nr 3 w Krasnymstawie za film „Rozmowy” i Aleksandrze Mochniej z II LO za film „Aby gadać”. Drugie miejsce zajęły Estera Moniakowska z Gimnazjum w Rejowcu za pracę fotograficzną „Rozmowy” i Paula Kuźniewska z II LO za pracę fotograficzną „Słowa ciszy”. Trzecie miejsce zajęły Agnieszka Kusiak z Gimnazjum w Rejowcu za pracę fotograficzną „Moje rozmowy z niebem” oraz Alicja Lisiecka i Magdalena Wilińska z II LO za pracę fotograficzną „A może ktoś czeka ...”. Pierwsze miejsce w kategorii plakat filmowy zajęły Karolina Semla z Gimnazjum w Siennicy Nadolnej („Syzyfowe prace”) i Aneta Chwała z I LO („Hamlet”). Drugie miejsce zdobyły Magdalena Krupa z Gimnazjum nr 1 w Krasnymstawie („Hamlet”) i Dominika Wojtał z II LO („Nad Niemnem”). Trzecie miejsce zajęły Żaneta Biezuńska z Gimnazjum w Izbicy („Hamlet”) i Karolina Łaniewska z I LO („Hamlet”).

Po odczytaniu protokołów przez przewodniczących jury, uczestnicy konkursu otrzymali dyplomy i nagrody, a nauczyciele prowadzący - podziękowania i upominki. Następnie odbyła się prezentacja nagrodzonych prac i zwiastuna filmu „Nie o tytuł tu chodzi”.

Na konkurs przybyli zaproszeni goście: Janusz Szpak - starosta krasnostawski, Andrzej Kmicic - wicestarosta krasnostawski, Piotr Kotowski - wiceprzewodniczący Rady PF DKF, Marek Nowosadzki - przewodniczący Rady Powiatu, Andrzej Jakubiec - burmistrz Krasnegostawu, Tadeusz Błyskosz - naczelnik Wydziału Oświaty, Marcin Miś - radny miasta Krasnostaw, Marek Kiciński - przewodniczący Komisji Oświaty, Ewa

Jabłońska - dyrektor Krasnostawskiego Domu Kultury, Anna Antyga - dyrektor Gimnazjum nr 2 w Zakręciu, Beata Korszla - dyrektor Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego, Joanna Szufnara - przedstawicielka Stowarzyszenia „Gloria Vitae”, Sławomir Kozyrski - pracownik TVP Lublin, Andrzej Misiura - redaktor naczelny czasopisma „Nestor” i Stanisław Kliszcz - pracownik KDK.

Sponsorzy nagród to: Polski Instytut Sztuki Filmowej, Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie, Polska Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych, Stowarzyszenie Filmowców Polskich, Krasnostawski Dom Kultury, Stowarzyszenie „Gloria Vitae”, Porozumienie Ziemi Krasnostawskiej, Wydawnictwo STENTOR, Wydawnictwo DANTE Oficyna, Foto-Studio Sarzyńscy, Poligraficzny Zakład Usługowo-Handlowy „TAMGAGRAF” i Drukarnia ROMAR, „Gazeta Wyborcza”, „Rzeczpospolita”, „Gala”, „Przyjaciółka”, Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Krasnymstawie, Zakład Cukierniczo-Piekarniczy „Kawa” oraz sponsorzy prywatni - Marek Nowosadzki i Marcin Miś.

Za organizację konkursu odpowiedzialne były Ewa Magdziarz i Joanna Szufnara. W prace organizacyjne włączyli się: Beata Pasik, Ewa Żelazko, Elżbieta Kargul, Andrzej Ziarko, Stanisław Kliszcz i uczniowie II LO z kl. II a, II b, II c, III a i III e.

Finał konkursu zakończyły podziękowania starosty Janusza Szpaka osobom współpracującym z MDKF-em. Natomiast wicestarosta Andrzej Kmicic i dyrektor II LO Edward Kawęcki skierowali słowa uznania pod adresem organizatorów konkursu popularyzującego sztukę filmową. Andrzej Kmicic podkreślił rolę, jaką II LO odgrywa w środowisku lokalnym, dzięki m.in. takim przedsięwzięciom jak Powiatowy Konkurs Filmowy.

Edward Kawęcki podziękował instytucjom wspomagającym finansowo działalność „Iluzjonu”. Dyrektor II LO podkreślił, że konkurs daje możliwość rozwijania zainteresowań uczniów, uczy wartościowania zjawisk otaczających młodego człowieka.

Organizatorów cieszy fakt, że z roku na rok zwiększa się liczba uczestników i szkół biorących udział w konkursie. Wzrastającemu zainteresowaniu edukacją filmową niewątpliwie służy projekt Filmoteka Szkolna, adresowany do szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych w całej Polsce, w którym MDKF „Iluzjon” aktywnie uczestniczy. W przedsięwzięcia edukacyjne Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej - organizatora programu Filmoteka Szkolna - z dużym powodzeniem wpisuje się MDKF „Iluzjon” działający już od 10 lat.

Ewa Magdziarz
opiekun MDKF „Iluzjon”



Laureaci - Aleksandra Mochniej i Karol Domański z opiekunką w otoczeniu władz powiatu.

Dzień Działacza i Pracownika Kultury

W wypełnionej po brzegi sali Samorządowego Ośrodka Kultury i Sportu w Izbicy (siedziba w Tarnogórze) w dniu 20 maja br. odbyły się uroczyste obchody Dnia Pracownika i Działacza Kultury zorganizowane przez Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie. Tym razem to gmina Izbica miała okazję gościć u siebie ludzi szeroko pojętej kultury. Na sali obecni byli twórcy ludowi, poeci, malarze, członkowie zespołów śpiewaczych, kapel oraz animatorzy kultury.

Wśród zaproszonych gości obecni byli m.in. lubelska wicekurator oświaty - Anna Dudek-Janiszewska, dyrektor Departamentu Kultury, Edukacji i Sportu Urzędu Marszałkowskiego w

Lublinie - Mirosław Korbut, szef biura senatorskiego Igor Stasiuk, dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Lublinie - Zofia Ciuruś, dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Lublinie - Artur Sępoch, zastępca dyrektora Biura Zarządu Głównego Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie - Paweł Onochin. Samorząd powiatowy reprezentowali: starosta Janusz Szpak, wiceprzewodniczący Rady Powiatu Ludwik Kafarski, członkowie Zarządu - Janusz Pędzisz i Henryk Czerniej, przewodniczący Komisji Oświaty Marek Kiciński oraz naczelnik Wydziału Oświaty Tadeusz Błyskosz.

Uroczystość w Tarnogórze otworzył zastępca wójta Józef Bobel, który w dalszej części nagroził przy tej okazji 19 twórców ludowych z terenu gminy Izbica. W imieniu samorządu powiatu

krasnostawskiego, do pracowników placówek kulturalnych, twórców i działaczy kultury życzenia i wyrazy wdzięczności kierował starosta Janusz Szpak. W swoim przemówieniu przedstawił także formy obchodów Roku Chopinowskiego na terenie powiatu. Zwrócił także uwagę na konieczność włączania do różnych form kulturalnych krasnostawskiej młodzieży.

W dalszej części członkowie Zarządu przekazali pisemne podziękowania wraz z kwiatami na ręce 12 osób i dwóch instytucji najbardziej wyróżniających się w ostatnim roku na niwie kulturalnej.

Podziękowania otrzymali:

Bronisława Żuk - opiekun artystyczny Grupy Plastycznej PALETA w Krasnymstawie;

Andrzej David Misiura - redaktor naczelny Czasopisma Artystycznego „Nestor”;

Mariusz Kargul - animator kultury, członek Grupy Literackiej A-4;

Irena Iwańczyk - literat;

Dorota Rybczyńska - dyrektor Gminnego Centrum Kultury w Siennicy Nadolnej;

Andrzej Leńczuk - prezes Stowarzyszenia „Gloria Vitae”;

Joanna Radziszewska - starszy kustosz Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie;

Jadwiga Pędzisz - kustosz Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie;

Dorota Korkosz - starszy kustosz Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie;

Krystyna Łazowska - dyrektor Publicznej Biblioteki Gminy Rudnik;

Barbara Wargol - bibliotekarka Biblioteki Publicznej Gminy Rudnik;

Danuta Majcher - bibliotekarka Gminnej Biblioteki Publicznej w Fajslawicach, Filia w Siedliszczu;

Miejska Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie;

Gminna Biblioteka Publiczna w Izbicy.

W ramach obchodów Dnia Działacza i Pracownika Kultury rozstrzygnięto również konkurs „Kultura”. W bieżącym roku, w kategorii Animator Kultury nagrodę otrzymała Irena Zaraza z Siennicy Różanej. W kategorii Talent Artystyczny nagrodę przyznano Magdalenie Krupie z Krasnegostawu. W kategorii Zespół Artystyczny nagrodę otrzymał Zespół Śpiewaczy „Sami Swoi” z Dobryniowa. W kategorii Twórca Kultury kapituła przyznała nagrodę poecie Janowi Henrykowi Cichoszowi z Krasnegostawu. Łącznie nominowanych było 12 twórców i zespołów z terenu powiatu krasnostawskiego.

Znakomicie wypadła część artystyczna przygotowana wyłącznie przez wykonawców z

gminy Izbica. Zarówno ci najmłodsi ze szkoły w Tarzymiechach, jak też soliści, czy zespół śpiewaczy w połączonych siłach z orkiestrą dętą potrafili wzbudzić wśród publiczności długie brawa.



Naczelnik wydziału Tadeusz Błyskosz jako pierwszy składa gratulacje nagrodzonej Magdzie Krupie.

Foto Sławomir Kamiński

Na zakończenie wszyscy uczestnicy mieli okazję wymienić swoje poglądy o kulturze przy akompaniamencie zespołu „Sami Swoi”, a także popробować smakowitości przygotowanych przez Koła Gospodyń Wiejskich pod kierunkiem pani dyrektor SOKiS w Izbicy, której należą się ogromne słowa uznania za wspaniałą współpracę i organizację.

(www.krasnystaw-powiat.pl/main.php?menu=aktualnosci)

„Moje dni to złota księga”

Powiatowa Biblioteka Publiczna była gospodarzem obchodów uroczystego jubileuszu 45-lecia pracy twórczej krasnostawskiej poetki Marii Gleń. Była to również doskonała okazja do promocji najnowszego tomiku wierszy „Moje dni to złota księga” autorstwa jubilatki. Jest to dziewiąty tomik znanej nie tylko z pisania, ale także ze swojej społecznikowskiej działalności mieszkanki naszego powiatu.

Jubileusz miał wielce uroczysty charakter. Najlepsze życzenia, list gratulacyjny i bukiet kwiatów przekazali obecni na spotkaniu starosta Janusz Szpak i wicestarosta Andrzej Kmicic. Nie zabrakło życzeń od burmistrza Andrzeja Jakubca, wiceprzewodniczącego rady Ludwika Kafarskiego, przewodniczącego Komisji Oświaty Marka Kicińskiego. Słowa najwyższego uznania można było usłyszeć z ust zastępcy dyrektora Stowarzyszenia Twórców Ludowych Pawła Onochina. Ciepłe słowa przekazała pani Halina Kosienkowska, która jest autorką wielu recenzji twórczości Marii Gleń.

Miłą niespodzianką była recytacja wierszy jubilatki przez laureatki konkursu poetyckiego nazwanego jej imieniem. Pani Maria również recytowała swoje wiersze, dobierając je w taki sposób, że publiczność miała okazję i do śmiechu, i do zadumy. Oprawę muzyczną całej uroczystości wykonał, w jakże oryginalny sposób, zespół „Styrta” z Gminnego Centrum Kultury w Siennicy Nadolnej.

Podczas uroczystości można było obejrzeć wycinanki Pani Marii oraz ekspozycję składającą się z dotychczasowych wydawnictw oraz licznych odznaczeń, wśród których na centralnym miejscu znajdował się medal „Gloria Artis” przyznawany osobom zasłużonym w krzewieniu kultury.

Maria Gleń, z domu Czerpak, urodziła się 2 września 1933 roku we wsi Zakręcie. Żyje i tworzy w starannie utrzymanym i zadbanym domu swoich rodziców. W wieku ośmiu lat stała się sierotą - wojna zabrała jej kolejno ojca, matkę i babcię. Zmuszona do zarabiania ciężką pracą na swoje utrzymanie od 11. roku życia, mogła ukończyć tylko siedem klas szkoły podstawowej.

Maria Gleń to dobrze znana, nie tylko w swoim środowisku poetka ludowa, wycinarka, popularyzatorka folkloru, animatorka kultury. Związana z pracą na roli, wykazała wiele energii i odporności fizycznej, godząc obowiązki gospodyni, żony, matki (doczekała się trojga dzieci) z pracą literacką i społeczną. Całe swoje dorosłe życie była bowiem niezwykle aktywna społecznie. Pełniła 12 ważnych funkcji. Była między innymi radną, wiceprzewodniczącą Rady Spółdzielni Oszczędnościowo-Pożyczkowej (SOP) w Krasnymstawie (przez 16 lat), członkiem Rady SOP w Lublinie, sołtysem w Zakręciu (3 kadencje), działaczem, kontrolerem i członkiem Zarządu Wojewódzkiego Zrzeszenia Producentów Trzody Chlewnej. Założyła w Zakręciu Koło Gospodyń Wiejskich, któremu przewodniczyła przez 17 lat. Powołała tam też do życia ZMW (1968), od 1983 roku jest jego członkiem honorowym. Od roku 1975 pracuje w radzie Gminnej Spółdzielni.



Maria Gleń ozdoba starostów

Przez wiele lat współpracowała z kapelą ludową w Małochwieju. Pracowała bardzo aktywnie w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej. Była także członkiem Prezydium Rady Krajowej Sceny Ludowej, społecznym opiekunem zabytków, członkiem Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej.

(www.krasnystaw-powiat.pl/main.php?menu=aktualnosci)

Wrytmie jubileuszy

Przed dwoma laty, przy okazji promocji zbioru wierszy *Codzień*, Jan Henryk Cichosz świętował 30. rocznicę debiutu książkowego i sześćdziesięciolecie urodzin. Zaś 11 maja 2010 roku zaprosił nas na promocję jedenastego tomiku *In blanco* i tym razem spotkanie połączył z jubileuszem 35-lecia twórczości literackiej biorącym swój początek od debiutu prasowego. Autor przed dwoma laty zapowiadał, że po wydaniu 10 tomików poezji nadszedł już czas, aby więcej uwagi poświęcać jakości zamiast ilości. *In blanco* zawiera więc tylko 24 wiersze.

Wydaniem tomiku zajęła się Miejska Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie i prezentowała go w ramach obchodów Tygodnia Bibliotek (8-15 maja) organizowanego corocznie przez Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich. Ponadto uczestnicy spotkania mogli obejrzeć wystawę „Matka Boża w linorytach Zbigniewa Józwicka” znanego lubelskiego artysty grafika, oraz wysłuchać koncertu gitarowego Grzegorza Klocka - ucznia III klasy - II stopnia Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej im. Karola Lipińskiego w Lublinie. Spotkanie nagrywała dla Polskiego Radia Lublin redaktor Maria Brzezińska.

adm



Poeci Marian Cichosz (były wiceminister) sprawdza Jana Henryka Cichosza (jubilatą). Foto Artur Borzęcki

Debiut

Wiktoria Tomczyk**Selekcja myśli**

ulotne myśli na wiatr
trwale zostawiam
dusza rozwija pąki

w czas wiosny
widzę jak uciszasz
wewnętrzne ja

szukasz siebie
w oceanie
niepoukładanych uczuć

szukasz wrażliwego
marmuru
szukasz samodzielności
w śladach tłumu

Ciemne okulary pesymizmu

nie zauważasz kropli
bo i nie widzisz żdźbła
na którym leży

nie spostrzegasz ziarna
bo ich tysiące
choć co jedno
to bardziej złote

nie widzisz piękna
ukochanej ziemi
bo zasłaniają go
ciemne okulary

Wieczorem

wieczorem
wśród kłosów
wiatr tańczy oberka

słońce
obejmuje twarz ziemi
zdeptane
oblicze ojczyzny

na kwiaty opada mgła
srebrne kropelki spadają
z kopuły planety

topola
śpiewa znaną ci piosenkę
księżyc wschodzi
na wieczorne niebo
i gwiazdy toną
w hebanowym jeziorze

Kiedy zapukasz

w objęciach ciszy
odchodzisz z mego świata

przesycona goryczą
słucham cichego zegara
pragnę

kiedy zapukasz
otworzę

później
popłyniemy

jak miłosierne godziny

Krótką rozmowa

nie rozumiem
dlaczego moje myśli przy tobie
nie jesteś piękny
zwyczajne rysy
uśmiech
i włosy zwyczajne

zadarty nos
oczy
wieczornie zamglone
koloru nieopisanego

uśmiechnięty
fałszywie?
nie wiesz
co warte twojej miłości

nie znam cię bliżej
bo ciągle znikasz

taka nasza rozmowa



Wiktoria Tomczyk ma piętnaście lat. Mieszka w Jaślikowie niedaleko Krasnegostawu i dużo pisze. Jest uczennicą drugiej klasy Gimnazjum nr 2 im. mjr. Stanisława Sokołowskiego w Zakręciu.

Andrzej David Misiura

Krasnostawskie zadziwienia

Minął maj wypełniony różnorodną ofertą kulturalną, począwszy od imprez przedszkolnych, szkolnych, zakładowych i samorządowych, poprzez działalność bibliotek, domów kultury i muzeum. Wśród kwietniowych i majowych wydarzeń, szczególne miejsce zajęły patriotyczne uroczystości upamiętniające zbrodnie katyńskie. I tak być powinno. Mnie zaś niezmiennie intrygują pytania: jak to się dzieje, że autorami i wykonawcami najwartościowszych inicjatyw są ludzie, którym nikt za to nie płaci? Ludzie, którzy pracują w zupełnie innych zawodach. Dlaczego im się więcej chce? Można uciąć dywagacje stwierdzeniem - pasja! Tak, ale co w takim razie powiedzieć o zawodowcach? Moją listę zadziwień otwiera

Gloria Vitae

Stowarzyszenie, które powstało z inspiracji Andrzeja Leńczuka i w części jest alternatywą dla działalności domu kultury. Skupia coraz więcej sympatyków. Gloria Vitae to także doroczny koncert, którego zazdroścą nam inne miasta. Zwykle rozpoczyna się późnym wieczorem i zawsze gości znakomitych artystów. Tego roku odbywał się w ramach *PGE Festiwal Chopin Transgraniczny. Od klasyki do jazzu*. Zapoczątkowany został wieczornym recitalem fortepianowym Stanisława Drzewieckiego, wśród majestatycznych ruin zamku w Krupem. Następnego dnia (30 maja) tradycyjnie zabrzmiał w kościele św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie. Tam z kolei królowała w interpretacji Chopina jazzowa wokalistka Lora Szafran i aktor Emilian Kamiński. Andrzej Leńczuk zadbał także aby w dniach festiwalu odsłonić w Krasnymstawie i Łucku pamiątkowe tablice na okoliczność pobytu w 1830 roku w tych miastach genialnego muzyka.



Od lewej: A. Leńczuk, E. Kamiński, L. Szafran, Etelli Chuprik

Foto P. Sarzyński



Foto P. Sarzyński

Jeszcze Polska...

Drugie zadziwienie dotyczy społecznej działalności regionalisty Leszka Janeczka, na którą znajduje czas mimo, że na co dzień jako doktor nauk medycznych pełni obowiązki ordynatora w szpitalu. W swoich zbiorach posiada kilkaset wywiadów uzupełniających wiedzę historyczną wykraczającą częstokroć tematem poza teren Krasnostawszczyzny. Ostatnio zajmował się wyjaśnianiem faktów dotyczących zbiorowego mordu na przedwojennej inteligencji w Kumowej Dolinie (szczegóły w oddzielnym artykule), czego finałem stał się pomnik-tablica upamiętniająca 70. rocznicę śmierci jednej z ofiar, a mianowicie Feliksa Pawłowskiego ówczesnego intendenta (czytaj dyrektora) szpitala św. Franciszka w Krasnymstawie. Uroczystość poprzedziła msza św. w pobliskim kościele pw. Trójcy Przenajświętszej, następnie dr Leszek Janeczek relacjonował przebieg dramatycznych scen aresztowania poszczególnych postaci. Godnym uwagi jest, że o oprawę artystyczną zadbała młodzież, po czym wszyscy ze sztandarami udali się do miejsca pamięci. 21 maja 2010 roku dźwięk narodowego hymnu zatrzymywał przechodniów, a nawet samochody przejeżdżające opodal krasnostawskiego szpitala. Tą chwilę uczcili nie tylko



www.krasnostaw-powiat.pl



mieszkańcy miasta, ale i władze powiatu, rodziny ofiar sprzed 70 lat, delegacje wszystkich oddziałów z dyrektorami SP ZOZ w Krasnymstawie, oraz grono historyków i literatów. Obok olbrzymiego głazu z tablicą zasadzono symboliczny dąb podobny do tych, jakimi ostatnio upamiętniano ofiary zbrodni katyńskiej. Ten dzień należał do dr. Leszka Janeczka, bo to tylko dzięki jego determinacji mogliśmy tam być i szczerzyć się naszym patriotyzmem.

Niestrudzony młody gniewny...

...w osobie Mariusza Kargula to kolejna postać, która staje się coraz bardziej rozpoznawalna. Dobrze zapowiadający się prozaik i dziennikarz, w ciągu kilku ostatnich lat dał się też poznać jako świetny organizator licznych spotkań literackich. Swoje „zwarowane” pomysły realizuje z pomocą społeczników i różnych instytucji. Ostatnią znaczącą imprezę, do której doprowadził 27 maja 2010 roku nazwał *Festiwałem Sztuk Krasnych im. Stanisława Bojarczuka*. Wykorzystał możliwości



Jurij Andruchowycz w trakcie koncertu z zespołem Karbido na dziedzińcu Muzeum Regionalnego, foto Wojciech Machejus.



Mariusz Kargul w trakcie rozdawania tomików "Linii liryki" gościom i uczestnikom sesji popularnonaukowej "Misterna sztuka sonetu w podcieniach knieiej strzechy" w Młodzieżowym Domu Kultury, foto Marta Zorska.

Młodzieżowego Domu Kultury, Powiatowej oraz Miejskiej Biblioteki Publicznej, Muzeum Regionalnego, a także kilku wybranych samorządowców i samorządów gminnych. Festiwal rozpoczynała msza św. za duszę poety Stanisława Bojarczuka. Wprowadzeniem była sesja popularnonaukowa pod przewodnictwem dr. Józefa Zięby, w której wzięli udział dr Krzysztof Fiołek (UJ), dr Leszek Janeczek, dr hab. Zenon Ożóg i dr hab. Adrian Uljasz - profesorowie Uniwersytetu Rzeszowskiego, mgr Ewa Łoś - Muzeum Literackie im. J. Czechowicza, mgr Artur Borzęcki - Miejska Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie i inni. Sesję prowadził mgr inż. Lucjan Cimek, natomiast Stanisław Kliszcz - wieczorne widowisko estradowe

Andrzej Stasiuk, przy starej plebanii czyta sonet Stanisława Bojarczuka "Burza", niedługo przed jego wykonaniem na scenie, foto Marta Zorska.





Nastroje uczestników Festiwalu podczas imprezy w "Galerii Retro". Andrzej Denis i Marta Zorska w trakcie odgrywania scenki pt. "A kuku panie Bojarczuku!", foto Wojciech Machejus.

na dziedzińcu muzeum. Rozgrzewką był gitarowy recital Moniki Krajewskiej - młodziutkiej i całkiem sympatycznej wokalistki rodem z Dębina. W przerwach honorowi goście mieli za zadanie zmierzyć się z trudną interpretacją sonetów patrona festiwalu, a byli wśród nich: Jurij Andruchowycz, Stefan Darda, Witold Dąbrowski, Zbigniew Dmitroca, Krzysztof Fałek, Krzysztof Kulig, Mateusz Marczewski, Sławomir Rudnicki, Andrzej Stasiuk i Tomasz Wybranowski. Widzowie odnieśli wrażenie, że koncert Kapeli Folkowej Styrtu z Siennicy Nadolnej puentuje wszystkie recytacje. Rytmicznie, melodyjnie i żwawo. I wreszcie koncert finałowy: Andruchowycz + Karbido - Cynamon 2010 PL Tour. Drapieżny, o symboliczno-filozoficznych słowach wprowadzał momentami niepokój i wprawiał w zakłopotanie. Nie zastanawiałem się jednak czy kryje w sobie jakieś aluzje kulturowe. Teksty były mimo wszystko dobre i na szczęście najpopu-larniejszy ukraiński literat Jurij Andruchowycz zupełnie dobrze posługiwał się językiem polskim.

Do wywołania tej listy posłużyły mi konkretne działania, których ostatnio byliśmy świadkami. Wcześniejszych przykładów też nie brakuje. Ale wróćmy do kolejnych zjawisk.

Szkoła artystów

To nic innego jak działalność Stowarzyszenia Twórców Kultury PALETA. Istnieje od ośmiu lat, ale nie wiek jest jego atutem, tylko kształtowanie talentów. Z jego działalności wyróżnia się grupa plastyczna PALETA, na którą ze znakomitym skutkiem zapracowała Bronisława Żuk, doświadczona malarka i wieloletni instruktor Młodzieżowego Domu Kultury w Krasnymstawie.

Poza pracą zarobkową (tym razem) z grupy dorosłych miłośników plastyki potrafiła odkryć i ukształtować naprawdę ciekawych twórców i artystów. Ludzi różnych zawodów, w różnym wieku, dla których sztuka jest czystą radością pozbawioną cienia komercji.

Monografia

Do czego nie mogli się zabrać zawodowcy, dokonał Kazimierz Stołecki. Doktor w dziedzinie nauk chemicznych zaskoczył historyków, zawstydził władze miasta i własnym nakładem, za swoje prywatne pieniądze upublicznił wiedzę zgłębianą od wielu lat, i którą w efekcie zawarł w książce *Krasnystaw. Rys historyczny* (recenzje dwukrotnie publikowaliśmy w Nestorze). Dr Kazimierz Stołecki, chociaż od 40 lat pracuje i mieszka w Puławach, sercem jest w Krasnymstawie. Nieprzerwanie odkrywa i układa karty historii rodzinnego miasta i zamieszcza je na własnej stronie internetowej. Z jego wiedzy korzystają setki osób. Powiedzieć o nim „człowiek z pasją” to za mało.

Pora na „Nestora”

Na zakończenie listy wybranych zadziwień, nieuczciwością i pruderią byłoby przemilczeć zjawisko naszego czasopisma. Bo jak to się dzieje, że Nestor bez własnego budżetu i przy znikomej pomocy finansowej doczekał dwunastu wydań? Kto chciałby darować każdego kwartału 1000 gratisowych egzemplarzy zapisanych pracami wartościowych autorów i dziennikarzy, którzy także nie oczekują na honoraria? Pilny obserwator zapewne zauważy, że istnieją i inne darmowe gazety (czerpiące dochód z reklam), które też nie wypłacają wierszówek autorom, ale my możemy pochwalić się atutem trudnym do przebicia. Mianowicie Nestor redagowany jest w całości społecznie i gdyby chodziło tylko o moją osobę zapewne nie podnosiłbym tego tematu. Robię to z szacunku dla pracy moich kolegów, którzy redagowaniu poświęcają wiele swojego prywatnego cennego czasu. Specjalne podziękowania należą się więc wszystkim sponsorom, współpracownikom i korespondentom, ponieważ to dzięki nim redakcja ma zajęcie, drukarnia - pracę, a czytelnicy - wierzę w to - dobrą lekturę.

Andrzej David Misiura

Małgorzata Stefaniak

Piekło

flirtuję z myślą
która podąża za tobą

szukam nocy
która przytuli mnie
do twojego ciała

schodzę do piekła
rozgrzanego rumieńcem
zakłopotania
wszystko po to
aby przetrwać
kolejny raz - bez ciebie
do rana

* * *

medytacja jak latarka
z którą zaglądam
w głąb siebie
schodzę do piwnic
cierpienia i tchórzostwa
tam
ciemno i cicho
ale nie czeka na mnie
nic złego

* * *

codziennie
o tej samej porze
słucham grania
trąbki pocztyliona
potem drżenie ciała
wstrząsa
znajome zakamarki
pamięci

nie piszesz do mnie
chciwa wyobraźnia
podsuwa zemstę

chyba spalę twój list
kiedy
nadejdzie

* * *

kiedy zegar przestał bić
wszystko zostało na swoim miejscu
teraz pielęgnuję chwile
które nie znalazły swojego miejsca
karmię je czule
jak kotka
mlekiem samotności
potem zamknę
w mistycznym kole
niewidzialnej świątyni uczuć

* * *

między chwilą
w której istnieję
a chwilą
w której mnie nie ma
zero czasu
aby być
więc jak to możliwe
że ciągle tu mieszkam

* * *

koszmar tego miejsca
zbliżył nas do siebie
ta znajomość
robi się bolesna

nasza historia toczy się od końca
i nie musimy myśleć o tym
co zdarzy się jutro
to nie jest rebus
i nie bazujemy na doświadczeniu

zrobimy rzeczy
których nigdy
nie będziemy mogli wyjaśnić



Alfred Przybysz - grafika

Utopia
Niee
Trująca Fala

Kazimierz Bolesław Malinowski

Pank is intelektualnie wypalony

Włączam ci ja płytkę zespołu pankowego Utopia, zaczynają dźwięki dziarskie płynąć, dą, dą, jest nieźle, i nagle wokół wchodzi, wpada, kobiecy, jak najbardziej, i w pierwszym odruchu myśl - w nogi! Nie ma się co śmiać. Jak już człowiek trochę na tym łez padole pożył, to mu się wrzeszczący babski wokół kojarzy z silnym stresem i nagłą tendencją eskapistyczną na okoliczność rozpadu związku. Ale zaraz ogarnąłem się, he, to tylko głośniczek głupiec, nic osobistego. Można wysłuchać, wykazując cierpliwość kapłana co przez sitko w konfesjonale różnych, na ogół dość przykrych rzeczy musi wysłuchać i profesjonalnie nie pęka. I tak - muza bez zarzutu, jest prawie znakomicie, dynamika, zgranie sekcji, melodyjność, sprawność w obsłudze instrumentów. Ten sposób prowadzenia wokalu żeńskiego znam i generalnie szanuję, tak jak szanuję dokonania grupy Post Regiment. Utopia to klon, nie ma się co obrażać. Klon Pidżamy, Happysad, niektórzy twierdzą, że ulepszył oryginał. I też - po co otwierać wyważone drzwi itd.

Jak ja nienawidzę gadania w rodzaju: mamy na rynku duży wybór, rynek płytowy, oferta rynkowa. Wiadomo powszechnie, że kapitalizmu bolączka to kryzys nadprodukcji i bezrobocie. Za komuny było pełne zatrudnienie i kryzys niedopro-

dukcji. Wtedy każdy kit był połykany z apetytem. A młode żołądki mogły znieść wiele i ciągle miały apetyt na jeszcze. Panki wtedy grały totalną amatorkę, rozstrojeni, nierówni, źle zmasterowani, no chłam pod każdym względem, teksty też w większości były kiepskawe. Ale niosły się te charkoty z kasety na kasetę, aż do stanu szumu niemal białego, jak przy odbiorze sygnału Radia Wolna Europa. I było to pyszne, był tam zew Cthulhu. Teraz już Europa jest całkowicie wolna, aż do bólu, aż do młodości, aż do ataku klaustrofobii, a panki wyśrubowały parametry techniczne pod każdym względem, i można krystaliczne dźwięki chłonać i skucha, zero rebelianckiego ducha. Tak jak ze stylistyką realsocowych plakatów zastosowaną do reklam. Żart, pastisz. Śpiewa zatem rozżalona młoda dama głosem awanturnicy opieprzającej leniwego małżonka, że świat jest generalnie do wymiany. Zgoda, ale warto by tę myśl jakoś filuternie rozwinąć, żeby nie grzęznąć w banale wywrzeszczanym jako pilny komunikat o niesłychanej wadze. W Jarocinie '84 pewnie Utopia rzuciłaby pogującą publiczność na kolana. Tak jak dla Połomskiego poważną konkurencją byłby późniejszy Turnau. A więc ponura konstatacja: Punk nie jest dead, on się po prostu zużył, jeśli by po wykonawcach w rodzaju Utopii można uogólniać. W tekstach ten sam co zawsze zestaw, frustracja, alienacja, aj ken get non satysfekszyn. *Chcę oprzeć się na konkrety/ Mocniej trzymam się chodnika. [...] Nie mam nic do powiedzenia/ Nieciekawość rządzi moim światem/[...] Intelektualnie wypalona/ zmień coś zmień, powtarzam sobie.* Utopia bez znieczulenia zdiagnozowała stan polskiego pankrocka.

Kazimierz Bolesław Malinowski

Zbigniew Atras

Ideal sięgnął korzeni, czyli Noce Chopinowskie na zamku w Krupem

Późnym popołudniem 29 maja 2010 roku za sprawą Stanisława Drzewieckiego, monumentalne ruiny zamku w Krupem odwiedził Fryderyk Chopin. Niepowtarzalne dźwięki muzyki naszego genialnego kompozytora zabrzmiały i zawładnęły murami starego zamczyska. W mistrzowskim wykonaniu Stanisława Drzewieckiego chopinowskie akordy odbite od krupskich ruin spłynęły wprost do serc licznie przybyłych mieszkańców Krasnegostawu i okolic. Była to prawdziwa uczta dla naszych spragnionych dusz, których liczba, jak wskazuje frekwencja na koncercie, z roku na rok

stała się powiększa. Wiem, że należnym miejscem wykonania dla wielkich kompozycji Chopina są najwspanialsze sale koncertowe świata, ale wieczór w Krupem pokazał, że w ruinach naszego zamku polskość tej muzyki dotknęła namacalnie źródeł swego pochodzenia. Właśnie tu, w Krupem, wśród drzew i krzewów pobliskiego parku dworskiego Krupskich, okolicznych pól i łąk, nad brzegiem malowniczego stawu, wśród ruin starego zamczyska z krążącymi nad nimi bocianami, niczym sielskimi symbolami polskości, oraz z rosnącą wraz z narastającym mrokiem liczbą szybujących nietoperzy-akrobatów, stęsknione ojczyzny dźwięki muzyki Fryderyka Chopina powróciły do domu. Nawet rozkumkane jak zwykle wieczorową porą, setki żab z krupskiego stawu, tym razem wstydliwie zamilkły. Chyba sam Fryderyk

z wysokości niebios spoglądał zdumiony na niespotykaną choreografię dla swojej muzyki, bo deszczowe chmury wyraźnie odsunęły się niczym firanki w oknie. Muzyka Chopina zabrzmiała tak swobodnie jak w dworcu w Żelazowej Woli, czy przy pomniku kompozytora w warszawskich Łazienkach i nie jest to wcale takie dziwne. Przecież Fryderyk Chopin, co jest wzruszające i napawa nas dumą, przebywał w Krasnymstawie, a dokładnie to przejeżdżał przez nasze miasto linią dyliżansów królewskiej poczty konnej. W zachowanym do dziś budynku krasnostawskiej poczty młody Chopin odpoczywał w czasie podróży do Poturzyna, dokąd jechał odwiedzić swego najserdeczniejszego przyjaciela Tytusa Wojciechowskiego. Było to 13 lipca 1830 roku. Jechał nadwiślańskim szlakiem przez Górę Kalwarię, Puławę, Krasnystaw. Miał wtedy dwadzieścia lat i ogrom muzycznego geniuszu w sobie. W budynku krasnostawskiej poczty, w czasie postoju dyliżansu, pewnie zjadł posiłek. Być może rozprostował nogi na krótkim spacerze przez miasto i podziwiał krasnostawską starówkę, czy widoczny z dziedzińca poczty piękny kościół św. Franciszka, z górującą nad całym miastem, dwukondygnacyjną kopułą i figurą Matki Boskiej na jej szczycie. Nie grał, bo nie było na czym. Nie wiedział, że dwieście metrów dalej stoi starościnśki dwór przypominający wyglądem ten rodzinny z Żelazowej Woli, i gdzie tak samo - główne miejsce w salonie zajmuje fortepian. Pewnie wzdychał i rozmyślał o pięknej Konstancji Gładkowskiej, w której był bez pamięci zakochany, i której nigdy o swych uczuciach nie powiedział. Dwa tygodnie później, w drodze powrotnej do Warszawy, ponownie zatrzymał się w Krasnymstawie, gdzie musiał się przesiąść na dyliżans linii warszawskiej. Pewnie znów podziwiał miasto i piękno okolic, lub wstał na modlitwę do byłej katedry, czyli kościoła św. Franciszka. Niebawem wyjechał z kraju, do którego już nigdy nie powrócił. Być może to właśnie obrazy ziemi krasnostawskiej, tak jak okolic niedalekiego przecież Poturzyna utkwiły w pamięci młodego kompozytora jako wspomnienia ojczyzny i na zawsze pozostały w cudownych dźwiękach, pełnych polskości mazurków i polonezów.



Foto P. Sarzyński

Chopinowski koncert Stanisława Drzewieckiego był popisem warsztatu, artyzmu i mistrzostwa. Tego wieczoru w wykonaniu artysty usłyszeliśmy: polonez A-dur op. 40 nr 1, nokturn cismoll op. posth, balladę g-moll op. 23, walcę (As-dur op. 34 nr 1, a-moll op. 34 nr 2, F-dur op. 34 nr 3), mazurki op 7 (B-dur nr 1, a-moll nr 2, f-moll nr 3, As-dur nr 4, C-dur nr 5), scherzo h-moll op. 20 i polonez As-dur op. 53, a na bisy: Fantaisie Impromptu cismoll op. 66 i preludium e-moll op. 28 nr 4. Recenzję koncertu w temacie muzycznym pozostawiam fachowcom oraz znawcom warsztatu i muzyki Chopina. Mogę tylko stwierdzić, że było to dla mnie



i moich znajomych duże przeżycie. Ten koncert pozostanie na długo w naszej pamięci i jak bardzo będzie żal, gdy w maju przyszłego roku takiej imprezy zabraknie. Szkoda, bo Krasnystaw jest ubogi w koncerty muzyczne na tak wysokim poziomie wykonawczym, a chyba jedyny porównywalny - to coroczny Gloria Vitae w kościele św. Franciszka. Dlatego pragnę złożyć serdeczne podziękowania organizatorom i sponsorom tego niezapomnianego i niepowtarzalnego widowiska, jakim był koncert chopinowski Stanisława Drzewieckiego w ruinach zamku w Krupem. Wiem, że nie wypada prosić o więcej, ale można pomarzyć jak byłoby wspaniale, gdyby Fryderyk Chopin pozostał z nami na dłużej, tak jak w Dusznikach, no może na mniejszą skalę, a nie tylko w tym jednym rocznicowym koncercie. Początek został zrobiony.

Za sprawą miłośników regionu i muzyki Chopina, oraz entuzjastów i sponsorów, 30 maja na budynku starej poczty konnej odsłonięto tablicę upamiętniającą pobyt kompozytora w Krasnymstawie. Tych kilka kroków Chopina zostało upamiętnionych i pozostanie w Krasnymstawie już na zawsze, ale mam cichą nadzieję, że z czasem nasz wielki Fryderyk uda się na dłuższy spacer, zawita i zostawi swój trwały ślad także w malowniczych i gościnnych ruinach staropolskiego krupskiego zamku.

Zbigniew Atras

Tadeusz Rawa**Wiersze**

Wyciskam wiersze
jak pastę do zębów
z tubki dawno pustej

Wtedy sączy się
biała obła nie do
wytrzymania
udręka

Gra

Gdy znajdę się po drugiej stronie
i zasiądę przy zielonym stoliku
to nie będę robił wyrzutów
z powodu Auschwitzu
rozbiory Polski pominę dyskretnym milczeniem
a przypadkowość ofiar tsunami
zostawię na następny raz

Nawet o NKWD
które szarym świtem zabrało
na zawsze
pierwszego męża mojej mamy
nie będę się awanturował

Za to nie odpuszczę
bezzradności muchy w sieci pająka
pająka w dziobie ptaka
ptaka spotkania z kulą

I że na rękę
miałem za mało kart
a może wystarczająco

Bogowie

Bogowie
nie oszczędzają
wielkich ludzi:

suchoty Szopena
Salieri Mozarta
szrapnel Baczyńskiego
kula Puszkina
żona Mickiewicza

Może po to
aby uniknąć
inflacji genialności

Bogowie nie oszczędzają
wielkich ludzi
a raczej
na odwrót

Rzecz o miłości

Nie wiem kto kiedy
i po co wymyślił
słowo miłość

Wymyślił to mało
Na tym słowie
wielu budowało
i niszczyło życie

Tworzono dla niego religie
i systemy polityczne
bo przecież komunizm
był próbą
niezdarną to fakt
przymuszenia do miłości

Najgorzej zawsze
było gdy zaczynało
wprowadzać miłość
na wielką skalę

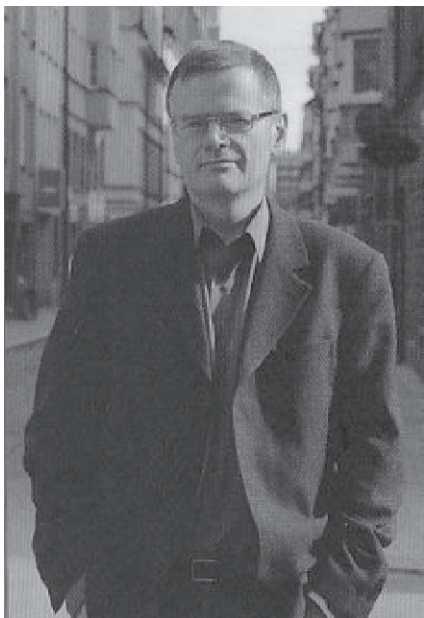
Chociaż na mniejszą skalę
też nie było zbyt różowo
nastawiałeś drugi policzek
i zaraz w niego dostawałeś
a cichy i pokornego serca
szybko tracił rachubę
kopniaków i razów

A przecież wystarczyłoby
wsluchać się w przysłowia
tam wszystko jest
i pochyłe drzewo i koza
i jak sobie pościelisz
i kuj żelazo i Bóg w dom
i nie rób drugiemu

Szczególnie
nie rób drugiemu

Chociaż kiedyś
spotkałem człowieka
który powiedział
to co robię
robię z miłości

Popatrzyłem mu w oczy
I musiałem spuścić wzrok



Tadeusz Rawa przedstawia się dzisiaj jako poeta chociaż na ogół zajmuje się dziennikarstwem. Urodził się 11 marca 1959 roku we Włodawie. Studiował filologię skandynawską na Uniwersytecie Gdańskim i taką drogą trafił do Szwecji gdzie współpracował z kilkoma gazetami i redakcją polską szwedzkiego radia. Przez kilka lat był też korespondentem skandynawskim radia RMF FM. Jest współautorem *Szkołnego słownika ortograficznego z wierszykami* w opracowaniu Edwarda Polańskiego i Ewy Dereń (2007, Arti Centrum). Wiersze dla dzieci opublikował także w książce *Alfabet Kacpra* (2008, Impuls). W dorobku twórczym ma na swoim koncie trzy tomiki poetyckie: *Ballada o siedmiu zbójach i inne wiersze* (2005, Fundacja Sztuki na rzecz „Integracji”); *Przejście graniczne* (2008, Impuls) oraz *Boski shopping* (2010, Impuls).

Poezja Tadeusza Rawy jest czytelna i zrozumiała dla każdego czytelnika co nie znaczy, że zapisana została pospolitym językiem. W tekstach zauważa się nie tyle przejaw buntu wobec filozofii religii lub świata, co refleksyjne, a niekiedy ironiczne rozważanie uznanych prawd. Odnajdujemy w niej obrazy codziennych sytuacji nierzadko skomentowane zaskakującą treścią i puentą. Czasem trudno się dziwić wyczerpującej dociekliwości poety, który jest ważnym obserwatorem, a przede wszystkim dziennikarzem. Być może stąd wybór ciekawych tematów, a jeżeli chodzi o formę - mniej wierszy pisanych w pierwszej osobie.

adm

Wiesław Krajewski

Chopin w kosmosie

Rok Chopinowski obchodzony jest w różnoraki sposób. Niekiedy tradycyjny, to znów zaskakujący, nieraz nawet dziwny. Słuchaliśmy utworów Chopina wykonywanych w sposób klasyczny, w transkrypcjach na różne instrumenty, na jazzowo, rockowo, elektronicznie, satyrycznie, operowo, baletowo i na tysiąc innych sposobów. Trzynastodniowa misja STS-130 programu lotów amerykańskich wahadłowców była jednym z ciekawszych przedsięwzięć z tym związanych. Lot promu Endeavour do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, którego start nastąpił 8 lutego 2010 r., miał na celu przede wszystkim dostarczenie na orbitę kolejnych modułów budowanej ciągle stacji oraz specjalnej siedmioookiennej kopuły, przez którą będzie można obserwować przestrzeń kosmiczną. Dowódcą wyprawy był płk. pilot George David Zamka, amerykański astronauta kolumbijsko-polskiego pochodzenia (jego pradziadek mieszkał na Pomorzu). Postanowił on, wraz z załogą oraz reżyserem filmowym Adamem Ustynowiczem, w zupełnie odmienny i niespotykany dotąd sposób uczcić 200. rocznicę urodzin Fryderyka Chopina. Astronauci zabrali na pokład promu płytę z nagrańmi dziesięcioma utworami Chopina w wykonaniu pianisty Karola Radziwonowicza z towarzyszeniem orkiestry Sinfonia Viva pod dyрекcją Tomasza Radziwonowicza. Dodatkową przesyłką w kosmos była zabrana kopia rękopisu Preludium A-dur op. 28 nr 7. Tak więc w lutym na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, na wysokości ponad 350 kilometrów nad Ziemią rozbrzmiewała muzyka wielkiego polskiego kompozytora. To sprawiło, że była to najbardziej romantyczna misja w historii lotów kosmicznych.

Trzy miesiące później tej samej muzyki słuchaliśmy na ziemi, w Zamościu. 15 maja na Rynku Wielkim miała miejsce światowa premiera widowiska „Fryderyk Chopin - Kosmiczny Koncert”.



Foto W. Krajewski



Foto W. Krajewski

W dwugodzinnym koncercie wystąpił pianista Karol Radziwonowicz i Orkiestra Symfoniczna im. Karola Namysłowskiego pod batutą Tadeusza Wicherka. W trakcie koncertu odbyła się projekcja filmu „Największe wydarzenie muzyczne w kosmosie”. Jego tematem były poszczególne etapy przebiegu wyprawy STS-130 promu kosmicznego Endeavour - od nocnego startu, przez pobyt i pracę w stanie nieważkości, do szczęśliwego lądowania. Kolejnym obrazem kręconym na ziemi oraz ujęciom rejestrowanym przez załogę promu w czasie ich misji, towarzyszyły grane na żywo utwory Fryderyka Chopina, których astronauta słuchali w kosmosie. I okazało się, że poetyckość i romantyczny charakter XIX-wiecznej muzyki Chopina doskonale pasują jako tło do XXI-wiecznej wizji stacji kosmicznej i zupełnie niezwykłych widoków naszej planety z wokółziemskiej orbity. Takie określenia jak „uniwersalizm” i „ponadczasowość” utworów mistrza Fryderyka przychodzą same na myśl. Co może lepiej ilustrować napięcie podczas startu wahadłowca, jak nie Etiuda c-moll Rewolucyjna? Co bardziej może odpowiadać precyzyjnym manewrom połączenia promu do stacji kosmicznej, jeśli nie Polonez A-dur?



Logo misji STS-130

Specjalnymi gośćmi koncertu byli astronauta historycznej misji STS-130 - dowódca wyprawy George Zamka oraz 4 członków załogi. To oni, wraz z kilkusetosobową widownią z zapartym tchem, dumą i chyba pewną nostalgią oglądali nakręcone przez siebie ujęcia i po raz drugi przeżywali ten wyjątkowy lot. To był piękny koncert, tak jak piękny jest kosmos i piękna muzyka Fryderyka Chopina.

Wiesław Krajewski

Elbieta Szadura-Urbańska

Czerwone Gitary - niezatapialni

Czerwone Gitary obchodzą w tym roku 45-lecie nieprzerwanej działalności estradowej. Podobnie jak nieco młodszy, bo trzydziestoletni Perfect, zespół ten zrósł się z biografiami kilku pokoleń Polaków. Każde z tych pokoleń pewnie inaczej traktowało twórczość obydwu zespołów (chciałoby się powiedzieć „boysbandów”). W czasach mojej młodości słuchanie Czerwonych Gitar było lekkim obciachem, było trochę „żenua” (już nie pamiętam, jakiego słowa wtedy używaliśmy). Po latach okazało się, że melodyjne

przeboje obroniły się przed upływem czasu. Zespół nagrywa nowe piosenki i ma pokazną rzeszę wiernych fanów we wszystkich grupach wiekowych. Wypełniona po brzegi Sala Kongresowa podczas jubileuszowego koncertu 6 marca br. pokazuje fenomen tego zjawiska. Cóż, Czerwone Gitary grają po prostu dobrą muzykę (jak by powiedział ich współczesny nastoletni fan). Jubileuszowy koncert, na życzenie publiczności, będzie powtórzony 13 listopada br. Przyjrzyjmy się historii tego niezatapialnego zespołu.

Styczeń 1965 roku, Gdańsk, kawiarnia Crystal. Spotkali się tam Jerzy Kossela i Henryk Zomerski, współtwórcy popularnej na początku lat 60. formacji Niebiesko-Czarni. Warto dodać, że to właśnie Zomerski był pierwszym w Polsce muzykiem

grającym na gitarze basowej. Grę na „basie” zaprezentował podczas konkursu młodych talentów, występując właśnie z Niebiesko-Czarnymi. Kawiarniane spotkanie dwóch młodych muzyków zakończyło się podjęciem decyzji o założeniu nowego zespołu. Do nich dołączyli wkrótce Krzysztof Klenczon, Bernard Dornowski i Jerzy Skrzypczyk. Jeszcze tego samego roku z zespołu odszedł Zomerski, a jego miejsce zajął - najmłodszy w zespole, osiemnastolatek - Seweryn Krajewski. To właśnie Krajewski przez długie lata był „twarzą” grupy, a jego dość burzliwe odejście w 1997 było szeroko komentowane. Przez lata skład zespołu zmieniał się wielokrotnie. Jedni muzycy odchodzili jak np. Klenczon, inni - jak np. Kossela - odchodzili i wracali. Już w swoim pierwszym składzie zespół osiągnął spektakularny sukces. Zapowiedź tym nieznanych wcześniej w ludowej Polsce zjawiskom popkultury dał początek występ zespołu w marcu 1965 roku w Elblągu. Przed naporem szturmującej salę koncertową młodzieży organizatorzy musieli bronić się, ryglując drzwi metalowymi sztabami. „Gramy i śpiewamy najgłośniej w Polsce” - to hasło, z którym wyruszyli w pierwszą trasę koncertową. Potem tych tras było wiele, w sumie dali ponad 4 400 koncertów! Szli jak burza i zgarniali kolejne nagrody na sopockich i opolskich festiwalach. „Anna Maria”, „Takie ładne oczy”, „Biały krzyż” czy „Płoną góry, płoną lasy” - cała Polska nuciła te przeboje (może dzisiaj należałoby powiedzieć superprzeboje). Sprzedawali rekordowo, jak na owe czasy, ilości płyt. Kążek „Czerwone Gitary 2” kupiło w 1967 roku aż 240 tysięcy miłośników mocnego uderzenia. Dwa lata później ich sukces został zauważony poza granicami, na targach muzycznych MIDEM we francuskim Cannes. Otrzymali wyróżnienie dla zespołu sprzedającego najwięcej płyt w swoim kraju. Warto odnotować, że tego samego roku w Cannes podobne wyróżnienie dostali Beatlesi. W Polsce miłośnicy zespołu bardzo chętnie porównywali swoich idoli do tej brytyjskiej grupy. Dla mojego pokolenia słuchającego rockowych buntowników, to porównanie nie było nobilitujące. Beatlesi wszak wydawali się nam ugrzecznionymi chłopcami, a ich polski odpowiednik - nieudolnym erzacem. Jak się okazało - do czasu. Teraz moi rówieśnicy całkiem nieźle bawią się przy rytmach



Czerwonych Gitar. Widać trzeba czasu, żeby to, co nastolatki wydawało się naiwne, okazało się po prostu życiowe, zabawne, miłe, a czasami po prostu wzruszające.



Wróćmy jednak do historii zespołu. Do 1983 roku wydali dziesięć płyt długogrających. Ponad 250 piosenek Czerwonych Gitar trafiło na krajowe listy przebojów. Szczególnie twórczy okazał się dla nich rok 1970 - wówczas wydali aż dwa longplaye. Każda z ich płyt zawierała piosenki, które w większości okazały się evergreenami. Już z pierwszej, wydanej w drugim roku ich działalności płyty pochodzi „Historia jednej znajomości”, „Nie zadzieraj nosa”, „No bo ty się boisz myszy” czy nucona również przez dzisiejszych maturzystów „Matura”. Longplay z 1983 „Port piratów” z kolejnymi przebojami „Trzecia miłość żagle”, „Niebo z moich stron” okazał się pożegnaniem na długie lata z polską publicznością. Pod koniec lat siedemdziesiątych gwiazda zespołu zdawała się nieco przygasać. Muzycy wybrali zagraniczne trasy państw byłego ZSRR, koncertowali w Niemczech i USA. Już wcześniej ich piosenki zyskały popularność w byłej NRD, a oni sami znani byli tam pod nazwą „Rote Gitarren”. Na sceny polskie powrócili pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Jednak kolejną długogrającą płytę wydali dopiero w 2005 roku. Ich nową piosenkę „Senny szep” zauważono na festiwalu w Sopocie. Udany comeback zespołu, to nie tylko zasługa założycieli formacji, a więc Skrzypczyka, Zomerskiego, Kosseli i przez długi czas związanego z zespołem Mieczysława Wądołowskiego, ale również młodych, uzdolnionych muzyków - Marka Kisielińskiego i Arkadiusza Wiśniewskiego. Może to ten nowy skład zespołu powoduje, że na koncertach omdlewają nie tylko młode dziewczyny, ale również babcie wspierane na ramionach - również zafascynowanych muzyką Czerwonych Gitar - wnuków.

Elżbieta Szadura-Urbańska

Foto. Monika i Justyna.
<http://www.czerwonegitary.blog.onet.pl>

Andrzej Samborski**Przez palce**

Żyłem
z dłońmi zaciśniętymi w pięści
aż
życie w mych rękach zmieniło się
w pustynię
i
jak piasek
zaczęło przesypywać
się
przez palce

W niebie

Człowiek idzie do nieba

W niebieskim niebie niebieski Bóg

I człowiek sam już - niebieski
na niebieskim - nie wie
czy jest

Wenus z M...

Wenus z em dwa
ma
pełne ręce roboty
nie ma
głowy i... ochoty

Dulcynea

Każdy Don Kichot
ma Dulcyneę
ma przed kim rzucić
sznur pereł

Daruj

Daruj - czego mi brak

Prawda leży

Prawda leży pośrodku
pijana jak świnia

Mijam

bez słowa



Andrzej Samborski urodził się w 1967 roku w Lublinie. Studiował psychologię na KUL-u i wiedzę o teatrze w warszawskiej PWST. Na co dzień jest pracownikiem socjalnym. Specjalizuje się w epigramach, aforyzmach i krótkich tekstach prozą. Jest laureatem wielu konkursów literackich i autorem tomików indywidualnych: *Orzeł czy reszka* (Lublin 1989), *Coś takiego* (Lublin 1991), *To się śpiewa to się tańczy* (Lublin 1995), *Na śmiech i życie* (Lublin 2004). Jego prace publikowane były także w licznych wydawnictwach zbiorowych. Zainteresowanie aktorstwem realizował w *Teatrze Ja - sny*, *Scenie Dramatycznej Teatru Akademickiego KUL*, *Teatrze Projekt*, *Grupie Teatralnej Mimesis* i *Teatrze Ruchu Plastycznego*.



Wiersze Andrzeja Samborskiego z tomu *Na śmiech i życie*. Polihymnia, Lublin 2004, ss. 40.

Wiesław Krajewski

Niebieskie oczy Kopernika



Trumna ze szczątkami Mikołaja Kopernika

Już od bardzo dawna poszukiwano grobu Mikołaja Kopernika. Poczynając od czasów biskupa Marcina Kromera (1581), badań Jana Brożka profesora Akademii Krakowskiej (1618), Tadeusza Czackiego z Towarzystwa Naukowego Warszawskiego (1802), poszukiwań zleconych w 1807 roku przez Napoleona, a także przez Niemców: Leopolda Prowego (1865), Eugena Brochvogla i Hansa Schmaucha (1941) - wszystkie próby kończyły się niepowodzeniem. Wiadomo było tylko, że najsłynniejszy polski astronom zmarł 21 maja 1543 roku i trzy dni później pochowany został we wnętrzu katedry we Fromborku. Ale gdzie dokładnie? W miejscu grobu nie umieszczono żadnej tablicy, a epitafium ufundowane przez biskupa Kromera było kilkakrotnie przenoszone. Ostatnio sprawa odżyła w 2004 roku dzięki ks. biskupowi Jackowi Jezierskiemu, prepozytowi Warmińskiej Kapituły Katedralnej, inicjatorowi poszukiwań, oraz prof. Jerzemu Gąssowskiemu, rektorowi Akademii Humanistycznej w Pułtusku, który podjął wyzwanie. W ciągu kilku lat żmudnej pracy naukowców z różnych dziedzin, zastosowaniu nowoczesnych metod pracy archeologicznej (m.in. badań georadarowych gruntu), dokonano wielu ważnych odkryć.

Przede wszystkim, w sierpniu 2005 roku, pod filarem, przy którym znajduje się ołtarz św. Krzyża (dawniej św. Wacława - czwarty w prawym rzędzie, licząc od ołtarza głównego katedry fromborskiej), jako trzynasty pochówek, znaleziono czaszkę i kości, które mogły należeć do Mikołaja Kopernika. Dawnym zwyczajem, kanoników grzebano przy ołtarzu, którym za życia się opiekowali. Ołtarz św. Krzyża przez ponad 40 lat posiadał właśnie kanonik Mikołaj. Na początku wiadomo było tylko, że znalezione szczątki należa-

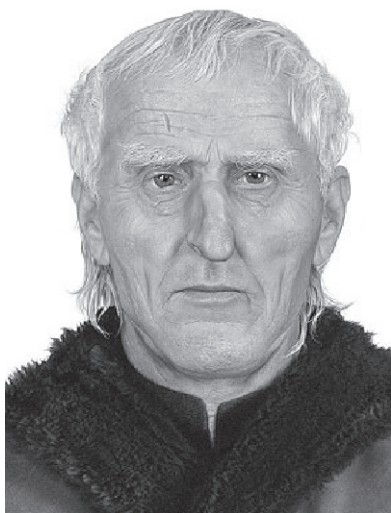
ły do mężczyzny w wieku ok. 70 lat, i pochodziły z XVI stulecia. Teraz rozpoczęły się ekspertyzy i porównania, badania identyfikacyjne, antropologiczne, plastycznej rekonstrukcji twarzy, wreszcie, najbardziej wiarygodne - genetyczne. Porównano DNA z materiału pobranego z kości udowej i zębów trzonowych, z dwoma włosami znalezionymi w dziele *Calendarium Romanum Magnum* Johanna Stöffera, która to księga przez lata była własnością Kopernika, a która obecnie znajduje się w bibliotece uniwersyteckiej w Uppsali. Badania wykazały daleko idącą zgodność genetyczną materiału porównawczego. Tym samym można uznać, że udało się zidentyfikować szczątki słynnego Astronoma.



Nagrobek Mikołaja Kopernika w katedrze we Fromborku

Uczciwość nakazuje jednak przyznać, że istnieje pewien margines błędu. Badania należy więc kontynuować. Trudno o materiał porównawczy do badań genetycznych. Kopernik zmarł przecież bezpotomnie. Miał wuja, biskupa Łukasza Watzenrode. Niestety, jego grobu także dotąd nie odnaleziono. A może to właśnie jego grób odnaleziono? Brat Mikołaja, Andrzej, zmarł w Rzymie i też nieznane jest miejsce jego spoczynku.

Istotne byłyby badania materiału genetycznego krewnych w linii żeńskiej. Próby odszukania potomków siostry lub ciotki Mikołaja Kopernika dla pozyskania od nich kodu genetycznego DNA dla celów porównawczych - jak dotąd - również nie przyniosły rezultatu. Musiano więc zadowolić się odnalezionymi włosami, co do których nie ma pewności, że należały do Kopernika, choć jest to bardzo prawdopodobne.



Zrekonstruowana twarz Mikołaja Kopernika

W Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym Komendy Głównej Policji w Warszawie dokonano komputerowej rekonstrukcji wyglądu twarzy Kopernika. Taka rekonstrukcja została porównana z zachowanymi wizerunkami Mikołaja Kopernika. Zarówno na portretach, jak i na badanej czaszce widoczna była deformacja nosa odchylonego w lewą stronę. Ważnym elementem

była widoczna na czaszce nad prawym oczodołem podwójna pionowa szrama - ślad rany ciętej. Zachowane portrety astronoma wykazują podobne cechy. Badacze ustalili też z 80% prawdopodobieństwem, że Kopernik miał niebieskie oczy i jasne włosy, co jest pewnym zaskoczeniem, bo na portretach przedstawiany jest raczej z ciemnymi oczami i włosami. Pozostałe 20% daje możliwość, że astronom miał oczy zielone lub szare, ale na pewno nie brązowe.

Od pewnego czasu trwały przygotowania do powtórnego pogrzebu Astronoma. Trumna z jego doczesnymi szczątkami została najpierw w lutym wystawiona na krótko w Toruniu, mieście, w którym się urodził. Ja miałem okazję zadumać się nad nią w sali Zamku Kapituły Warmińskiej w Olsztynie. 21 maja została przewieziona do Fromborka, mijając po drodze miasta związane z działalnością Mikołaja Kopernika: Dobre Miasto, Lidzbark Warmiński, Ornętę, Pieniężno, Braniewo. W sobotę, 22 maja, po 467 latach odbył się uroczysty powtórny pochówek doczesnych szczątków Mikołaja Kopernika w katedrze we Fromborku. W tym samym miejscu, w którym spoczywał do tej pory bezimiennie. Uroczystość powiązano z jubileuszem 750-lecia istnienia Warmińskiej Kapituły Katedralnej. Mszy świętej żałobnej przewodniczył prymas Polski abp Józef Kowalczyk, a homilię wygłosił metropolita lubelski abp Józef Życki. Przygotowano wspaniały nagrobek obrazujący schemat Układu Słonecznego. Układu, który zapewnił Kopernikowi - jako twórcy teorii heliocentrycznej - poczesne miejsce w historii astronomii i w ogóle światowej nauki. Nagrobek ma swoją strukturą symbolizować cały wszechświat. Na szczycie czterometrowej płyty z czarnego granitu - okazałych rozmiarów, wykonana z polerowanego mosiądzu, kula słoneczna, a pod nią - orbity sześciu znanych ówczynie planet. Nagrobek godny geniuszu jednego z największych Polaków.

Wiesław Krajewski

Krasnostawskie szóstki

Kapituła w składzie Bogusław Kalinecki (przewodniczący), honorowe wyróżnienie **Złote Karpie** za rok 2010. Laureatami zostali: **Piotr Matej** - dyrektor Samodzielnego Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Krasnymstawie, **dzięki któremu firma krocząca ku upadłości zrobiła zwrot ku lepszemu, w uznaniu za osobiste zaangażowanie, energię, fachowość i umiejętność zjednywania sobie ludzi oraz Andrzej Woźniak** - kierownik Gminnego Centrum Kultury w Krasnymstawie, z siedzibą w Siennicy Nadolnej, animator kultury, członek grup kabaretowych i artystycznych, koordynator dziecięcych i młodzieżowych grup teatralnych i recytatorskich.

Nestorowe promocje

Tradycja jest, że spotkania promocyjne Czasopisma Artystycznego NESTOR od początku odbywają się w zaprzyjaźnionej Powiatowej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie. 12 lutego 2010 roku prezentowano 10. - jubileuszowe wydanie. Spotkanie rozpoczęło się wernisażem obrazów obiecującej i popularnej członkini Grupy Plastycznej PALETA Krystyny Mojskiej, a oprawę muzyczną zapewnił udanie debiutujący duet instrumentalny uczennic I Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Jagiełły, w składzie Anna Misiura (gitara klasyczna) i Paulina Piłat (flet poprzeczny). Zawartość jubileuszowego numeru



przedstawili kolejno: Andrzej David Misiura, Tadeusz Kiciński, Wiesław Krajewski, Henryk Radej i Mariusz Kargul. Redakcja wyraziła podziękowania za mecenat wszystkim przyjaciółom *Nestora*, szczególnie podkreślając w tej mierze zrozumienie urzędujących starostów krasnostawskich. Wspominano także m.in. Cezarego Szymańskiego - współtwórcę opracowania graficznego pierwszego numeru czasopisma.

Uznanie dla twórczej roli *Nestora* wyraził Wójt Gminy Siennica Różana Leszek Proskura oraz przedstawicielka Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Siennickiej Lidia Jurkiewicz, składając na



ręce Andrzeja D. Misiury pamiątkowy album. Wśród laudatorów nie zabrakło także gości z Chełma, w osobach literatów Stanisława Koszewskiego i Longina Jana Okonia.

Spotkanie zakończono ostatecznym pączkiem i lampką domowego gronowego wina, które wywołało ożywioną dyskusję, zarówno wśród starych bywalców takich spotkań jak i reprezentantów coraz szerszego grona nowych sympatyków.



Na okładce jedenastego numeru zaprezentowane zostały obrazy Małgorzaty Antoniak, więc 22 kwietnia zwyczajowo promocję rozpoczęło od wernisażu prac wymienionej autorki. Sympatycy *Nestora* wysłuchali koncertu uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej im. Witolda Lutosławskiego w Krasnymstawie, natomiast autorzy artykułów omawiali swoje dzieła osobiście, dając przy tym możliwość przedstawienia się czytelnikom. I tym razem degustowano wino domowego wyrobu na odmianę przygotowane na bazie... herbaty. Ciasteczka zastąpiły wspaniałe koreczki różnej kompozycji przemieszane orzeźwiającą południową oliwką, jako dzieło wszystkich muz Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie.



Bronisława Bojarska





Galeria jednego obrazu Bronisława Bojarska

Bronisława Bojarska lat 86, zamieszkała w Ostrowie Krupskim, od najmłodszych lat maluje obrazy z pasji tworzenia.

Należy do Klubu Twórców Ludowych przy KDK w Krasnymstawie i GCK w Siennicy Nadolnej. Prace jej znajdują się w zbiorach prywatnych kolekcjonerów w kraju i zagranicą (Holandia, Niemcy, Włochy, Stany Zjednoczone Ameryki, Australia). Namalowała ponad 500 obrazów.

Za działalność konspiracyjną w okresie II wojny światowej została nominowana na stopień podporucznika w 2001 roku. Za całokształt pracy twórczej wyróżniona odznaką honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej.

